Kupuję, bo polskie
ORLEN

SPECJALNY DODATEK
I WYJĄTKOWA NAKLEJKA
W PREZENCIE

CZY POLSKA NAPRAWDĘ
MA SZANSĘ NA AMERYKAŃSKĄ
BROŃ ATOMOWĄ

JOANNA LICHOCKA
PRZEJMUJĄCO O JAROSŁAWIE
MARKU RYMKIEWICZU

JAN PIETRZAK:
TRZASKOWSKI?
WISŁA MÓWI: NIE!

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 22 (391) 2020
25–31 maja 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

KULISY AFERY W RADIOWEJ TRÓJCE



W TEJ SPRAWIE NIC NIE JEST TAKIE, JAK TO PRZEDSTAWIŁY NAJWIĘKSZE MEDIA:

ANI PRZEBIEG ZDARZEŃ, ANI PRAWDZIWE INTENCJE AKTORÓW SKANDALU, ANI PLANOWANY FINAŁ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269007 22

1 czerwca
w tygodniku SIECI

PLANSZÓWKI
na Dzień Dziecka

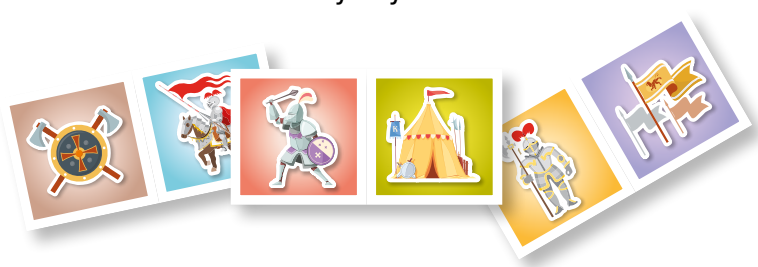


Gry rodzinne bez smartfonu, komputera, tabletu!

2 gry edukacyjne do wycięcia i świetnej zabawy w rodzinnym gronie:



- Pizzowy Piotruś do nauki ułamków
- Domino Rycerskie z ciekawostkami historycznymi



Partner dodatku

TAURON

eprasa.pl a4f1a0e949



Złożenie wieńców na grobach ofiar katastrofy smoleńskiej w dniu 10. rocznicy było wyrazem także i naszego bólu

My, niżej podpisani, wyrażamy nasze wsparcie i uznanie dla osób, które 10 kwietnia 2020 r., w 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej, uczciły pamięć ofiar tej tragedii.

Oddanie hołdu śp. prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu, jego małżonce, a także wszystkim ofiarom, było obowiązkiem naszej wspólnoty – zarówno tej najszerszej, narodowej, jak i tej szczególnie mocno zjednoczonej pamięcią o tamtych tragicznych wydarzeniach. Dotyczy to zarówno pomników poświęconych ofiarom, jak i miejsc, gdzie zostały pochowane. Wyjątkowe okoliczności, wywołane epidemią, nie stanowiły i nie mogły stanowić przeszkody, która uniemożliwiałaby wypełnienie tego obowiązku przez przedstawicieli środowisk szczególnie poszkodowanych 10 kwietnia 2010 r., i później szczególnie wyraźnie pielęgnujących pamięć o Tych, których straciliśmy w Smoleńsku.

Złożenie wieńców na grobach ofiar tragedii smoleńskiej w dniu okrągłej rocznicy było działaniem w najlepiej pojętym interesie publicznym, czego wyjątkowo wymownym podkreśleniem jest fakt uczczenia w ten sposób wszystkich ofiar. Było to działanie wymagające, w tych konkretnych warunkach, determinacji i odwagi, ale jednocześnie całkowicie legalne w świetle obowiązujących wówczas regulacji prawnych. Był to gest, który podkreślał, że środowiska przejęte Rzeczpospolitą nie zapominają o tych, którzy zginęli, pełniąc służbę państwową. Nie zapominają także w sytuacjach nadzwyczajnych.

Uznajemy, że artyści mają prawo do swobodnej, nawet bardzo krzywdzącej oceny różnych wydarzeń i faktów. Uważamy jednak, że naszym obowiązkiem jest zaświadczenie przed historią i opinią publiczną, że złożenie wieńców na grobach ofiar katastrofy smoleńskiej w dniu 10. rocznicy było wyrazem także i naszego bólu. Wyrastało z przekonania, że nie można zgodzić się na zepchnięcie pamięci o ofiarach wyłącznie do sfery prywatnej. A taką właśnie tezę próbowano narzucić już w pierwszych dniach po tragedii, i próbuje się narzucać także dziś. W istocie oznaczałoby to uznanie tych, którzy zginęli, za niegodnych publicznej pamięci, czego rzecz jasna zaakceptować nie można.

Ta deklaracja ukazała się w ubiegłym tygodniu na stronie portalu wPolityce.pl. Tylko w pierwszych dniach podpisało ją kilka tysięcy osób. Wśród nich m.in.: Jacek Karnowski, Michał Karnowski, prof. dr Andrzej Przyłębski, Leszek Długosz, Małgorzata Krzemińska-Sribniak, Grzegorz Górny, Joanna Lichocka, Elżbieta Królikowska-Avis, Bronisław Wildstein, Wanda Zalewska-Zdun ps. Rawicz, Jan Pietrzak, Jerzy Zelnik, Marek Pyza, Marcin Wikło, Paweł Nowacki, Maciej Świrski, prof. Stanisław Mikołajczak, prof. Janusz Kawecki, Dorota Kania, Tadeusz Płużański, Stanisław Janecki, Jacek Kurski, Arkadiusz Gołębiewski, Jan Pospieszalski, prof. dr hab. Piotr Müldner-Nieckowski, Krystyna Rybicka-Kosmus, Jarosław Rynowiecki, dr Andrzej Kurtyka, Marcin Wolski, Marek Formela, Wojciech Reszczyński, Ewa Stankiewicz, Rafał Porzeziński.

Jeśli któryś z naszych czytelników chce również złożyć pod nią swój podpis, może to zrobić, wysyłając e-mail na adres: **redakcja@wpolityce.pl**

Autopromocja

eprasa.pl a4f1a0e949

SIECI spis treści



26 *Idę się bić...*
Jan Rokita



42 *Z prof. Łukaszem Szumowskim rozmawia Dorota Łosiewicz*



63 Kupuję, bo polskie
dodatek i naklejka

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **RAFAŁA FALA**
Krzysztof Feusette

9 **JEST TAKI DZIEŃ...**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **TRZASKOWSKI? WISŁA MÓWI: NIE!**
Jan Pietrzak

13 **STAWKA KONFLIKTU W POLSCE**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **W OBRONIE POKRZYWDZONYCH**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ZDJĘCIA Z PODRÓŻY KRZYSZTOFA LOGANA TOMASZEWSKIEGO**
Michał Korsun

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **NOWY ŚWIAT NA GRUZACH STAREJ TRÓJKI**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

26 **IDĘ SIĘ BIĆ...**
Jan Rokita

29 **OPERACJA „DUBLER”**
Stanisław Janecki

32 **GEORGETTE MOSBACHER, CZYLI AMERYKA GRA POLSKĄ KARTĄ**
Marek Budzisz

36 **Z JACKIEM ŁĘSKIM**
rozmawia Jakub Maciejewski

40 **LAWENDOWY WIRUS**
Grzegorz Górny

PANDEMIA KORONAWIRUSA

42 **Z PROF. ŁUKASZEM SZUMOWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

46 **MIĘDZY OPTYMIZMEM A SZALEŃSTWEM**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

48 **NIECH ZSTĄPI DUCH TWÓJ**
Ks. Ireneusz Skubiś

HISTORIA

50 **NAJWAŻNIEJSZY WIĘZIEŃ KOMUNISTÓW**
Jaromir Kwiatkowski

SIECI KULTURY

53 **ROSANNA**
Jolanta Gajda-Zadworna

59 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

60 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

63 **KUPUJĘ, BO POLSKIE**
Dodatek specjalny

80 **BOOM NA RODOS**
Edyta Hołdyńska

KUCHNIA

84 **MIŁOŚĆ I GOTOWANIE**
Anna Monicka

88 **MOJE SMAKI: PIEROGI I PRACOWNIA SERC**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **PERŁY I WIEPRZE, CZYLI WYBORY 2020**
Hanna Karp

92 **SMOLEŃSK W KLUCZU GOLGOTY**
Jan Pospieszalski

94 **BYĆ CZŁOWIEKIEM CZYNU**
Alina Czerniakowska

95 **TERROR MNIEJSZOŚCI**
Lech Makowiecki

96 **POWIAŁO, WYWIAŁO...**
Leszek Długosz

98 **CHOLERNE MNOŻENIE ŚWIATÓW**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 55/0420/F

eprasa.pl a4f1a0e949

Sprawdzaj wiarygodne źródła: www.pfr.pl/tarcza

KPRM

U fryzjera, w restauracji

Zasady bezpieczeństwa w lokalach usługowych

Wszyscy za tym tęskniliśmy. Od kilku dni możliwe są już wizyty w zakładach fryzjerskich, salonach kosmetycznych oraz spotkania w restauracjach, barach i pubach. Poniżej przedstawiamy najważniejsze zasady bezpieczeństwa obowiązujące w tych lokalach zarówno pracowników, jak i klientów.

ZAKŁAD FRYZJERSKI I KOSMETYCZNY

- Przyjmowanie klientów po umówieniu wizyty na konkretną godzinę, telefonicznie lub online.
- Klient nie może oczekiwać na usługę w poczekalni, czyli tylu klientów ile stanowisk pracy.
- Obowiązek noszenia przez klientów maseczek i rękawiczek (jeśli zabieg na to pozwala)
- Obowiązek noszenia przez obsługę zakładu: maseczek/przyłbic oraz rękawiczek jednorazowych i gogli (nie wymagane w wypadku noszenia przyłbicy).
- Używanie ręczników jednorazowych.
- Zalecane co najmniej 2m dystansu między stanowiskami pracy.
- Umieszczenie w pomieszczeniach płynów do dezynfekcji w celu odkażenia każdej dotykanej powierzchni co najmniej 2-3 razy dziennie i na koniec każdej zmiany.
- Zalecany zakaz używania telefonów komórkowych w trakcie wykonywania usługi - zarówno przez pracownika, jak i klienta.
- Zalecany pomiar i rejestrowanie temperatury ciała pracowników za pomocą termometru bezdotykowego przed rozpoczęciem pracy.

RESTAURACJA PUB BAR

- Limit osób w lokalu - na 1 osobę muszą przypadać co najmniej 4 m2.
- Zachowanie 2m odległości między stolikami.
- Obowiązkowa dezynfekcja rąk przez klientów przy wejściu do lokalu.
- Goście restauracji mogą zdjąć maseczki, kiedy usiądą przy stolikach.
- Liczniej przy jednym stoliku może przebywać rodzina lub osoby mieszkające razem.
- Obowiązkowa dezynfekcja stolika po każdym kliencie.
- Obowiązkowe noszenie maseczek oraz rękawiczek przez kucharzy oraz obsługę lokalu gastronomicznego.
- Należy wyłączyć z użycia przestrzenie samoobsługowe - bary sałatkowe, bufety oraz dozowniki do samodzielnego nalewania napojów.
- Umieszczenie informacji o maksymalnej liczbie gości przy wejściu do lokalu.



Więcej informacji na: **gov.pl/tarczaantykryzysowa** oraz na stronie internetowej Twojego banku.

KPRM PFR Polski Fundusz Rozwoju

eprasa.pl a4f1a0e949



Sygnalista nadaje

Swoją kampanię wyborczą nowy kandydat KO Rafał Trzaskowski rozpoczął od ataku na TVP. Zapowiedział, że powstanie nowa telewizja publiczna, „bez TVP Info, bez »Wiadomości«”. „Spieszcie się zadawać pytania, bo niewiele tygodni wam zostało” – mówił do dziennikarzy TVP z szyderczym uśmiechem. To akurat wiarygodna obietnica: likwidować firmy i instytucje Platforma umie jak nikt inny. Była w tym najlepsza w całej Europie.

Trzaskowskiemu nie podoba się telewizja publiczna, ale przecież on sam bardzo blisko współpracował z SokiemzBuraka – faktycznie agencją ds. czarnego PR, która atakuje oponentów KO w stylu bliskim tygodnikowi „Nie” i która rozpowszechnia nie tylko brutalne ataki, lecz i ordynarne kłamstwa, np. całkowicie zmyślone cytaty. M.in. tą bronią pokonał Patryka Jakiego w Warszawie. Mówiąc wprost: diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

Trzaskowskiego zapytano, czy nie zdecydowałby się na debatę z Andrzejem Dudą w języku angielskim. Kandydat odpowiedział, że „nie wie, czy byłby tak okrutny”, po czym zaczął się przechwalać: „Jak przestawiam się na angielski, myślę po angielsku, mam trochę inną perspektywę. Dlatego najczęściej myślę po polsku. Jak muszę konstruować zdania po francusku, jestem grzeczniejszy, dużo mniej hop do przodu, od razu się trochę zmieniam, mówię w inny sposób”. Straszny narcyz. Straszny egot. Niestety, dobrze pasuje do tych marnych czasów.

Piotr Niemczyk, w początkach lat 90. współtworzący Urząd Ochrony Państwa: „Zmarł Jan Lesiak. Ten od »inwigilacji prawicy« i »szafy Lesiaka«, a wcześniej »opiekun« Jacka Kuronia. Szkoda, że nigdy do końca nie powiedział, co tak naprawdę wiedział i co robił. Szczujnia zrobiła wszystko, żeby do tego nie doszło. Z lustrowanego mógł stać się lustratorem. RIP”. Lesiak wszystkiego nie powiedział, ale takie czułe pożegnania też wiele mówią.

Trzaskowski zdradził także, że dostrzega to jego otoczenie. Jak mówił: „Moi doradcy polityczni zawsze mówią mi jedno, moi przyjaciele mówią mi jedno, moja żona mówi mi jedno: nigdy się nie popisuj”. Gdyby się nie popisywał, toby tego nie mówili, prawda? Przychodzi do głowy znana refleksja: można znać i 10 języków i w żadnym nie mieć nic ciekawego do powiedzenia.

Kandydat KO błysnął także taką oto deklaracją: „Zapowiadałem, że po wszystkich wyborach, także prezydenckich, wprowadzę pod obrady rady miasta taką inicjatywę, żeby w Warszawie była ulica Lecha Kaczyńskiego. Jeśli zostanę prezydentem RP, będę namawiał usilnie do tego prezydenta z opozycji, który zostanie wybrany w moje miejsce”. Nie byłoby prościej, gdyby Trzaskowski kandydat przekonał Trzaskowskiego prezydenta miasta?

Z kolei na pytanie, czy miał jakieś związki z Grupą Bilderberg, kandydat odpowiedział: „Byłem raz na spotkaniu Grupy Bilderberg, gdzie spotykają się premierzy, prezydenci, szefowie największych światowych firm, gdzie spotykają się eksperci, zajmujący się największymi wyzwaniami. […] Tego typu nieformalne spotkania pomagają w tym, żeby budować przede wszystkim wiedzę na temat tych wyzwań, które przed nami”. Tak, jasne, chodzi o „wiedzę”.

Z tego, że prezydent Warszawy powalczy o prezydenturę państwa, ucieszył się jego zastępca Paweł Rabiej: „Wielki dzień. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski rusza na kru-

epras.pl a4f1a0e949

cjatę przeciwko siłom, które niszczą państwo, demokrację, przyzwoitość i uczciwość. Startuje, by wygrać wybory prezydenckie. Wygramy je – by odzyskać Polskę dla wszystkich" – stwierdził. Pytanie, pod jakim znakiem będzie to krucjata? Bo przecież nie pod znakiem krzyża.

Borys Budka pochwalił się dość ciekawym wspomnieniem o św. Janie Pawle II. Lider PO na antenie jednej z rozgłośni komercyjnych został zapytany, czy ma jakieś wspomnienia związane z papieżem. „Tak, pamiętam, kiedy był w Wadowicach, pamiętam, kiedy mówił to słynne kazanie o kremówkach..." – odpowiedział lider PO, po czym zaczął się rozwodzić na temat stosunku Jana Pawła II do integracji europejskiej. Teraz jest jasne, dlaczego liderzy KO nie widzieli tych wszystkich deficytów Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, które omal nie pociągnęły całej partii na dno.



Poseł Lewicy ***Joanna Scheuring-Wielgus*** do posła KO Bartosza Arłukowicza: „To jest straszne i żenujące, że nie potrafisz przed kamerą powiedzieć: »Schrzaniłem to. Doprowadziłem do tego, że sztab wyborczy Małgorzaty Kidawy-Błońskiej popełnił mnóstwo błędów«, zostawiliście ją samą. Powiem Ci szczerze, że jestem rozczarowana, że nie bierzesz tego po prostu jak facet na bary". To niemożliwe od momentu, gdy Bartosz Arłukowicz przeszedł wprost z komisji hazardowej do obozu Tuska. To był moment definiujący.



Donald Tusk rzucił taką oto „anegdotką": „Lider opozycji w jednym z bałkańskich państw w rozmowie ze mną: »Nasz rząd jest skorumpowany i łamie wszelkie zasady demokracji. Nie jest jeszcze tak źle, jak w pańskim kraju, ale...«. Coście uczynili z naszą krainą". Tak, to prawda, nie jest łatwo posprzątać po ekipie byłego premiera. Ale idziemy w dobrą stronę.

Jarosława Gowina spytano, jak widzi siebie za kilka lat. „Od przeszło czterech lat jestem też jednym z liderów obozu, który głęboko przebudowuje Polskę. Ostatni polityk o takim profilu ideowym, który wywarł mocne piętno na polskiej rzeczywistości, to Zyta Gilowska. Teraz chciałbym doprowadzić do zebrania rozproszonych środowisk konserwatywno-liberalnych i zbudować mocną partię republikańską" – stwierdził. Ambitne wyzwanie.



Portal wPolityce.pl poinformował, że ciekawie dzieje się za Odrą: „W ubiegłym roku strona niemiecka obiecała, że najpóźniej 8 maja 2020 r. poddany zostanie pod głosowanie w Bundestagu projekt zbudowania w stolicy Niemiec pomnika polskich ofiar III Rzeszy. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Dlaczego? Bo poparcie dla tej idei jest tak niewielkie, że pomysłodawcy po prostu boją się kompromitacji. Zamiast tego pojawił się w Bundestagu projekt upamiętnienia... niemieckich ofiar II wojny światowej, autorstwa AfD". Miał być pomnik Polaków, będzie pomnik Niemców, którzy zginęli w Polsce?

I jeszcze jeden wątek: ambasadora Niemiec w Polsce Rolfa Nikela miał zastąpić Andreas Peschke, sympatyzujący z naszym krajem Saksończyk. Zaczął się nawet uczyć polskiego. Decyzja została jednak nagle zmieniona: ambasadorem ma zostać Arndt Burchard Ludwig Freiherr Freytag von Loringhoven. Były wiceszef BND oraz szef wywiadu służb NATO. Był ambasadorem w Pradze, ale jego wiedza o Polsce jest wielką niewiadomą. Jego ojciec Bernd przygotowywał w 1945 r. raporty dla Hitlera. To byłaby urocza puenta tej przyjaźni.

Awanturę wokół radiowej Trójki skomentowała artystka Doda: „A co do cenzury w mediach, to zwracam się do moich szanownych znajomych muzyków, choć może nawet bardziej menadżerów: od lat jesteśmy cenzurowani za pomocą tak zwanych badań w stacjach komercyjnych. Wszyscy wiemy, jak to wygląda i jaka to jest je...na ściema. Więc może w końcu szanowne rozgłośnie ustalą jawny cennik: ile za »piosenkę tygodnia«, »miesiąca« itp. zamiast zamiatać »gifty« pod stołem, a Wy (menadżerowie) nie będziecie musieli zmagać się z hipokryzją, krzycząc teraz na lewo i prawo o cenzurze w Trójce". Szambo wylało. Czyżby kolejna kasta?

Całą sprawę celnie skomentowała na łamach portalu wPolityce.pl dr Hanna Karp: „Prezydent Komorowski zaoferował wszystkim czekoladowego orła na święto Konstytucji 3 maja. Ta akcja doskonale wpisała się w rodzaj „trójkowego" dziennikarstwa, który od lat był w tym programie uprawiany. Kosmopolityczny, lewicowy, oderwany od rzeczywistości, aspirujący do dziwnej elitarności. Dziennikarze tej stacji przez dekady zbudowali własne środowisko, celebrowali samych siebie, pielęgnowali swoje rytuały i swoje ego. I w tej chwili ta budowla runęła. Wokół tego faktu próbuje się rozniecać rodzaj społecznego niezadowolenia, jakiegoś buntu. Cała sprawa ma wymiar niesmaczny". O tak, bardzo. Bo przecież to wszystko gra starych wyjadaczy, którzy wiedzą, jak uprawiać nonkonformistyczny konformizm.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl a4f1a0e949

Rafała fala



KRZYSZTOF FEUSETTE

Patrzcie, jaki jestem przystojny i wyluzowany. Uśmiechnięty i elegancki. Taki trochę Hołownia, trochę Kwaśniewski z lat świetności. I o to chodzi, to jest ta energia, która potencjalnie zmieni się w kinetyczną, a potem pójdzie wielka fala od Warszawy do Gdańska, ale nie brunatna, jak rządy prawicy, tylko ultramarynowa, jak flaga Unii Europejskiej. To jest nasz cel, nasz cel-pal, nasza cela, w której zamkniemy pisowców i nasz pal, na który ich nadziejemy. Ostatnie to żart, oczywiście, w końcu nawet idealny kandydat musi mieć poczucie humoru. Ale publiczną naprawdę zaoram. Będą mi pytania zadawać w kampanii? Szuje. Koniec TVP Info, serwisów informacyjnych, publicystyki, w ogóle – po co nam TVP, skoro już jest TVN? Po co większe lotnisko, skoro jest w Berlinie? Po co Duda, skoro jest Tusk?

Dobra, i jakiś uśmiech teraz. I luz, dyskretne kiwanko na boczki, potem piętki – palce, ogólnie bujanko. W obu znaczeniach tego słowa. Bo jednak – mówcie, co chcecie – prezencja to połowa sukcesu. Niby nie ma różnicy, czy garnitur jest tej czy tamtej firmy, a jednak, w ostatecznym rozrachunku, jak się mówi na liderów partii? Pierwszy garnitur, prawda? Do tego krawat. Moja żona nie puszcza dzieci do Pierwszej Komunii, ale krawaty dobiera boskie. Ja zresztą jestem za rozdziałem państwa od Kościoła, miasta od państwa, miasta od Kościoła oraz Kościoła od Kościoła. Stolica musi być przestrzenią otwartej debaty. Tęczowych środowisk z ruchami LGBT, czytelników „Gazety Wyborczej" z widzami TVN, Komitetu Obrony Demokracji z SokiemzBuraka. Tak, nie wstydzę się, że przygarnąłem do ratusza tego biedaka, który wymiotuje wszystko, co pomyśli. Ja się nie podejmuję oceny wydarzeń artystycznych, mnie się „Klątwa" w Powszechnym podobała, a przecież Jana Pawła II jakoś tam kojarzę. Może nie tak jak Borys Budka, że od razu „kazanie o kremówkach", ale coś pamiętam. Natomiast nigdy się nie zgodzę, aby Warszawa, co ja mówię, aby Polska stała się państwem fundamentalistycznym. Fundacje – tak, zwłaszcza homoseksualne, ale katoliccy fundamentaliści – nie. I oczywiście, oczkiem w mojej głowie pozostaje small biznes oraz średni przedsiębiorcy. Ja już na swojej pierwszej konferencji czy tam konwerencji powiedziałem, że martwię się o los przedsiębiorców. Martwię się tak, że nie mam głowy do takich bzdetów, jak umorzenie im czynszów za miejskie lokale, podobno zamknięte w czasie pandemii. Wyliczają mi prawicowi ekstremiści, że Gdynia umorzyła po dwóch dniach, 30 innych miast – po dwóch tygodniach, a w Warszawie do dzisiaj nie ma ani umarzania, ani wniosków z tarczy. Starczy już tych ataków. Wiecie, gdzie to mam? W czajce! Niech mnie cmokną w pompę uszkodzoną. Chciałem także poinformować, że odbyłem wstrząsającą rozmowę z niezmieszaną posłanką Leszczyną. Zapytałem ją, czy zdaje sobie sprawę z tego, w jakim położeniu mnie postawiła, sugerując, że Małgorzata była „perłą rzuconą przed wieprze" oraz „zbyt uczciwa na politykę"? To co, ja jestem, za przeproszeniem, jakiś wisior oszukany albo kolczyk z pępka rwany? Obiecałem przed wyborami plażę na Białołęce? Nie, a jednak powstała. Nie moja wina, że ją po tygodniu zaorali, bo się okazało, że nie było zezwolenia i 100 tys. zł poszło w piasek. Można było tym kozom zawieźć, może by przeżyły? Albo piaskownicę zrobić w parku na parkingu. Aż się dziwię, że tyle dobrego można stworzyć z drewnianych palet, donic oraz roślin doniczkowych za łącznie milion złotych. Jakiż ja miałem piękny widok z ratusza: po lewej, 200 metrów obok – Ogród Krasińskich, druga połowa XVII w., kiedyś największy park w Warszawie, pamiętający powstanie listopadowe, getto i powstanie warszawskie. Po prawej: 100 metrów obok, Ogród Saski, przełom XVII i XVIII w., pierwszy publiczny ogród miejski w Polsce. A pośrodku tych terenów tradycyjnie zielonych mój dar dla Warszawy: Ogród Trzaskowskiego, przełom drugiej i trzeciej dekady XXI w., dechy na betonie, krzaki w ziemi, ziemia w drewnie. Szkoda, że już go rozebraliśmy, bo człowiek miał przez chwilę poczucie głębszego sensu tego, co robi. Zwłaszcza jak ktoś przysiadł i mu drzazga w strefę relaksu nie wlazła. Ale dziś nie czas na odpoczynek, musimy zebrać podpisy i udowodnić, że nasze koperty, nasze długopisy i nasze ręce zawsze były i będą czyste! I teraz uśmiech numer cztery. Płaczliwy, ale szczery, cha, cha. I energia!

To musi być na maksa energetyczne, a nie takie ecie-pecie w toalecie! To mają być emocje, ja muszę być nakręcony jak zegar atomowy! Lepiej się spieszcie zadawać pytania! Bo za chwilę macie przesłuchania! I teraz wszyscy, na trzy, cztery – w górę cztery litery i hej-ho, hej-ho, niech wiruje cały świat! Skaczcie do góry jak kangury! Kto nie skacze, ten za PiS-em! Dawaj, Gosia, czemu nie skaczesz?! Radek, co to za minka niewyraźna?! Jak ty mnie rozśmieszyłeś, że będziesz kandydować. Jakbyś całkiem zapomniał, kto ci partię matkę obywatelską za włosy z dołka sondażowego wyciągał? Już nie pamiętasz, jak trzeba było Warszawę po Hani przejąć, zanim PiS łapska na dokumentach położył?

Na szczęście teraz, choćbym nawet wygrał, żaden komisarz w stołecznym ratuszu nie ma prawa i sprawiedliwości niczego w szafach znaleźć. Wszystko jest taśmą tak poklejone, że musieliby z pół godziny otwierać.

eprasa.pl a4f1a0e949

Jest taki dzień...

Za pierwszym razem nie wiedziałam, że to jest to. Słabo się czułam, bolał mnie brzuch, było mi niedobrze, ale jakoś na to nie wpadłam. Wreszcie siostra cioteczna poradziła, żebym zrobiła test ciążowy. Dwie czerwone kreseczki pojawiły się natychmiast. Najpierw był szok, potem niedowierzanie, za nimi przyszła euforia. Potem siedzieliśmy z mężem przy stole i wpatrywaliśmy się z godzinę w białą płytkę z dwiema kreskami, rozumiejąc, że właśnie zmienia się nasze życie i kończy się okres szalonej beztroski.

Miała mieć na imię Ola. To imię pisaliśmy na brzuchu w szkole rodzenia. Gdy się urodziła, okazało się, że jest Mają. Ola nie pasowała. Przyszła na świat miesiąc po śmierci Jana Pawła II. Od początku wiedziała, czego chce i głośno o tym informowała. Na początku nieźle dała w kość, a może to raczej my, młodzi rodzicie, nie mogliśmy znaleźć instrukcji obsługi. Do dziś lepiej do niej nie podchodzić, jak nie jest w humorze, bo może ugryźć. Nieźle wyrosła. Już jest mojego wzrostu. Śliczna, mądra, zdolna. Fajnie z nią usiąść i pogadać.

Za drugim razem (i każdym kolejnym) wiedziałam o ciąży niemal od razu. Szybko okazało się, że to chłopak. Euforii, że będzie parka, nie było końca. Planowany Antoni okazał się Janem. Wszystko było łatwiejsze, bo już znane. Janek nie znosił leżeć. Lubił, żeby go trzymać, tak by widział świat. Nie lubił zabawek interaktywnych, książeczek. Najpierw odwracał się od nich z płaczem, a gdy już mógł, każdą wywalał z wściekłością. Lubił za to testować, ile może jego ciało. Gdy miał pięć miesięcy, stanął przy szczebelkach łóżeczka, choć nogi się pod nim trzęsły. Chodzić zaczął, kiedy miał dziewięć miesięcy. Do dziś testuje możliwości swojego ciała. I nasze. Książeczek, jak nie lubił, tak nie lubi.

Hania pozostała Hanią. Imię pasowało idealnie. Jak to mówią: do trzech razy sztuka. Urodziła się pół roku po katastrofie smoleńskiej. W jej przypadku „producent" usunął wszystkie usterki z poprzednich modeli. Przez dwa tygodnie Hania właściwie cały czas spała i jadła. Usypiała wtulona w pieluszkę, bez niczyjej pomocy. Właściwie cały czas się uśmiechała, a pod pachą miała pieprzyk w kształcie serduszka. Dziś przypomina on już bardziej czarną plamę. Uśmiech jej został. Mówiliśmy o niej: wisienka na torcie. Wciąż jest dzieckiem „na tak", któremu wychodzi wszystko, czego się tknie.

Gdy już myśleliśmy, że wszystkie dzieci mamy w domu, gdy oddaliśmy łóżeczko, wózek, kocyki, ubranka i wszystkie zgromadzone zabawki, pojawiła się Aniela i postawiła nasze życie na głowie. Zaczęło się jak u Hitchcocka, od trzęsienia ziemi. Lekarz stwierdził, że ciąża, której byłam pewna, jest pozamaciczna. A potem było tylko lepiej. Ponieważ ta historia jest długa i ma wiele zwrotów akcji (zainteresowanych odsyłam do książki „Cuda nasze powszednie", gdzie w epilogu można znaleźć więcej szczegółów), powiem tylko, że gdy Aniela przyszła na świat, miała niedrożny przewód pokarmowy, trzeba było resekować jelito cienkie, podczas operacji wystąpiła niewydolność oddechowa i krążenia, następnie śpiączka, a potem w sprawy wmieszał się Święty Charbel. Wtedy zrozumiałam, że kto nie bał się o życie dziecka, ten się nie bał w ogóle. Dziś jest jej pełno wszędzie. Bose stopy depczą zieloną trawę, jej śmiech (czasem pisk, czasem płacz, a czasem śpiew) wypełnia cały dom. A wielkie ciemne oczy robią się jeszcze większe, gdy mówi: „Zawsze będę cię kochać, do końca życia". I tylko szrama na brzuchu przypomina o strachu.



Każde dziecko to osobna powieść. Każde przyniosło na świat swój charakter, który ujawniał się od pierwszych chwil po narodzinach. A ja od 15 lat jestem lekarzem amatorem (zapalenie gardła, anginę, szkarlatynę, pokrzywkę, zapalenie wyrostka robaczkowego, zapalenie oskrzeli rozróżniam bezbłędnie), negocjatorem („to mój długopis", „nie, on mi go zabrał"), saperem (niepospr ątany pokój jest jak pole minowe) czy szefem kuchni (zdarza mi się wydawać pięć różnych obiadów, bo każdy ma inną dietę i apetyt). Ostatnio bywam nawet nauczycielką. Jestem też dużym dzieckiem, lubię skakać na trampolinie i wyskakiwać z okrzykiem: „buuu!" z ukrycia. Lubię lody (karmel z solą nie ma sobie równych) i rowerowe przejażdżki. Lubię też siedzieć z książką i patrzeć, jak oni się bawią.

Dzień Matki to mój dzień. Obchodzę go uroczyście 365 razy w roku.

Dorota Łosiewicz

Białoruś

Kandydat nadziei czy Moskwy?

Zaplanowane na 9 sierpnia wybory prezydenckie na Białorusi mogą się okazać bardzo ciekawe. Zgłoszono największą liczbę kandydatur w historii, co jest świadectwem politycznego ożywienia w kraju. Co więcej, pojawiło się dwóch kandydatów niezwiązanych z opozycją, którzy mogą rzucić wyzwanie Aleksandrowi Łukaszence. Pierwszy jest Waleryj Capkała, były wiceminister spraw zagranicznych i szef Parku Zaawansowanych Technologii. Drugi to nazywany „kandydatem nadziei" i budzący spory entuzjazm w internecie Wiktar Babaryka, który przez 20 lat kierował Biełgazprombankiem, będącym własnością rosyjskiego Gazpromu.



Babaryka jest aktywnym komentatorem białoruskiego życia gospodarczego. W wywiadach, jakich udziela mediom niezależnym lub częściowo niezależnym, mówi, że sytuacja się pogarsza, bo władze nie przeprowadziły koniecznych reform. Niechęć do zmian, w jego opinii, wpycha Białoruś w zastój cywilizacyjny, a Białorusinów w nędzę. Jawi się jako zwolennik reform, nowoczesności, ale również silnych związków z Rosją. Jego zdaniem nie da się i nie powinno rozdzielać gospodarczych organizmów Białorusi i Rosji.

Babaryka kreuje swój wizerunek jako pragmatycznego reformatora. Bankier, białoruski patriota, mający przy tym dobre układy w Moskwie, to główne elementy jego kampanii. Sprawia ona wrażenie dobrze przemyślanej i dynamicznej. Swoją kandydaturę ogłosił 12 maja. Dwa dni później w jego grupie inicjatywnej było już ponad 4 tys. osób, a wkrótce po rejestracji swojego komitetu poinformował, że ich liczba przekroczyła 9 tys. Jak na Białoruś i kandydata niezależnego to naprawdę dużo. Więcej ma tylko Łukaszenka, do którego komitetu zgłosiło się 11 tys. osób. Stanisław Bahdankiewicz, były prezes białoruskiego Banku Centralnego, powiedział mediom, że za kandydaturą Babaryki, który jego zdaniem jest demokratą, człowiekiem chcącym zmian i szanującym prawa obywateli, może pójść również nomenklatura, bo ludzie będący fundamentem obozu władzy mają już dość zastoju i arogancji Łukaszenki. Dlatego, jak uważa, kandydatura byłego bankiera nie zostanie zarejestrowana. Inni białoruscy eksperci twierdzą jednak, że Łukaszenka przyjmie wyzwanie, tym bardziej że uchylając się przed wyborczym sparingiem, pokazywałby swoją słabość.

Mamy zatem do czynienia z intrygującą rozgrywką. Łukaszenka, o ile dopuści Babarykę do startu w wyborach, będzie się mierzył z rywalem opowiadającym się za unowocześnieniem kraju i zwolennikiem pragmatycznej współpracy z Rosją. Innymi słowy siermiężny Łukaszenka kontra nowoczesny, prorosyjski Babaryka.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock

Czerwone Jeruzalem

Rosja

W Kubince pod Moskwą zakończono budowę garnizonowej świątyni prawosławnej Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej pw. Zmartwychwstania Chrystusa. Monumentalny gmach wzniesiony z okazji 75. rocznicy triumfu w II wojnie światowej zaprojektowany został zarazem jako pomnik chwały oręża rosyjskiego. Do ostatniej chwili wykonawcy projektu musieli nanosić jednak do jego wystroju poprawki. Kilka tygodni temu bowiem okazało się, że na malowidle przedstawiającym zwycięstwo w 1945 r. widnieje portret Stalina, a na fresku ukazującym aneksję Krymu w 2014 r. są postaci Putina i jego współpracowników, m.in. Patruszewa, Szojgu i Aksjonowa.

W mediach rozgorzała na ten temat gorąca dyskusja, którą zakończył sam Putin stwierdzeniem, iż jest jeszcze za wcześnie na stawianie mu pomników i dopiero historia wyda o nim osąd. W efekcie twarze prezydenta i jego towarzyszy zastąpiono ikoną Matki Bożej oraz obliczami prawosławnych księży. Zamiast Stalina pojawił się czerwony sztandar. Nie wszyscy jednak się z tą decyzją pogodzili. Odpowiedzialny za kształt artystyczny świątyni ks. Leonid Kalinin do końca bronił wizerunków Stalina i Putina. Wtórował mu gen. Kartapołow, argumentując, że „Stalin przywrócił religię w Rosji".

Nawet po usunięciu kontrowersyjnych twarzy wystrój budynku budzi jednak wiele wątpliwości. Wynikają one z tego, że twórcy projektu postanowili pogodzić dwa elementy: wojnę prowadzoną przez Armię Sowiecką z wojną duchową toczoną przez zastępy niebieskie. W efekcie triumfom czerwonoarmistów towarzyszą hufce anielskie oraz wsparcie Matki Bożej i licznych świętych. Na jednym z fresków krasnoarmiejcy wznoszą nad zdobytym Berlinem proporzec z Michałem Archaniołem, na innym zaś ikona Matki Bożej w eskorcie aniołów przybywa na pomoc sowieckiej baterii przeciwlotniczej. Na witrażach sąsiadują krzyż z sierpem i młotem. Znany teolog diakon Andriej Kuriajew nazwał świątynię przykładem „monumentalnego pogaństwa". Jego głos pozostaje jednak odosobniony.



Fot. Mil.ru

Grzegorz Górny

eprasa.pl a4f1a0e949

Irlandia

Zielona Wyspa w kryzysie

Irlandia zmaga się z gwałtownym wzrostem bezrobocia wywołanym przez pandemię koronawirusa. Według statystyk w pierwszej połowie maja odsetek ludzi bez pracy wzrósł do blisko 30 proc. Skok bezrobocia jest gigantyczny, bo jeszcze na początku roku jego skala nie przekraczała w Irlandii 5 proc.

Krach na rynku pracy rozpoczął się w marcu, gdy bezrobocie nagle podskoczyło do 15 proc. i odtąd stale rosło. Rząd Irlandii przewidywał, że późną wiosną osiągnie ono poziom 22 proc., jednak rzeczywistość okazała się znacznie gorsza. Bardzo źle wygląda sytuacja wśród młodych: prawie 53 proc. osób w przedziale wiekowym 15–24 lat nie ma dziś pracy. Tak fatalnych statystyk nie było w Irlandii od dawna. Nawet podczas ostatniego dużego tąpnięcia na rynku pracy w 1985 r. odsetek bezrobotnych nie przekraczał 18 proc.

Podstawową przyczyną bezrobocia jest oczywiście zatrzymanie gospodarki spowodowane koronawirusem. Jednak jego skala ma związek ze specyfiką irlandzkiego rynku, opartego głównie na sektorze usług i handlu, najbardziej wrażliwym na wahnięcia koniunktury. Jak się oblicza, najwięcej miejsc pracy utracono w takich branżach jak hotele i usługi gastronomiczne, sprzedaż hurtowa i detaliczna oraz budownictwo.

W ramach walki z bezrobociem rząd uruchomił program awaryjnych wypłat dla osób pozostających bez pracy. Co tydzień każda z nich otrzymuje 350 euro zapomogi. W zeszłym tygodniu pomoc o łącznej wartości 204,6 mln euro przekazano 585 tys. bezrobotnych. Dodatkowo 464 tys. pracowników otrzymało wsparcie w ramach programu dopłat do wynagrodzeń. Łącznie więc – jak podają irlandzkie media – 1,26 mln osób utrzymywanych jest, w całości lub częściowo, przez państwo. Pokazuje to zarówno skalę problemu, jak i ogrom wydatków ponoszonych przez budżet. Rząd się pociesza, że łączna liczba zakwalifikowanych do otrzymania pomocy zaczęła spadać, ale na razie są to minimalne liczby, mowa bowiem o zaledwie 4 tys. osób.

Ratunkiem ma być odmrażanie gospodarki. Na razie jednak bardzo ostrożne, w pierwszej fazie pozwolono na otwarcie dodatkowych sklepów, parków, plaż oraz boisk sportowych. Nadal obowiązują zasady dystansu społecznego. Następną fazę wychodzenia z lockdownu rząd zaplanował na 8 czerwca.

Kryzys na rynku pracy w Irlandii kolejny raz potwierdza, że szybki rozwój gospodarczy oparty na usługach oraz elastycznym rynku pracy ma swoje słabe strony. Przez kilka lat wskaźniki ostro szybują, ale gdy w końcu nastąpi spadek, jest on bardzo trudny do zahamowania, a jego konsekwencje są wyjątkowo bolesne.

Konrad Kołodziejski

Powrót Obamagate

USA

Departament Sprawiedliwości USA zwrócił się do sądu w Waszyngtonie o oddalenie zarzutów karnych wobec gen. Michaela Flynna, byłego doradcy Donalda Trumpa. Oskarżano go o składanie fałszywych zeznań w sprawie kontaktów z rosyjską dyplomacją. Teraz uznano, że te zarzuty nie mają żadnej podstawy.

Flynn był doradcą Trumpa przez zaledwie 24 dni i musiał złożyć rezygnację, gdy obwiniono go o zatajenie przed wiceprezydentem Pence'em istoty swoich kontaktów z Siergiejem Kislakiem, ówczesnym ambasadorem Rosji w Waszyngtonie. Flynn, który początkowo przyznał się do relacji z Kislakiem, twardo odrzucał najpoważniejsze oskarżenia (o przyjmowanie pieniędzy od telewizji Russia Today i lobbowanie na rzecz Turcji), a w styczniu zażądał wycofania wszystkich swoich zeznań złożonych przed FBI.

Specjalny prokurator Robert Mueller ogłosił w ub.r. w swoim raporcie, że nie ma dowodów na to, iż doszło do zmowy między sztabem Donalda Trumpa a przedstawicielami Rosji przed wyborami prezydenckimi w USA w 2016 r. Po nieudanej próbie impeachmentu Trump przeszedł do kontrataku. Dziś nazywa Flynna bohaterem. Możliwe, że pozwoli mu na powrót do Białego Domu.

Do ciekawych wniosków doszedł przy tej okazji David Rashani z konserwatywnego magazynu „National Review". Komentator uważa, że rozpoczęte przez administrację Baracka Obamy śledztwo w sprawie tajnego porozumienia Trumpa z Rosjanami opierało się „prawdopodobnie na rosyjskiej dezinformacji". Zarzuca też ekipie Obamy fabrykowanie dowodów w celach politycznych i zmuszenie Michaela Flynna do przyznania się do niejasnych kontaktów z Rosjanami. Publicysta oskarża też dyrektora CIA z czasów Obamy, Johna Brennana, o szpiegowanie senatorów. Dowody? Włamania służb do przynajmniej pięciu komputerów senatorów. Rashani przypomina szpiegowanie dziennikarza Fox News na mocy Espionage Act z 1917 r. oraz inwigilację dziennikarzy agencji Associated Press. „Dlaczego ci sami ludzie nie szukaliby pretekstu, aby szpiegować partię opozycyjną? Wiemy dobrze, że Barack Obama był zainteresowany sprawą rzekomej zmowy z Rosjanami i śledztwem" – czytamy w magazynie.



Można być pewnym, że w tej kampanii, gdy przeciwko Trumpowi staje wiceprezydent z administracji Obamy, Joe Biden, sprawa nabierze nowych odcieni.

Łukasz Adamski

eprasa.pl a4f1a0e949

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Trzaskowski? Wisła mówi: nie!



Jan Pietrzak

Trwa „odmrażanie" obostrzeń. Ruszyli do pracy fryzjerzy, kosmetyczki, restauratorzy... Proszę wyznaczyć jakieś miejsca (4 mkw.), gdzie może stanąć człowiek z gitarą i śpiewać, co chce. Wolność słowa śpiewanego jak na razie jest „zamrożona".

Sejm wysłał do Senatu kolejną ustawę wyborczą. Grodzki szybko zaakceptuje, bo do ustawy dołączono kopertę... z pozdrowieniami od nowego kandydata, któremu się spieszy.

Ze spraw naprawdę ważnych – poszukuje się przestępcy, który zniszczył 60 uli... Niepojęte barbarzyństwo. A gdzie żyją barbarzyńcy? Wszyscy wiemy. Wniosek nasuwa się sam – to jest wojna hybrydowa. Jakiś uczony dawno powiedział, że jeśli wyginą pszczoły, po paru latach zginą ludzie.

Ktoś ukradł ze stadniny koni w Bielsku-Białej dwa białe kangury. Potrzebował dużych kieszeni... CBA na tropie.

Sędzia Stępkowski, przejmując obowiązki pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, poprosił „żeby poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne, jakim jest Rzeczpospolita, dominowało nad emocjami". Kolejny naiwny prawnik?

„Pierwsza prezydent" Kidawa, która kandydowała, bojkotując, a następnie bojkotowała, kandydując, została wycofana, bo była za dobra, jak oceniła Leszczyna. Ciut skomplikowane... ale jednak prawdziwe.

Rafał Trzaskowski na prezydenta?! Wisła mówi: „Nie!". Na marginesie... Złośliwcy twierdzą, że on ucieka od warszawskich problemów: śmieci, deficytu, skradzionych kamienic, awarii, trujących ścieków, zagubionych obietnic, a zwłaszcza od strefy relaksu.

Senator Bury wtargnął do radiowozu podczas zadymy i nie chciał go opuścić. Lubi być prześladowany przez okrutny reżim. Tak jak Diduszko, który przed paroma laty rozłożył się na jezdni jako ofiara przejechana przez straszliwych pisowców.

W związku z atakiem wirusów na Śląsk dobrze się stało, że wydobycie górników z zarazy jest dla rządu ważniejsze od wydobycia węgla. Węgiel może poczekać lata i stulecia, ludzie nie.



Antidotum na różne sytuacje

Z Rafałem Mroczkiem, aktorem i tancerzem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Piosenka jest dobra na wszystko, a taniec?

Rafał Mroczek: Muszę zacząć od tego, że jako dziecko zostałem zapisany przez mamę na zajęcia taneczne i tak, jak na początku niechętnie na nie chodziłem, tak potem, przez dłuższy czas, i z własnej woli, uczęszczałem do zespołu tańca nowoczesnego Caro Dance w Siedlcach. To było... lata temu.

Uczęszczałem? A drugi z braci?

No tak, uczęszczaliśmy. Z Marcinem. I teraz sobie uświadomiłem, że minęło od tamtego czasu 25 lat! Nie myślałem, że aż tyle. Ciągle czuję się dużo młodszy (śmiech).

W programie „Dance, Dance, Dance" pokazał pan klasę i wolę walki. Wespół w zespół wytańczyliście z Przemysławem Cypryańskim trzecie miejsce. A na co dzień zdarza się panu rozładowywać np. zły nastrój lub stres tańcem?

Muzyka to dla mnie antidotum na różne sytuacje, a skoro jest muzyka, jest też ruch – na codzienny użytek: spontaniczny, improwizowany, bez choreografii. Taka forma ekspresji towarzyszyła mi też przed „Dance, Dance, Dance", ale aktywność fizyczna jest u mnie na porządku dziennym. Nie tylko taniec. Także rower, piłka nożna. Od lat jestem zawodnikiem Reprezentacji Artystów Polskich, prawym obrońcą, od niedawna kapitanem drużyny. Gramy dziesiątki meczów w roku. Poza niesamowitymi sportowymi emocjami i spotkaniami z ludźmi, podczas tych tras poznajemy naprawdę ciekawe, piękne i często nieodkryte turystycznie rejony i miejsca w Polsce. Fantastyczna sprawa.

Fot. TVP

eprasa.pl a4f1a0e949

BRONISŁAW WILDSTEIN

Stawka konfliktu w Polsce



Polska, na tle całego Zachodu, wyjątkowo dobrze radzi sobie z pandemią koronawirusa. Również wywołanemu nią kryzysowi, gospodarka nasza, jak dotąd, przeciwstawia się zdumiewająco skutecznie. Odnotowują to światowe agencje ratingowe i poważne instytuty ekonomiczne. Wiadomości na ten temat znajdujemy nawet, choć niespecjalnie wyeksponowane, w niechętnych obecnej władzy mediach, które stanowią na Zachodzie zdecydowaną większość. Spadek polskiego PKB jest najniższy w UE, prognozy należą do najlepszych, a polska waluta trzyma się bardzo dobrze. Wszystko to wskazuje, że pozycja naszego kraju w UE po zakończeniu pandemii może się znacząco poprawić. Równocześnie jednak narasta agresja dominujących ośrodków politycznych i opiniotwórczych UE przeciw naszemu krajowi oraz Węgrom, które także odważyły się wybrać ugrupowanie niewpisujące się w dominującą na naszym kontynencie ideologię i dobrze radzą sobie z obecnymi problemami. Czy nasilanie się tych nacisków nie wiąże się więc z obawami establishmentu europejskiego, że to ostatni moment, aby przywołać niepokorne narody do posłuszeństwa? Czy nie jest to ewidentny przejaw neokolonializmu z jego strony?

Dobrą ilustracją tej postawy jest sprawa sądownictwa. Niemiecki Trybunał Konstytucyjny domaga się od TSUE, aby powstrzymał Europejski Bank Centralny przed masowym wykupywaniem obligacji państw strefy euro. Z właściwą sobie subtelnością niemiecki TK dał instytucjom europejskim trzy miesiące czasu na rozwiązanie tego problemu. W tym wypadku sąd niemiecki nie zajmuje się wewnętrznymi sprawami swojego kraju, ale uznaje się za władny regulować sprawy całej Unii. Wyobraźmy sobie, że polski Trybunał domaga się zmiany działania instytucji europejskich. Możemy mieć pewność, że wystąpienie takie spotkałoby się co najmniej z rozbawieniem również w opiniotwórczych ośrodkach w naszym kraju. A przecież formalnie kraje UE winny być równouprawnione.

Niemiecki sąd nie chce jednak, aby jego decyzja potraktowana została jako precedens, zwłaszcza przez Polskę. Kilka dni po przywołaniu do porządku TSUE odchodzący prezes niemieckiego TK Andreas Vosskuhle ogłosił, że polski Trybunał Konstytucyjny nie jest już poważnym sądem, lecz „marionetką". Ta skandaliczna i niemieszcząca się w żadnych cywilizowanych standardach wypowiedź miała groteskowy odcień, gdyż jego następca zajmujący właśnie to stanowisko Stephan Harbarth był przez długi czas aktywnym politykiem i posłem CDU, nie mówiąc o tym, że związany był z wielkimi koncernami samochodowymi, które reprezentował jako adwokat, co wytykają mu zresztą niemieckie media.

Oburzenie zachodniej Europy na reformę polskiego wymiaru sprawiedliwości, włącznie z „wyrokami" TSUE w tej sprawie, jest jaskrawym przykładem podwójnych standardów, gdyż wpływ polityków na obsadzanie stanowisk sędziowskich w głównych krajach Europy z Niemcami włącznie jest znacznie większy niż w Polsce nawet po ostatnich reformach. Niekiedy komentatorzy czują się zobowiązani wytłumaczyć te niekonsekwencje i ogłaszają, że kultura demokratyczno-prawna na Zachodzie została już utrwalona. Wynika z tego, że Polacy nie dorośli jeszcze do demokracji, którą w ich wypadku muszą nadzorować niekontrolowani przez nikogo bramini sędziowskiej kasty.

Ten stosunek do naszego kraju możliwy jest wyłącznie dlatego, że kolonialne standardy są nie tylko popierane, ale wręcz propagowane przez establishment III RP. „Europejskość" w jego wydaniu oznacza, że Polacy muszą podporządkowywać się arbitrom z Brukseli (w rzeczywistości głównie z Berlina), którzy lepiej wiedzą, co jest dla nas dobre. Biorąc pod uwagę, że elity III RP mają w dużej mierze komunistyczny rodowód, mamy do czynienia ze stałością postaw, tyle że zmieniło się umiejscowienie patronów, a Moskwę zastąpiła Bruksela. Często zresztą opisane opinie reprezentują te same ośrodki i te same osoby. To, że szantaż sowieckich czołgów zastąpiła groźba ekonomicznych sankcji, należy uznać za postęp, ale z perspektywy niepodległościowych ambicji jest on dalece niewystarczający. Jednakowoż środowiska III RP chętnie zapłacą za sprawowanie władzy nad tubylcami podległością swoim zachodnim patronom. Postawę taką w całej okazałości prezentował rząd PO i jego lider Donald Tusk. Polityków można zmienić, poważniejszym problemem jest jednak orientacja dominujących ciągle w kulturze czy nauce środowisk opiniotwórczych, która zmienia się zdecydowanie trudniej. W tej sprawie czeka nas długa praca nad przełamywaniem zadawnionych kompleksów i dominującej ideologii, która je podsyca.

To w tej kulturalno-mentalnej dziedzinie upatrywać należy największych przeszkód w odbudowie podmiotowej pozycji Polski.



Wkrótce na rynku najnowsza książka Autora

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a4f1a0e949

OGNIEM NA WPROST

Kindersztuba i upadły anioł



Z filmu Sekielskich „Zabawa w chowanego”, który miał być hitem na miarę co najmniej „Tajemnicy Brokeback Mountain”, powietrze zeszło niczym ze starej dętki. W dodatku przykryty zadymą wokół radiowej Trójki nie spełnił pokładanych w nim nadziei – skutecznego ataku na Kościół i obniżenia notowań starającego się o reelekcję prezydenta Andrzeja Dudy. Nawet TVN – oprócz rytualnej rozmowy w studiu Moniki Olejnik z autorem, dziwnym trafem akurat w 100. rocznicę urodzin św. Jana Pawła II – przeszedł nad dziełem Sekielskich do porządku dziennego. Sądząc po zebranym budżecie (ok. 2 mln zł), darczyńcy mogą się poczuć oszukani, bo – nie ukrywajmy – wyszli na przysłowiowych frajerów. Ostatniej próby ratowania „Zabawy w chowanego” podjęła się więc specjalistka od spraw beznadziejnych obecnie dziennikarka combo z Czerskiej Eliza Michalik. „Chodzisz do kościoła i dajesz na tacę – to również twoja wina. Nieważne, ilu znasz dobrych i miłych księży – oni są w instytucji kryjącej zbrodniarzy. Wspierając ją choćby jedną złotówką czy jednym dobrym słowem, jesteś współwinny, bo pozwalasz im myśleć, że ujdzie im to na sucho” – krzyknęła, ale jej głos stał się wołaniem na puszczy. Jak zwykle zresztą. No może z małym wyjątkiem. Publicysta i katolik w jednym Tomasz Terlikowski, który nie mógł się powstrzymać od wystąpienia w superprodukcji Sekielskich, doszedł do równie ciekawego wniosku, że skoro „Pan Bóg może się posłużyć dla rozwiązania rozmaitych problemów czy wskazania ich nie tylko ludźmi o nieposzlakowanej opinii i bezdyskusyjnych intencjach, ale każdym”, to i równie dobrze mogli to być bracia Sekielscy. Ale i Eliza Michalik. Może redaktor Terlikowski zabierze się teraz do ewangelizacji tego upadłego anioła? Tu przestroga. Niejeden, który pewny swych sił podnosił anioły, sam nisko upadł.

Radosław Sikorski, sołtys z Chobielina, znów dał popis braku kindersztuby. Sędzia TK Krystyna Pawłowicz w odpowiedzi na drakę w Trójce wpisała na Twitterze, skądinąd całkiem trafną uwagę: „Ttrujka... Samooczyszczenie...”. Nawiązała w ten sposób do tweeta posła Mieszkowskiego, który widać ma kłopoty z ortografią i przy potocznej nazwie stacji użył „u” zwykłego zamiast kreskowanego. Sikorskiemu znowu puściły nerwy i odpisał Pawłowicz: „Zamknij się, wariatko”. Sikorski, mąż swojej żony, nie od dziś próbuje wynagrodzić sobie kompleks dziecka z peerelowskiego blokowiska. Jak wiadomo, w wędrówkę w wielki świat wyruszył z bydgoskiego osiedla Leśne, z bloku na Bocianowie.

Bundesrat – wyższa izba niemieckiego parlamentu – zaproponował zakazanie Niemcom obrażania zarówno flagi Unii Europejskiej, jak i hymnu „Oda do radości”. Bundesrat uchwalił projekt ustawy, na mocy której osoby takie karane będą grzywną lub do trzech lat więzienia. Nowo uchwalony projekt został właśnie ratyfikowany przez Bundestag i ostatecznie obowiązuje. Zdaniem posła Fabiana Jacobiego z AfD prawdziwym celem prawa jest skłonienie „obywateli do dwukrotnego zastanowienia się, czy warto odważyć się publicznie krytykować UE”. Ostatecznie tylko AfD zagłosowała przeciwko nowej ustawie, powołując się na „nadmierną ingerencję w wolność wypowiedzi”. Pomimo tego że traktat lizboński nie nakłada obowiązku wprowadzenia w krajach wspólnoty symboli unijnych (flagi, hymnu), niemiecki parlament jest bardziej pryncypialny niż Bruksela. Następnym przewidywalnym krokiem parlamentów krajów Unii Europejskiej będzie najprawdopodobniej poddanie prawnej ochronie logo tęczy LGBT. By ostatecznie rozwiązać problem tzw. homofonii, sankcją za spalenie flagi fanów waginosceptycyzmu i tym podobnych powinno być dożywocie.

Ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher zasugerowała ewentualne przeniesienie amerykańskiego arsenału atomowego z Niemiec do Polski z racji nieprzychylnej postawy tamtejszej opinii publicznej i niewywiązywania się Berlina ze zobowiązań finansowych wobec NATO. Miałoby to się odbyć w ramach tzw. programu Nuclear Sharing, czyli posiadania tej broni masowego rażenia przez nasz kraj przy kontroli Waszyngtonu. W programie tym oprócz Niemiec uczestniczą jeszcze takie kraje jak Włochy, Belgia czy Hiszpania. Pytany o to na antenie Polsatu przez redaktora Bogdana Rymanowskiego kandydat na prezydenta RP Rafał Trzaskowski wił się jak piskorz i w zasadzie z jego pokrętnego przekazu można było wywnioskować, że po co nam bomba atomowa, skoro mamy nad sobą rozpostarty parasol NATO. Pewnie, po co nam planowany największy w całej Europie Środkowo-Wschodniej Centralny Port Komunikacyjny, skoro mamy lotnisko w Berlinie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a4f1a0e949

W obronie pokrzywdzonych



Marta Kaczyńska-Zielińska

Z danych publikowanych przez policję wynika, że w 2019 r. w Polsce ponad 88 tys. osób padło ofiarą przemocy w rodzinie. Większość z nich to kobiety (ponad 65 tys.). Małoletnich było natomiast ponad 12 tys. W pierwszym kwartale nowego roku, w związku z ograniczeniami związanymi z pandemią, statystyki dotyczące przemocy w domach w wielu krajach na świecie zmieniły się na niekorzyść ofiar nawet o połowę. Wielu praktyków w Polsce sygnalizowało utrudnienia związane ze świadczeniem pomocy osobom pokrzywdzonym przemocą domową w związku z obowiązywaniem stanu epidemicznego. Po doświadczeniu konsekwencji pandemii wprowadzenie sprawnych narzędzi zwalczania i zapobiegania agresji wśród osób sobie najbliższych jest tym bardziej uzasadnione i konieczne.

19 maja br. prezydent podpisał ustawę wprowadzającą możliwość natychmiastowej izolacji sprawcy przemocy w rodzinie. Przepisy zaczną obowiązywać jesienią. Ofiary przestępstw popełnianych w domach przestaną być bezsilne.

Przepisy wyposażą policjantów w nowe narzędzia wobec osób dopuszczających się aktów przemocy wobec domowników w postaci stosowania nakazu opuszczenia i zakazu zbliżania się do mieszkania. Zgłoszenie konieczności odizolowania sprawcy będzie mogło zostać dokonane przez osobę, która ucierpiała wskutek przemocy, kuratora sądowego lub pracownika jednostki organizacyjnej pomocy społecznej.

Przesłanką warunkującą wydanie nakazu opuszczenia mieszkania lub zakazu zbliżania się jest stwierdzenie zagrożenia dla życia lub zdrowia osoby dotkniętej przemocą. W sytuacji zaistnienia wątpliwości co do występowania niebezpieczeństwa konieczne będzie udowodnienie zaistnienia powyższej okoliczności za pomocą zeznań członków rodziny, sąsiadów, kuratorów, pracowników jednostek opieki społecznej, a także dokumentów, np. w postaci obdukcji. Wszystkie przesłuchania będą pod rygorem odpowiedzialności karnej za złożenie nieprawdziwych zeznań.

Sprawca przemocy będzie mógł zabrać ze sobą osobiste rzeczy. Na zabranie domowego pupila zgodę będzie musiała wyrazić rodzina. Osobie podejrzanej o stosowanie przemocy w rodzinie, wobec której wydano nakaz opuszczenia mieszkania lub zakaz zbliżania się do niego, będzie przysługiwać zażalenie do sądu rejonowego.

Przed wejściem w życie nowych przepisów policjanci mają zostać przeszkoleni przez prawników, psychologów i psychoterapeutów. W związku z interwencją spowodowaną zgłoszeniem wystąpienia aktu przemocy w rodzinie policjanci będą mieli obowiązek poinformować osoby pokrzywdzone o możliwości uzyskania wsparcia, m.in. w ośrodku pomocy społecznej, specjalistycznym ośrodku wsparcia dla ofiar przemocy w rodzinie, o całodobowym ogólnopolskim telefonie dla ofiar przemocy w rodzinie, a także o możliwości uzyskania pomocy udzielanej przez podmioty, które otrzymały dotacje z Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – Funduszu Sprawiedliwości.

Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, uzupełniający przez lata zaniedbywaną sferę pomocy państwa osobom pokrzywdzonym przestępstwem, został utworzony we wrześniu 2017 r. mocą przepisów rozporządzenia ministra sprawiedliwości. Ideą inicjatywy ministra jest zaoferowanie pomocy psychologicznej, prawnej, medycznej, rehabilitacyjnej i materialnej wszystkim ofiarom przestępstw oraz ich rodzinom. Fundusz Sprawiedliwości ma również za zadanie pomagać osobom zwalnianym z aresztów śledczych i zakładów karnych, wspierać rozwój instytucji pomagających osobom pokrzywdzonym, zapobiegać przestępczości oraz rozpowszechniać wiedzę odnośnie do praw, jakie przysługują ofiarom przestępstw. Dotacje przekazane ze środków Funduszu umożliwiły rozpoczęcie budowy ogólnopolskiej sieci ośrodków i punktów przeznaczonych dla osób pokrzywdzonych. Wniosek o uzyskanie pomocy z Funduszu Sprawiedliwości może złożyć każdy, kto został dotknięty jakimkolwiek przestępstwem bądź był jego świadkiem.

REKLAMA



52/0420/F

eprasa.pl a4f1a0e949

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY *Krzysztofa Logana Tomaszewskiego* PRZED KORONAWIRUSEM





Dlaczego jestem spełnionym gościem? – To proste! Niechaj odpowiedzią będzie mój ostatni olej.

To „Chłopiec w czerwonej czapeczce", ***Kazimierz Dolny*** 2020 z cyklu „Prowincja jest piękna".

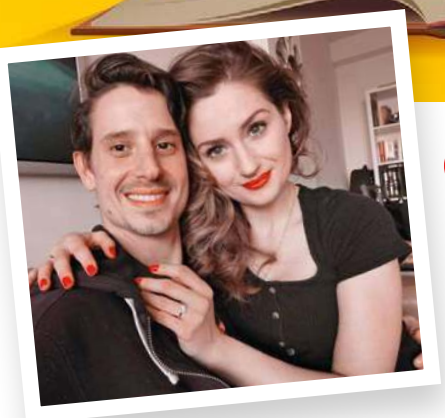
Na obrazie Józio Lubicki ze swoim Tatą wędrujący ulicą Krakowską. Gdy dorośnie i osiągnie 60 lat, spojrzy zapewne powie: „Czy to byłem ja? Taki mały? To były fajne czasy!".

Po spotkaniu autorskim KLT i VI koncercie w październiku 2019 r. Na fotografii goście i muzycy oraz wykonawcy moich piosenek, m.in. Aneta Szymczyk („Stare buty van Gogha"), Maciek Czemplik (wspaniały gitarzysta i kompozytor) i przyjaciele. Kolejny VII koncert odbędzie się pod koniec sierpnia br. ***w Konstancinie*** w moim ogrodzie. Już dziś serdecznie zapraszam.

Wiele lat spędziłem w studiach nagraniowych. Jako autor piosenek i ich producent nagrałem kilkadziesiąt utworów, m.in. z K. Cugowskim, G. Łobaszewską, B. Mecem, W. Ochmanem, F. Andrzejczakiem. Mój ostatni album to „Mama Jesień", który zadedykowałem śp. Mamie Zofii.

Na zdjęciu Natalia Lubrano – utalentowana wokalistka z Wrocławia oraz Maciek Czemplik podczas nagrywania w studiu Teatru Kamienica w październiku 2019 r.





Gdy myślę o tym, co jest w życiu pozytywnie piękne i udane, przychodzi mi do głowy, że oprócz twórczości są to moje dzieci: Filip i Tanya. On Polak – mój syn, który urodził się ***w Rzymie*** podczas pierwszego roku mojej emigracji do ***Kanady***. Ona jego włoska narzeczona. Właśnie przyjęła jego oświadczyny. Może wreszcie zostanę dziadkiem? Tak, to, co najbardziej uszczęśliwia, to szansa na przedłużenie w tym sensie kończącego się życia. W mojej samotnej samotności tylko to mnie pociesza. Oprócz muzyki. Na chwilę. Fotografia zrobiona przez Filipa w marcu br. ***w Montrealu***.



Ostatnimi laty już nie podróżuję tak jak dawniej. Moja emigracja dobiegła końca. Dlatego piszę, komponuję, maluję. „Nocne martini" to olej, którym opowiadam o kobiecie ulicznej pracującej w hotelu z neonem „Love". Ten obraz jest równocześnie okładką dziewiątej płyty. Znalazły się na niej moje największe przeboje, np. „Już nie ma dzikich plaż", „Stare buty van Gogha".

Malowanie przypomina pisanie i komponowanie melodii. Tu muśniesz pędzlem, dodając trochę sepii lub błękitu. Poprawisz kilkanaście zdań, a następnie skasujesz zbędne przymiotniki. W pisaniu melodii (jest dla mnie arcyważna) zwykle opieram się na nutach i frazach z muzyki prawdziwej, czyli z epoki romantyzmu bądź baroku. To dwa okresy, które mną poruszają od zawsze. Muzyka Chopina i Szymanowskiego oraz Mozarta i Pergolesiego.

prasa.pl a4f1a0e949





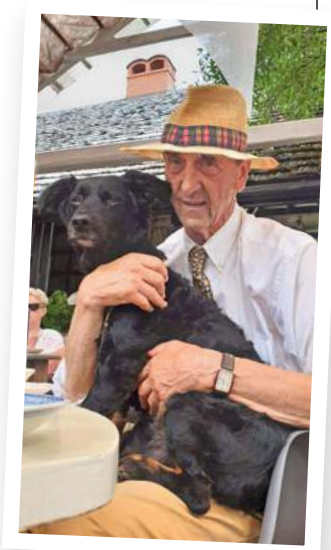
W mojej ostatniej ósmej książce opisałem więź dwóch samotnych istot: psa i jego pana. Połączyła ich dojrzałość wieku oraz pasja oglądania dawnych filmów, takich jak „Misfits", „Casablanca", „Verdict". Gdy nadchodzi wieczór, siana stareńkiej kanapie, on włącza DVD, a pies kładzie się na jego kolanach.



Gdy spoglądam wstecz, dostrzegam moje przemijanie i to co zmarnowałem bezpowrotnie. Zastanawiam się, o ile więcej mógłbym osiągnąć, gdybym poświęcił się tylko jednej pasji.

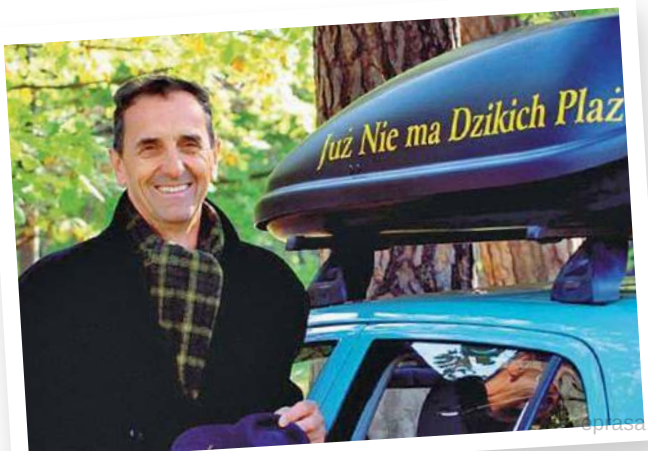
Mam ich nazbyt wiele. Są to: muzyka, piosenka, słowo, malarstwo. Każda pomaga mi czytać i opisywać świat. Świat dziwnie skomplikowany i właśnie dlatego taki piękny!

Na fotografii z Solomonem, moim przyjacielem, o którym mawiam „Pies kocha bardziej swego pana niż samego siebie".



Spisał ***Michał Korsun***

Bohater tekstu jest „ryciarzem" piosenek, poetą, pisarzem, eseistą i malarzem. Więcej informacji na www.logan-tomaszewski.pl



Fot. archiwum prywatne

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

My, bateryjki



Dominik Zdort

Moi rodzice nie mieli typowej pracy, bywali parę miesięcy przez cały czas w domu, potem przez parę miesięcy w rozjazdach, czasem nie widywałem ich przez tygodnie. W dzieciństwie zdarzało się, że przez dłuższy czas zajmowały się mną (i moim młodszym bratem) ciocia Wanda, babcia Hela czy gosposia Marysia.

U moich kolegów było inaczej. Pamiętam najbliższego kumpla z początków podstawówki, Darka. Jego rodzice pracowali jak Pan Bóg i Komitet Centralny nakazali: od 8 do 16. Potem był codzienny rytuał, który czasem obserwowałem w jego domu, rodzinny obiad stawiany co dzień o tej samej godzinie na stole przez mamę po powrocie taty. I druga, wcale nie krótka, część dnia – poświęcona życiu domowemu, bez słowa o tym, co działo się w pracy. Jestem pewien, że gdyby ojca Darka zapytano, jak wiele znaczy dla niego pierwsze osiem godzin dnia, odpowiedziałby: – Wtedy zarabiam.

W roku 2020 na pytanie IPSOS, czy praca jest ważna w twoim życiu, 93 proc. Polaków odpowiada twierdząco. Sondaż był ogólnoświatowy i mieszkańcy Polski wcale nie są rekordzistami. W Kolumbii praca fascynuje praktycznie wszystkich – 98 proc. Znacznie normalniejsi są – na samym dole listy – Niemcy (79 proc.) i Holendrzy (81 proc.). Ale generalnie na całym świecie stosunek do pracy w czasie ostatniego pół wieku się zmienił. Karę za grzech pierworodny zaczęliśmy uważać za pasję.

Co pokazuje inna część tego samego badania. Przeważająca większość, bo 69 proc., Polaków uważa swoją pracę za interesującą. Na tle średniej światowej jesteśmy dość przeciętni, tu rekordzistami uwielbiającymi swój zawód (jakikolwiek jest) są Meksykanie i (znów) Kolumbijczycy, a zdrowszy stosunek do niego zachowują ci, których zawsze uważaliśmy za niepoprawnych pracusiów: Koreańczycy z południa i Japończycy oraz Turcy (tylko połowa tych trzech nacji ma ciepły stosunek do sposobu, w jaki zarabia pieniądze).

Ale za długo jestem dziennikarzem, żeby nie wiedzieć, co należy myśleć o badaniach opinii publicznej. Mam poważną obawę, że tak naprawdę stosunek mieszkańców świata do pracy jest znacznie bardziej skomplikowany. Że wdrukowano nam poczucie, iż zarabianie pieniędzy jest naszą pasją, abyśmy byli cisi i bardziej wydajni, abyśmy stali się bateryjkami z „Matriksa".

Tak. Uwielbiam swoją pracę. Ale nie wiem, czy to dobrze, czy tak powinno być. Bo przecież są w życiu sprawy znacznie ważniejsze.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl a4f1a0e949

RZECZY POSPOLITE

Dzień Matki



Tomasz Łysiak

Gdy przychodzi Dzień Matki, warto wspomnieć te wszystkie wielkie, piękne, wspaniałe Polki – matki, dzięki którym Polska przetrwała najbardziej ponure czasy i terminy. Najmniejszej bowiem nie ma wątpliwości, że nie byłoby kolejnych pokoleń patriotów, gdyby nie dom rodzinny i matczyne wychowanie.

Na myśl mi zawsze w pierwszym rzędzie przychodzi matka Józefa Piłsudskiego (z Billewiczów!), która małego Ziuka wychowała na Komendanta i Marszałka. Dalej idą wszystkie matki największych Polaków – to one przez patriotyczne wychowanie, lektury, opowieści i czytanie na głos „Śpiewów historycznych" Niemcewicza kształtowały dusze młodych pokoleń.

Ale jedną z najwymowniejszych scen odnalazłem niegdyś, zbierając dokumentację do powieści, w zbiorku 19 wspomnień i listów zesłańców syberyjskich. Był to opis sytuacji, jaka często zdarzała się wtedy, gdy wyruszał na zsyłkę konwój skazańców zakutych w łańcuchy. Sama droga znaczona kolejnymi etapami była także swoistą karą. W kajdany nie zakuwano jedynie szlachty, ale i dla niej podróż na Sybir była upiorna. W każdym razie jeden z zesłańców zapamiętał i opisał scenę, w której kilka matek żegnało swoich synów już przy ustawionym konwoju. Robiły im znak krzyża na czołach, płakały, przytulały, pocieszały. Ale wobec całego tłumu skazańców ich była zaledwie garstka. Pozostali chłopcy „swoich" matek nie mieli, nikt ich nie żegnał, byli sami. Wtedy te kobiety, pożegnawszy swoje rodzone dzieci, zaczęły żegnać wszystkich innych – błogosławić ich, przytulać, znaczyć czoła krzyżem. Błogosławiły zupełnie tak, jakby to były ich własne dzieci.

Serce mi pękło, gdy to przeczytałem. Jak wielka jest miłość matczyna. I jak nie zna granic, wynosi się nawet ponad własne dziecko i ogarnia dzieci wszystkie. Taka miłość jest miłością Bożą. Taka miłość jest miłością Matki Chrystusowej. Przez własnego Syna miłością ogarnia każdego. A owa syberyjska scena, pośród brzęczących kajdan, ów krzyż stawiany każdemu na czole, jest czymś, za co wdzięczny jestem polskim matkom. I za co i dzisiaj im dziękuję – w Dniu Matki.

Dżętelmen i suka



Piotr Cywiński

Czy Polska jest państwem prawa? Pani „..." – tu pada z mojej strony słowo, które może być uznane za obelżywe, choć sama pani „..." lży wszystkim, ile wlezie, a w odniesieniu do niej nie byłaby to obelga, lecz prawda – wymachiwała legitymacją poselską, bo chciała się dostać do „policyjnej suki", do pewnego senatora, który już w niej był. Określenie o „suce" nie jest moje, lecz tegoż senatora, który niby został do niej wrzucony, a ponoć sam tam wlazł i urządził sobie z okna konferencję prasową. Oznajmił przy tym, że nie wyjdzie dopóty, dopóki nie zamelduje się u niego dowódca policji. W tym czasie pani „..." usiłowała przedrzeć się między funkcjonariuszami, ci jednak „brutalnie" jej nie przepuścili, więc dalej machała tą legitymacją, że ona nietykalna, i że tu... – zadarła rękaw – „popatrz blizna", a przynajmniej siniak... – cholera, nie wyszedł jeszcze, ale może jeszcze wyjdzie...

Skąd oboje się tam wzięli, notabene nie tylko oni, bo byli również inni „pełniący obowiązki poselskie" w maskach? Przybyli przyjrzeć się z bliska protestom przedsiębiorców, rzekomo gnębionych przez pisowski rząd bez sumienia, który niby najpierw wywołał tę koronawirusową pandemię, a teraz nie chce płacić im odszkodowań! A że pani „..." to zasłużona dla partii osoba, dzięki taśmowej produkcji filmików o prawie i sprawiedliwości czy występom pod banerem z napisem „Bób, Hummus, Włoszczyzna" pod pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej, więc partia słusznie jej broni i senatora dżętelmena (pisownia właściwa, bo to taki gentelman spolszczony) też. W myśl zasady byłego szefa klubu PO-KO: „Jeśli będziesz w..., będę cię, k..., bronił jak niepodległości".

Obecny szef tego klubu, zasłużony gliwicki prorodzinny składacz list wyborczych z udziałem żony, huknął, że „zażąda natychmiastowych wyjaśnień". Równie stanowczo zareagowała „trzecia osoba w państwie", podle posądzana o branie łapówek, choć w świetle prawa czysta jak biel lekarskiego kitla, że wzywa rząd do „przestrzegania prawa".

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko poprzeć te postulaty w całej rozciągłości broniących demokracji „jak, k..., niepodległości". Było nielegalne zgromadzenie na pl. Zamkowym w Warszawie? Było! Była próba postawienia kolejnego miasteczka namiotowego przez łamiących prawo? Była! Są kary przewidziane za łamanie pandemicznych obostrzeń? Są! I to jakie, od 500 zł do 30 tys. I co? I nic! Czy zatem Polska jest państwem prawa? Czy można powiedzieć o naszym kraju, że jest państwem prawa? Czy rzeczywiście...?

Reklama | 29/0320/F

eprasa.pl a4f1a0e949



Patronat honorowy Prezesa Rady Ministrów

Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

Partnerzy strategiczni

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Partner główny

TOTALIZATOR SPORTOWY

Partner Hackathon

NIW
Narodowy Instytut Wolności

Program Fundusz Inicjatyw Obywatelskich na lata 2014-2020
FIO

Projekt dofinansowany ze środków Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich na lata 2014-2020

Partnerzy merytoryczni

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
MARLENA MAŁĄG

MINISTERSTWO FUNDUSZY I POLITYKI REGIONALNEJ

MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

MINISTERSTWO AKTYWÓW PAŃSTWOWYCH

Ministerstwo Cyfryzacji

Ministerstwo Finansów

Ministerstwo Zdrowia

MINISTERSTWO KLIMATU

www.wizjarozwoju.pl

eprasa.pl a4f1a0e949

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

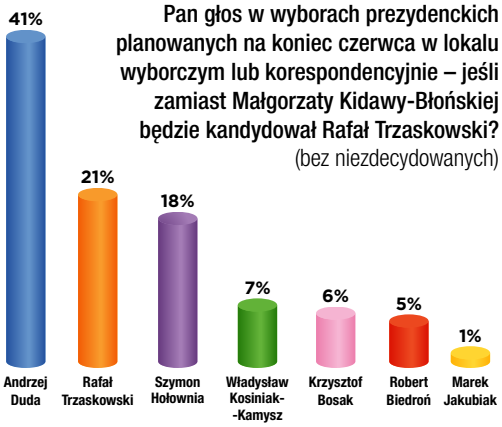
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, MICHAŁ WARGIN/EAST NEWS, TOMASZ URBANEK/TDTVN/EAST NEWS, STACH LESZCZYŃSKI/PAP, MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

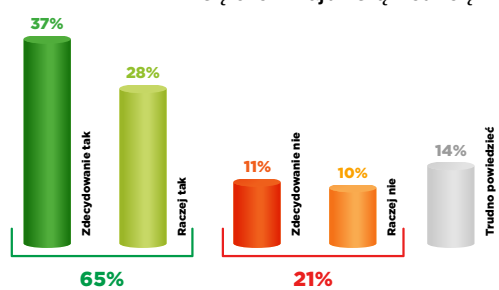
nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

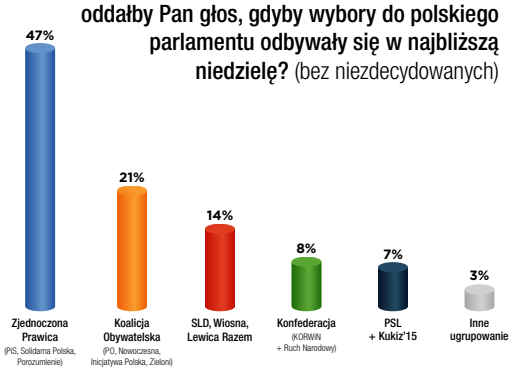
Na którą z poniższych osób odda Pani/Pan głos w wyborach prezydenckich planowanych na koniec czerwca w lokalu wyborczym lub korespondencyjnie – jeśli zamiast Małgorzaty Kidawy-Błońskiej będzie kandydował Rafał Trzaskowski? (bez niezdecydowanych)



Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w wyborach prezydenckich, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?



Na które ugrupowanie oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1062.

Zakres czasowy badania 11–18 maja 2020 r.

Reklama | 59/0420/F

eprasa.pl a4f1a0e949

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie





Nowy Świat na gruzach starej Trójki

Programu 3 Polskiego Radia, takiego, jaki znamy, już nie ma. I nie wróci. Ale czy to na pewno zła wiadomość? To pytanie staje się tym bardziej zasadne, im głębiej zaglądamy za kulisy tego, co działo się przy Myśliwieckiej 3/5/7 i jak tę stację traktowały jej gwiazdy. Hasło „Ratujmy Trójkę" było wyjątkowo nieprawdziwe. Wiele wskazuje bowiem na to, iż w rzeczywistości chodziło o sprowadzenie na dno „ukochanej stacji", by utorować drogę Nowemu Światu

Wielu by chciało tę historię uprościć do ordynarnej cenzury. Jest piosenka Kazika z tekstem napastliwym wobec Jarosława Kaczyńskiego, więc dyrekcja Trójki ją po prostu wycina. I to jest przekaz, który lotem błyskawicy rozszedł się po mediach społecznościowych, dając sygnał do politycznej wojny i przyczynek do falowych odejść ze stacji. Takie spłycenie jest manipulacją, bo temat staje się wielopłaszczyznowy i prawie nic nie jest w nim takie, jak wydaje się na pierwszy rzut oka. I ucha. A warto poznać całą prawdę.



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

ZASKAKUJĄCY ZWYCIĘZCA

Tomasz Kowalczewski, dyrektor Programu 3 Polskiego Radia, mówi nam, że tego wydania listy słuchał w domu.

eprasa.pl a4f1a0e949

Był piątek, 15 maja 2020 r., tuż przed godziną 22. Nagle usłyszał charakterystyczny dżingiel zwiastujący nowość na liście. – Pomyślałem sobie, że wydarzyło się coś niezwykłego, skoro mamy premierę od razu na miejscu pierwszym – opowiada nam w swoim gabinecie. Potem sprawy potoczyły się szybko. Jeszcze w nocy napisał esemesa do Piotra Metza, kierownika redakcji muzycznej: „Piotrze, dopilnuj, aby piosenka, o której rozmawialiśmy, nie była na antenie".

– Nie kontaktował się ze mną żaden polityk ani nikt z moich przełożonych. Zareagowałem, bo doszło do jakiegoś kuriozum, okazało się, że Listę Przebojów Programu 3 wygrał utwór, który na antenie tego programu nie został do tej pory zagrany ani razu. A biorąc pod uwagę tekst, wyczułem w tym jakąś prowokację. Gdy tylko sprawę zaczęliśmy wyjaśniać, wyszło dodatkowo, że Kazik listy nie wygrał, a słuchacze otrzymali zmanipulowany wynik – dodaje Kowalczewski.

Mirosław Rogalski, jego zastępca, pokazuje nam ustalenia radiowych informatyków. Po zliczeniu wszystkich głosów Kazik był na miejscu czwartym, ale wtedy do akcji wszedł asystent prowadzącego i unieważnił część głosów oddanych na poszczególne utwory. Jak się okazuje, to na liście stała praktyka. Narzędzie, choć niedoskonałe, bo opierające się na uznaniowości moderatora, pozwala odrzucać głosy, co do których ma on podejrzenie, że są wysłane przez tzw. maszynki do głosowania. To też codzienność, bo wytwórniom płytowym zależy, żeby ich numery były na liście wysoko, więc imają się takich sposobów.

Kolejne przejrzenie radiowych logów jest jeszcze bardziej zaskakujące. Bo po odcięciu wszystkich głosów, które uznano za fejkowe, Kazik nadal nie był zwycięzcą 1998. wydania listy. O przesunięciu utworu „Twój ból jest lepszy niż mój" na szczyt notowania zadecydował prowadzący, a tego dnia był nim Marek Niedźwiecki.

LAWINA OSKARŻEŃ

„Jest nam przykro, że doszło do takiej sytuacji i dlatego przepraszamy słuchaczy Listy Przebojów Trójki, że unieważniliśmy ostatnie notowanie LP3. Była to jedyna możliwa decyzja, która pomoże w utrzymaniu zaufania do tego programu i zasad oddawania głosów. Piosenki Kazika Staszewskiego od zawsze, nawet te najbardziej polityczne, były grane na naszej antenie i nie ma powodów, aby się to miało zmienić" – zaznaczył Tomasz Kowalczewski w oświadczeniu na stronie radia.

Tyle że już było za późno na jakiekolwiek tłumaczenia. Ruszyła fala mniej lub bardziej spektakularnych odejść. Lista się wydłuża: Marek Niedźwiecki, Piotr Metz, Piotr Stelmach, Hirek Wrona, Agnieszka Szydłowska, Piotr Kaczkowski, Tomasz Rożek – nie każdy ma taką samą motywację, nie każdy wpisuje się w narrację o cenzurze zabijającej wolność radia, ale jakie to ma w tym momencie znaczenie. Kolejni artyści żądają, by Trójka nie grała ich muzyki, nie chcą się dowiedzieć, jak było naprawdę, instynkt współczucia komuś z naszego stada, kogo „skrzywdzono", wystarcza. Wrażenie jest fatalne, Trójka kurczy się z dnia na dzień.

> Zareagowałem, bo doszło do jakiegoś kuriozum, okazało się, że Listę Przebojów Programu 3 wygrał utwór, który na antenie tego programu nie został do tej pory zagrany ani razu – mówi Kowalczewski

W tym samym czasie Rafał Trzaskowski, oburzony pytaniami dziennikarzy TVP, zapowiada, że gdy zostanie prezydentem, „weźmie się" do mediów publicznych. „Spieszcie się zadawać pytania, bo niewiele tygodni wam zostało" – mówi przedstawicielom mediów. Czy ta bezczelna, wręcz groźna, zapowiedź wywołuje powszechne oburzenie? Nie, przechodzi bokiem. Tematem numer jeden jest „ocenzurowany" Kazik.

Wicepremier i minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński w jednej ze stacji radiowych: „Wiem o pewnym kryzysie wizerunkowym, który nastąpił w Trójce, i to oczywiście jest przykra sprawa. Także niepokoi mnie nie najlepsze zarządzanie tym kryzysem".

A co z tą cenzurą? Ile w tym zajściu realnej polityki? Pisze o tym na Twitterze Joachim Brudziński, wiceprezes PiS: „Atakowanie Jarosława Kaczyńskiego za to, że w 10. rocznicę największej katastrofy, jaka spotkała nasz Naród po 1945 r., złożył wieniec pod pomnikiem swojego brata [o tym jest piosenka Kazika – przyp. red.] oraz na Jego symbolicznym grobie na Powązkach, jest czymś barbarzyńskim, [...] ale zdejmowanie ze strony Trójki informacji o wygranej piosenki Kazika (moimi zdaniem niesprawiedliwą w swej treści), jest albo przejawem głupoty, albo czyjejś złej woli. W wolnym kraju artysta ma prawo do swojej artystycznej (czasami niemądrej) interpretacji zdarzeń".

SYGNAŁ DO ODWROTU

Wygląda to jak od dawna planowana akcja, z której odpaleniem czekano tylko na sygnał. Ostatecznie dali go Marek Niedźwiecki i jego asystent Bartek Gil, który widnieje w informatycznych danych jako ten, który dokonywał zmian na liście przebojów, za co został zawieszony. Nie czuje się jednak ani trochę winny, w liście otwartym broni się w osobliwy sposób: „Ginę za Kazika. Za piosenkę, której nawet do tej pory nie słyszałem". Jak więc doszło do tego, że piosenka znalazła się na liście?

Jedna z osób przez lata związana z PR3 mówi nam, że od lat jest kłopot z muzyką w stacji, bo w zasadzie nie ma tam żadnych zasad. – Funkcjonuje mgliste pojęcie „muzyki trójkowej", ale cóż to znaczy? Nie ma jednolitej linii, nie ma kolegium redakcji muzycznej, które zdecydowałoby, czy dana piosenka jest na tyle dobra, by dostać się na antenę. Odpowiedzialny za playlistę Piotr Metz miał o wiele większe ambicje, chciał wpływać na ramówkę i bywało, że to on

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a4f1a0e949

rozdzielał programy, także sobie. Siłą mają być programy autorskie, ale nawet lista przebojów jest uznana za audycję autorską, co jest niedorzecznością. Bo po co głosy słuchaczy, skoro prowadzący może sobie dowolnie mieszać w kolejności – słyszymy. Jeszcze jeden człowiek zwraca nam uwagę na zespół Paktofonika. – Czy już rozumiecie, dlaczego nigdy nie mógł wygrać listy? Bo Marek go nie cierpiał. Coś zmieniał, bo tak czuł. Ale nie wierzę, by brał za to kasę, a takie oskarżenia się pojawiały – opowiada.

– Najgłupsze w tym wszystkim jest to, że ten numer jest słaby, muzycznie to gniot. A tekst... To jest żenujące, by pisać o czyimś bólu, żałobie i cierpieniu w sposób prześmiewczy – mówi nam o piosence Kazika kolejna osoba związana kiedyś z Trójką. Nie ma jednak wątpliwości, że to nie ma żadnego znaczenia, bo nie rozmawiamy już o utworze, ale o wydarzeniu. Z jednej strony to świetna reklama singla zapowiadającego płytę artysty (w połowie ubiegłego tygodnia 7,9 mln odtworzeń na YouTube), a z drugiej manewr polityczny, właśnie sygnał do odwrotu z Trójki.

– To, co dzisiaj się dzieje wokół nas, musimy odczytywać w kontekście powstającego Radia Nowy Świat, które opiera się na ludziach tzw. starej Trójki – podkreśla Mirosław Rogalski, wicedyrektor stacji.

MASA PODZIAŁÓW

Jeden z najważniejszych – Wojciech Mann – miał w stacji prawdziwe eldorado. Mógł się pochwalić najwyższym kontraktem na polskim rynku radiowym (20 tys. zł), grał w reklamach, ale był też jednocześnie udziałowcem konkurencji – stacji Złote Przeboje. Jego radiowe interesy poza Trójką nierozerwalnie łączyły się z postacią Jana Chojnackiego, kolejnego, który niedawno opuścił pokład PR3. Swoją karierę (rozkwitającą później w telewizji) zawdzięczają Trójce. Podobnie jak Niedźwiecki. Wszyscy przy Myśliwieckiej uczyli się zawodu i zostali rozpoznawalnymi dziennikarzami muzycznymi. Im jaśniej świeciły ich gwiazdy, tym mocniejszą pozycją cieszyli się w macierzystej redakcji. Aż wreszcie uznali, że Trójka należy do nich. Choć przecież wciąż byli tylko (i aż) jej pracownikami.

Trudno nazwać ten zespół monolitem. Zaczęło powstawać coś na kształt „trójkowej kasty" – towarzystwa lepszego, inteligentniejszego, elitarnego, które niepostrzeżenie niejako uwłaszczało się na publicznej rozgłośni i domagało się w niej coraz więcej władzy. Czasy się zmieniały, rynek radiowy ewoluował, zmieniał się sposób „konsumpcji" mediów, a w Trójce wciąż wszystko było po staremu. Łącznie z samozadowoleniem, które udzielało się uczniom „nestorów". Anna Gacek w TVN24: „Jedną z najwspanialszych rzeczy, jaką dawało mi bycie częścią tej elity dziennikarzy muzycznych, radiowców w Polsce był fakt, że nikt nigdy nie wtrącał się w to, co gram i co mówię na tej antenie".

> Na zamieszaniu wokół piosenki Kazika Radio Nowy Świat już zarobiło ponad pół miliona złotych. Sporo. Opłacało się je nakręcać do niebotycznych rozmiarów. Już kupowany jest sprzęt, już buduje się studio. Start anteny – w czerwcu

Cała historia Trójki, radia przecież przede wszystkim muzycznego, była związana z polityką. Jej początki wspomina Magdalena Jethon w wywiadzie dla Wyborcza.pl: „[...] Trójkę zbudowali komuniści po to właśnie, żeby była takim wentylem bezpieczeństwa. Żeby ludzie, którzy już nie byli w stanie wytrzymać tej bezczelnej, chamskiej propagandy, mieli jakieś radio. Po to powstała Trójka, żeby skupić właśnie tę inteligencję, która będąc wokół radia, nie będzie za dużo podskakiwać".

Patrząc więc na obecne odejścia, szczególnie osób, które spędziły przy Myśliwieckiej kilkadziesiąt lat, można się tylko uśmiechnąć. Nie przeszkadzał im gomułkowski rodowód, nie było buntu w epoce Jaruzelskiego, nie raziło przymilanie się do Millera, a nawet udawało się zespołowi przełknąć kompromitację z czekoladowym orłem złożonym niczym w hołdzie Bronisławowi Komorowskiemu w Dniu Flagi Rzeczpospolitej Polskiej 2 maja 2013 r. Dopiero „reżim PiS" ich przerósł.

Po nastaniu dobrej zmiany podziały nie zniknęły. Popełniono masę błędów komunikacyjnych i PR-owych, ale grzechem nie do wybaczenia wydaje się niedostosowanie Trójki do obecnych czasów i pozostawienie tak dużej dowolności autorom poszczególnych pasm, którzy zabetonowali trójkowy układ na amen. Radio stało się mało atrakcyjne dla młodych słuchaczy.

A nie najmłodszy Wojciech Mann stał się wręcz guru tych, którzy ze zmiany politycznej w 2015 r. nie byli zadowoleni. Niejednokrotnie dawał temu wyraz w wywiadach, głównie w „Gazecie Wyborczej" czy „Newsweeku", ale także we własnych audycjach, które szybko stały się emocjonalnym szańcem opozycji w państwowym radiu. – Pan Wojtek szukał pretekstu do tego, by odejść. Nie ukrywał tego. Z każdą kolejną dyrekcją szedł na zwarcie, w programach prowokował. Swoją drogą, musiało go to nieźle irytować, że niespecjalnie ktoś chce go szykanować czy wpływać na jego audycje – opowiada nam wieloletni pracownik PR3. Dzisiaj widzi to nieco inaczej, mówi, że Mann nie rzucił papierami wcześniej, bo nie miał dokąd pójść. Dzisiaj ma Radio Nowy Świat, więc demonstracyjne odejście po odstawieniu od anteny jego pupilki Anny Gacek nie jest jakimś wielkim bohaterstwem.

„IM GORZEJ Z TRÓJKĄ, TYM LEPIEJ"

Przy Myśliwieckiej naprzeciwko wejścia do radia od miesięcy stoi samochód ustawiony przez słuchaczy. Do niedawna banner na nim informował, „kogo nie słychać", i zawierał listę

eprasa.pl a4f1a0e949

> Czasy się zmieniały, rynek radiowy ewoluował, zmieniał się sposób „konsumpcji" mediów, a w Trójce wciąż wszystko było po staremu. Łącznie z samozadowoleniem

nazwisk pracowników stacji, którzy odeszli bądź zostali zwolnieni. Teraz banner oznajmia, „kogo będzie słychać". To kilkanaście osób, część z nich była związana z Trójką. Niebawem usłyszymy ich w nowej, komercyjnej stacji radiowej, którą na zgliszczach PR3 buduje Magdalena Jethon, choć się zarzeka: „Nie chcę być posądzona o to, że próbuję budować radio na trupie Trójki".

15 kwietnia zarejestrowano spółkę z o.o. pod przewrotną nazwą „Ratujmy Trójkę". Wśród właścicieli figurują m.in. Wojciech Mann, Jan Chojnacki i Magdalena Jethon. Najwięcej udziałów (30 proc.) ma Piotr Jedliński, słuchacz, który zostaje też formalnie prezesem spółki (gorliwy krytyk rządów PiS i zdeklarowany fan Szymona Hołowni). 18 kwietnia rusza internetowa zbiórka pieniędzy na projekt Radia Nowy Świat. W ciągu pierwszej doby uzbierano 253 tys. zł. W Do 20 kwietnia – już ponad 400 tys. Później przyrost zdecydowanie zwalnia. 13 maja, po niemal miesiącu – jest 512 tys. 16 maja – 533 tys. 17 maja (niedziela, wybucha afera) – zbiórka znów znacząco przyspiesza, zebrana kwota to już 674 tys. 20 maja przekroczony jest próg miliona złotych. A zatem na zamieszaniu wokół piosenki Kazika Radio Nowy Świat już zarobiło ponad pół miliona złotych. Sporo. Opłacało się ją nakręcać do niebotycznych rozmiarów. Już kupowany jest sprzęt, już buduje się studio. Start anteny – w czerwcu.

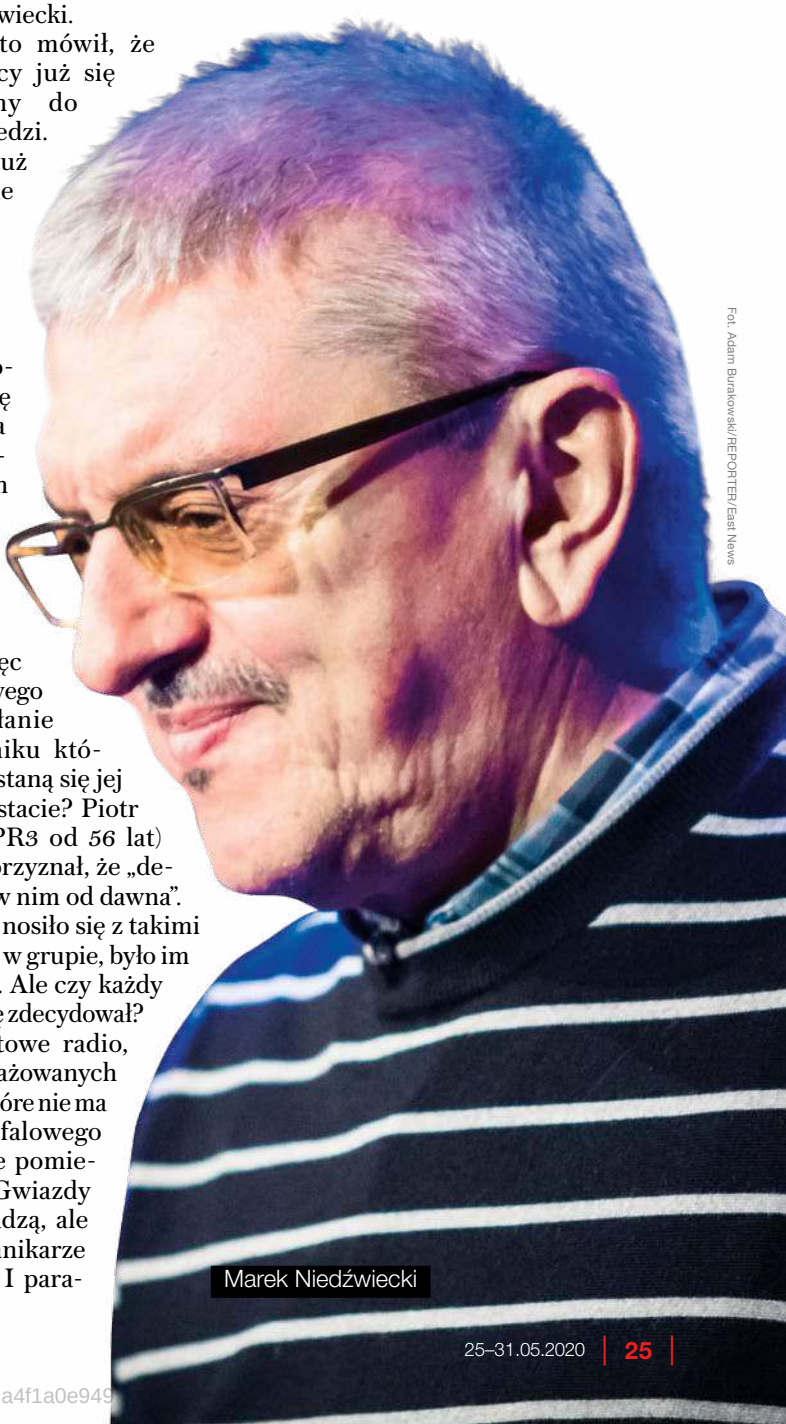
Również 20 maja Agnieszka Kublik na stronach „Gazety Wyborczej" ogłasza: „Im gorzej z Trójką, tym lepiej z nową stacją, którą tworzą byli dziennikarze Programu III". Wydaje się więc, że cel został osiągnięty – najgłębsze z możliwych osłabienie PR3, by jak najszerszą ekipę ściągnąć do swojego projektu. Propozycję pracy dostał również Marek Niedźwiecki.

– Marek często mówił, że odejdzie. Wszyscy już się przyzwyczailiśmy do tych jego zapowiedzi. Mało kto brał to już na poważnie. Ale zwróćcie uwagę, że to nie on ogłosił rozstanie z Trójką, lecz Zbigniew Preisner. Może gdyby nie kompozytor, znów by się skończyło tylko na gadaniu Niedźwiedzia? – mówi nam osoba, która dobrze zna Trójkę, choć od kilku miesięcy w niej nie pracuje.

Czy chodziło więc o okazję do masowego exodusu, wywołanie napięcia, w wyniku którego ze stacją rozstaną się jej najważniejsze postacie? Piotr Kaczkowski (w PR3 od 56 lat) w oświadczeniu przyznał, że „decyzja dojrzewała w nim od dawna". Wielu innych też nosiło się z takimi zamiarami. Teraz, w grupie, było im na pewno raźniej. Ale czy każdy z nich wie, na co się zdecydował?

Jedno internetowe radio, w które już zaangażowanych jest wiele osób, a które nie ma stabilnego długofalowego finansowania, nie pomieści wszystkich. Gwiazdy sobie raczej poradzą, ale mniej znani dziennikarze – niekoniecznie. I paradoksalnie to oni mogą być najbardziej poszkodowanymi w tej wyolbrzymionej zadymie.

Jest jeszcze jeden paradoks – może na niej zyskać Trójka. Pod warunkiem że to radio zostanie zbudowane na nowo, w określonym formacie, z energią młodych ludzi, którzy będą chcieli tam pracować w miejsce skostniałej ekipy, która uważała stację za swoją własność, ostatecznie zaś zamiast ją ratować – porzuciła.



Marek Niedźwiecki

Fot. Adam Burakowski/REPORTER/East News

eprasa.pl a4f1a0e949

Idę się bić...



Marzeniem Rafała Trzaskowskiego nie jest wcale rozprawienie się z przewinami i słabościami Andrzeja Dudy, ale wywołanie efektu antypisowskiego plebiscytu, który w drugiej turze miałby przynieść sukces obecnemu prezydentowi Warszawy



JAN ROKITA

Nominacja dla Rafała Trzaskowskiego sprawia, że przywiędła w czasie zarazy rywalizacja wyborcza zyskała teraz rumieńce. Wybory prezydenckie, które w końcu zapewne odbędą się najnormalniej, na przełomie czerwca i lipca, znów niosą ze sobą pewien łut niepewności i ryzyka, a tylko takie wybory w demokracji są interesujące. Racjonalnie prognozując, ów łut niepewności jest jednak minimalny.

PATCHWORKOWA PREZYDENTURA

Po pięciu latach prezydentury Andrzej Duda, który obejmował urząd jako nieobeznany nowicjusz, jest dziś głową państwa poważaną w szerokich kręgach społecznych. A ci, którzy nie chcą go widzieć w roli głowy państwa w kolejnej kadencji, w ogromnej większości nie są naprawdę przeciwnikami samej prezydentury Dudy, ale żywią namiętną wrogość wobec Jarosława Kaczyńskiego, PiS i politycznego stylu narzuconego przez tę partię. Taki stan rzeczy jest z jednej strony atutem wyborczym obecnego prezydenta, który ma w istocie nikłą liczbę (by tak rzec) „samoistnych" politycznych wrogów. Jednak z drugiej – stwarza właśnie ów łut wyborczego ryzyka, jeśliby przyjąć, że w drugiej turze nastąpi demokratyczny cud powszechnej mobilizacji wszystkich (twardych i miękkich) oponentów PiS przeciwko Dudzie, czyli zapewne na rzecz Trzaskowskiego. Tyle tylko, że jak wiadomo, takie demokratyczne cuda w praktyce raczej się nie dzieją.

Duda stworzył nowy w Polsce obraz prezydentury, łączącej cechy na pierwszy rzut oka całkiem sprzeczne. Jego polityczny styl jest z jednej strony pełen respektu dla powagi państwa, co najlepiej widać i słychać w uczuciowej, a przez to nawet zbyt deklamacyjnej retoryce patriotycznej, jaka stała się swoistą wizytówką jego urzędu. A także w szczerym i pełnym nabożeństwa podejściu do kwestii tradycji narodowej oraz religii. Z drugiej zaś – z łatwością przychodzi mu wchodzenie w buty popkulturowego entertainera, który nie ma

eprasa.pl a4f1a0e949



zahamowań przed odpisywaniem na tweety „Foczki" i „Pimpusia Sadełko" czy rapowaniem na prowokacyjne zaproszenie jakiegoś muzyka.

Tego rodzaju postmodernistyczne podejście do elektoratu, w którym nie ma już jasno określonych jednorodnych grup odniesienia, ale wszystko celowo miesza się ze wszystkim, jest (czy się to komu podoba, czy nie) znakiem XXI-wiecznej demokracji, w której suweren – lud wygląda niczym jakiś cudaczny patchwork. Ta swoista ambiwalencja znamionuje także sposób, w jaki Duda traktuje konstytucyjną rolę głowy państwa w polskich warunkach ustrojowych. Bodaj najsprawniej ze wszystkich dotychczasowych prezydentów umiał się dostosować do hybrydowej roli swojego urzędu, na którym trzeba zachować ostrożność i pewien sceptycyzm wobec rządu i większości parlamentarnej, ale też w żaden sposób nie wolno sypać im piasku w szprychy ani próbować wyręczać w faktycznym rządzeniu. Giętki, pozbawiony silnych poglądów politycznych, a co najważniejsze – wyzbyty niszczącego i tak charakterystycznego dla prezydentów egotyzmu, Duda byłby niemal prezydentem idealnym i kochanym przez wszystkich, gdyby nie przyszło mu urzędować akurat w czasie namiętnej i wyniszczającej wojny partii plemion.

> Trzaskowski aż do ostatniego dnia kampanii będzie się musiał opędzać od coraz bardziej nerwowych napaści wszystkich „mniejszych kandydatów", z Hołownią i Biedroniem na czele

STRATEGIA TRZASKOWSKIEGO

Trzaskowski wkracza teraz do kampanii wyborczej z wyraźnie ukształtowaną intencją: „Idę się bić...". Od takich właśnie słów świeżo nominowany kandydat rozpoczął swoje pierwsze publiczne oświadczenie. W portalu wirtualnemedia.pl pewna konsultantka od marketingu twierdzi nawet, że nominując Trzaskowskiego, Platforma „wypuszcza z klatki pitbula", którego zadaniem jest warczeć i gryźć.

To prawda, że od pierwszej chwili zwraca uwagę agresywny ton, jaki kampanii Platformy nadał nowy kandydat, pod tym względem tak odmienny od Kidawy-Błońskiej, która – na żądanie partii – z bólem i trudnością próbowała sobie samej narzucić styl bardziej arogancki. Trzaskowskiemu zapewne przychodzi to o tyle łatwiej, że po brutalnej kampanii o Warszawę z Patrykiem Jakim i przeszło rocznym doświadczeniu ustawicznego sekowania go przez politycznych wrogów, musi on zapewne żywić szczerą abominację do całej formacji pisowskiej. A też z objawionych nieraz publicznie cech charakteru (choćby słynne wspomnienie o prof. Geremku) wiadomo, że dużo łatwiej niźli Kidawie grać mu rolę pewnego siebie aroganta. Tyle tylko, że z patchworkową prezydenturą Dudy nie jest wcale łatwo po prostu pójść się bić. Dlatego od pierwszej chwili kampanii Trzaskowskiego stało się jasne, że prawdziwym, i co ważne, o wiele łatwiejszym, celem ofensywy kandydata PO będzie nie tyle urzędujący prezydent, ile PiS jako formacja.

Nie dziwota zatem, że Trzaskowski zaczął swoją akcję wyborczą od najazdu na policję i telewizję. „Policyjna pałka jest jedynym argumentem rządu", czego świadectwem mają być przepychanki i zatrzymania towarzyszące warszawskiej demonstracji przeciw i tak luzowanemu już lockdownowi. Natomiast dziennikarze TVP mają się „śpieszyć z zadawaniem pytań", bo już za kilka tygodni ich stacja zostanie zlikwidowana. W pierwszym przypadku jest jasne, że akcje policji nie mają niczego wspólnego z odpowiedzialnością głowy państwa. Drugi jest szczególnie zabawny, gdyż w końcu jest tajemnicą poliszynela, że punkty widzenia Trzaskowskiego i Dudy na sposób prezentowania polskiej rzeczywistości przez TVP nie są znów aż tak odmienne, sam prezydent nie tak zaś dawno wdał się w spór i swoisty targ z PiS, aby utrącić Jacka Kurskiego jako prezesa telewizji.

Tak samo jak Duda dziś, tak i Trzaskowski jako hipotetyczny prezydent jutro nie miałby więc realnego wpływu na kształt TVP.

Rzecz cała nie byłaby może warta wspominania, gdyby nie to, że pozwala ona lepiej pojąć logikę, jaką chce się kierować kampania Trzaskowskiego. Zasługi bądź przewiny samego Dudy na urzędzie prezydenta będą w niej odgrywać znikomą rolę. A to dlatego, że marzeniem Trzaskowskiego nie jest wcale rozprawienie się z przewinami i słabościami Dudy, lecz wywołanie efektu antypisowskiego plebiscytu, który w drugiej turze miałby przynieść sukces obecnemu prezydentowi Warszawy.

eprasa.pl a4f1a0e949

SŁABOŚCI PLANU

Są dwa powody, dla których tak przemyślanego planu nie daje się jednak wykonać. Najpierw ten, że wbrew swoim intencjom Trzaskowski aż do ostatniego dnia kampanii będzie się musiał opędzać od coraz bardziej nerwowych napaści wszystkich „mniejszych kandydatów", z Szymonem Hołownią i Robertem Biedroniem na czele. Dla nich bowiem kampanijnym wrogiem (co oczywiste) nie jest bynajmniej Duda, lecz właśnie Trzaskowski.

Hołownia zyskał sporo na tym, że kandydatka Platformy zjechała na kampanijne dno w czasie wielkiej draki o wybory 10 maja. I jest świadom tego, że teraz z kretesem przepadnie, jeśli pozwoli Trzaskowskiemu umościć się w roli reprezentanta Polski antypisowskiej. Znając już techniki, jakimi za radą „nowoczesnych marketingowców" zwykł się posługiwać ów niezależny kandydat, można przypuścić, że pewnego dnia Hołownia może dostać histerycznych spazmów na tle win i niegodziwości Trzaskowskiego, na które ten będzie musiał stanowczo reagować. Pierwszą jaskółką nerwowości w obozie Hołowni są już sugestie rzadko jawnie uaktywniającego się w polityce finansisty Ryszarda Wojtkowskiego, jednego z ojców tzw. nomenklaturowego kapitalizmu, który kandydaturę Trzaskowskiego, walczącego o fotel głowy państwa z pozycji urzędującego prezydenta stolicy, określa mianem „na pół gwizdka".

Z kolei dla Biedronia śmiertelnym niebezpieczeństwem jest to, że kampania w swoim finale przekształci się w wielki światopoglądowy spór między tradycją i postępem, w tym zwłaszcza o rolę religii w państwie, przewiny duchownych oraz te wszystkie postępowe nowinki z dziedziny obyczajów. Jak wiadomo, obecny prezydent Warszawy zrobił wszystko, aby w ciągu pierwszego roku urzędowania przy pl. Bankowym dorównać Biedroniowi jako współlider walki przeciw ciemnocie oraz zacofaniu kulturowemu i obyczajowemu na tych polach.

Trudno powiedzieć, w jakiej mierze brało się to z przemyślanej taktyki Platformy, zmierzającej (skądinąd z sukcesem) do ograniczenia wpływów lewicy w Warszawie w związku z wyborami komunalnymi 2018 r. i wyborami sejmowymi z ub.r., w jakim zaś z naturalnych predylekcji ideowych samego kandydata, wywodzącego się rodzinnie z kręgów szołbiznesu. W każdym razie fatalna sytuacja, w jakiej znalazł się Biedroń po nominacji Trzaskowskiego, musi także jego wcześniej czy później skłonić do podjęcia jakiejś przynajmniej próby walki z kandydatem PO. Jeśli bowiem Biedroń utraci w tych wyborach antyklerykalny, „czarnoparasolkowy" elektorat, to jego polityczna kariera może zostać wkrótce zakończona, za sprawą stanowczej akcji podjętej przez jego chwilowych sprzymierzeńców z SLD.

APLIKANT DO PRZYWÓDZTWA

I tu właśnie tkwi ów drugi powód, dla którego ktoś taki jak Trzaskowski nie może się okazać skutecznym liderem powszechnego antypisowskiego plebiscytu. Nie ma wątpliwości, że kandydat Platformy to postać nietuzinkowa, obdarzona nie tak częstą w polityce inteligencją i rozległymi stosunkami, przydatnymi w roli polityka. Ale ów kandydat w ciągu ostatnich dwóch lat zrobił wszystko, aby symbolicznie stanąć na czele rosnącego co prawda w siłę, lecz ciągle mniejszościowego w Polsce nurtu skrajnie liberalnych i libertyńskich „postępowców". Jego sławne deklaracje, iż zamierza „stać przy niepełnosprawnych, bezdomnych, gejach, lesbijkach, seniorach oraz inaczej myślących", oraz idąca w ślad za nimi akcja afirmatywna na rzecz odchyleń obyczajowych podjęta w Warszawie uczyniły z Trzaskowskiego bardziej lidera jakiejś wspólnoty ideologicznych ekstremistów niźli przywódcę zwyczajnych ludzi.

Na tym właśnie polega słabość tej kandydatury, jako twarzy powszechnej, a więc ludowej z natury rzeczy konfederacji, która miałaby (wedle marzeń publicysty „Newsweeka") „przetrącić kręgosłup PiS-owi". To co realne, to przywrócenie przez Trzaskowskiego Platformy do roli głównej, a zarazem mocno wychylonej w stronę „postępu" siły opozycyjnej. A to i tak ustawi go w roli aplikanta do przywództwa tej partii, po niezbyt udanym przejściowym okresie Borysa Budki.



POLACY
NA IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH

Historyczne sukcesy Polaków śledź na:

wPolityce.pl/sport

- historia igrzysk: Moskwa '80, Los Angeles '84, Seul '88
- największe olimpijskie gwiazdy
- sukcesy Biało-Czerwonych

PARTNER PROJEKTU
ORLEN

eprasa.pl a4f1a0e949



Operacja „Dubler”

Zamiana Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Rafała Trzaskowskiego dalece wybiega poza partyjne cele Platformy Obywatelskiej. To próba odrodzenia III RP w jej wersji z lat 90.



STANISŁAW JANECKI

W kategoriach piłkarskich byłby to najdziwniejszy sezon w historii rozgrywek. Polegający nie tylko na niedopuszczeniu do rundy finałowej, ale też na unieważnieniu wszystkich meczów rundy zasadniczej. Jedna z drużyn, która okazała się tak kondycyjnie, jak i taktycznie, organizacyjnie oraz medycznie nieprzygotowana do rozgrywek, a za żadną cenę nie chciała przegrać walkowerem, doprowadziła do uznania już rozegranych meczów za niebyłe, a w powtórzonych rozgrywkach wystawiła do gry całkiem inną drużynę niż ta, która była zgłoszona do sezonu. W dodatku ta nowa drużyna grała wcześniej w zupełnie innej klasie rozgrywkowej – regionalnej, a nie w ekstraklasie.

Problemem jest to, że w futbolu, przy wszystkich jego wadach i grzechach, coś

Fot. Wojciech Strozyk/REPORTER

Autopromocja

eprasa.pl a4f1a0e949

takiego byłoby niemożliwe, bo łamałoby wszelkie regulaminy oraz zasady i wywołałoby sprzeciw międzynarodowych federacji (FIFA i UEFA). W polityce okazało się to nie tylko możliwe, ale wręcz była to jedyna opcja, w dodatku realizowana z pełną aprobatą i w porozumieniu z międzynarodowymi federacjami. Takich „cudów przy urnie" nie było od czasu pierwszych „komunistycznych" wyborów 19 stycznia 1947 r. Tylko wtedy wybory sfałszowano, a w roku 2020 doprowadzono do ich zresetowania.

OSZUKANA KIDAWA-BŁOŃSKA

Operacja „Dubler", czyli zamiana Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Rafała Trzaskowskiego, wedle tego, co udało mi się ustalić, zaczęła być przygotowywana co najmniej miesiąc, a może nawet sześć tygodni przed 10 maja br., czyli konstytucyjnym terminem głosowania. I od tego czasu wszystkie działania zmierzające do tej podmiany nie miały już nic wspólnego z kampanią i wyborami, lecz były częścią planu wielkiej dezinformacji, manipulacji oraz dezintegracji (rywali). Wszystko, co się działo od początku kwietnia w kampanii Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, było farsą i przedstawieniem. Od decyzji o przeprowadzeniu operacji „Dubler" jeden z jej uczestników, czyli Platforma Obywatelska, grał już tylko znaczonymi kartami. Trzeba mówić o Platformie, a nie o Koalicji Obywatelskiej, część „koalicyjna" nie była bowiem w plany wtajemniczona. Mało tego, nie była wtajemniczona właściwie także PO – żeby ktoś nie wypaplał i żeby zaangażowani w dotychczasową kampanię uczestnicy wypadali autentycznie. W efekcie autentyczna była ich apatia oraz agresja spowodowana porażkami, docinkami konkurentów i ich sztabów.

Co najciekawsze, o operacji „Dubler" nic nie wiedziała Małgorzata Kidawa-Błońska, którą co najmniej miesiąc przed wyborami po cichu porzucono i zaczęto przygotowywać się na wariant z Rafałem Trzaskowskim. Kidawa-Błońska prowadziła jakiś ogryzek kampanii, nie wiedząc, że zapadła już decyzja, żeby najważniejsze osoby z jej sztabu gdzieś się zawieruszyły, a wszystko wyglądało na zmęczenie materiału. Kandydatka widziała coraz większą pustkę wokół siebie, brak wsparcia i pomocy (nawet w kwestiach technicznych, np. przy nagrywaniu wystąpień czy organizowaniu internetowych rozmów z wyborcami), ale nie znała prawdziwej tego przyczyny. Przez co najmniej ostatni miesiąc kampanii Kidawa-Błońska była oszukiwana, żeby wyglądała autentycznie jako kandydatka, mocno zaangażowana, mimo że tracąca poparcie. Macherzy operacji „Dubler" obawiali się, że jeśli byłaby wtajemniczona, obraziłaby się, poczuła urażona, a jeśli nawet by to jakoś przeżyła, to albo by się wygadała, albo przestała być autentyczna i spontaniczna. Małgorzatę Kidawę-Błońską wykorzystano więc bezwzględnie i cynicznie.

> W operacji „Dubler" chodziło nie tylko o uratowanie PO (KO) przed rozpadem i marginalizacją, ale też o zmobilizowanie wszystkich zasobów obozu III RP i antypisu, na co nieudolna kampania Małgorzaty Kidawy-Błońskiej nie dawała żadnych szans

POD WODZĄ DONALDA TUSKA

Z tego, co udało się ustalić, w operację „Dubler" na poziomie politycznym zaangażowani byli przede wszystkim były premier i przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, przewodniczący PO Borys Budka, marszałek Senatu Tomasz Grodzki oraz prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Dowiedział się o wszystkim były przewodniczący PO Grzegorz Schetyna, ale myśląc o odzyskaniu władzy w partii, nie mógł sobie pozwolić na spalenie operacji, mimo że realizacja planu wzmacniała Borysa Budkę.

W tym towarzystwie dokonano podziału ról. Marszałek Tomasz Grodzki miał tak opóźniać prace Senatu nad ustawą umożliwiającą powszechne głosowanie korespondencyjne, żeby niemożliwe było zorganizowanie wyborów 10 maja albo generalnie w maju. Borys Budka miał publicznie zapewniać, że Małgorzata Kidawa-Błońska „była, jest i będzie" kandydatką na prezydenta, żeby nie wydało się, iż jest całkiem odwrotnie. Miał też tak pozorować działania sztabu i partii, żeby wyglądało na to, iż kampania kandydatki toczy się normalnie, choć z trudnościami spowodowanymi pandemią. Ale już wtedy zakręcono kurek z pieniędzmi i przestano przygotowywać nowe materiały kampanijne. A takie osoby ze sztabu, jak Bartosz Arłukowicz czy Tomasz Siemoniak zostały przez Budkę powiadomione, żeby się przesadnie nie angażowały. Nic nie powiedziano natomiast Izabeli Leszczynie, Elżbiecie Łukacijewskiej, Adamowi Szłapce, Monice Wielichowskiej czy Aleksandrze Gajewskiej. Donald Tusk miał urabiać i przygotowywać nowego kandydata, czyli Rafała Trzaskowskiego. I nic dziwnego, że gdy już plan wdrożono, Trzaskowski zaczął mówić Tuskiem, choć oczywiście bez jego talentu i swego rodzaju wdzięku, co spowodowało, że jego pierwsze wystąpienie w roli oficjalnego, nowego kandydata było sporym zawodem (Trzaskowski nie potrafił trzymać emocji i nerwów na wodzy, co Tusk potrafi doskonale).

Od połowy kwietnia br. kandydaturę Rafała Trzaskowskiego sprawdzano w badaniach, których wyniki były znane zaledwie kilku osobom, a sondażownię zobowiązano do zachowania ścisłej tajemnicy. Zawczasu zastrzeżono też domenę internetową dla Trzaskowskiego na czas jego kampanii. Informatorzy z PO twierdzą też, że pod koniec kwietnia zaczęto in blanco zbierać podpisy na potrzeby no-

eprasa.pl a4f1a0e949

wego kandydata, tłumacząc to tym, że wciąż chodzi o Małgorzatę Kidawę-Błońską, a podpisy zbiera się dlatego, że będą rozpisane nowe wybory i cały proces trzeba będzie zacząć od nowa, choć z tymi samymi kandydatami. Oficjalnie władze PO dementują informacje o zbieraniu podpisów przed ogłoszeniem nowego terminu wyborów, choć są ślady w mediach społecznościowych i wygadała się w tej sprawie Hanna Gronkiewicz-Waltz.

Okazuje się też, że specjalną rolę odegrał w operacji „Dubler" Radosław Sikorski, którego pod koniec kwietnia wypuszczono jako ewentualnego następcę Kidawy-Błońskiej, żeby wyglądało na to, iż trwa jakiś demokratyczny proces wyłaniania nowego kandydata. Sikorskiego nie wtajemniczono z obawy, że jego pycha, ego i narcyzm sprawią, iż przed czasem storpeduje całą operację. Mógłby się też unieść honorem, że jest tylko pionkiem w grze o Trzaskowskiego. Tym bardziej że już raz był pionkiem w grze Donalda Tuska o stanowisko w instytucjach Unii Europejskiej. W 2013 i 2014 r. Tusk miał rzekomo załatwiać takie stanowisko dla Sikorskiego, podczas gdy załatwiał je dla siebie. Nikt inny nie był tak jak Sikorski zdeterminowany, żeby wrócić na szczyty, więc najłatwiej było nim manipulować w roli następcy Kidawy-Błońskiej. I ten element gry miał wymyślić oraz przeprowadzić sam Donald Tusk, co by wskazywało na swego rodzaju okrucieństwo wobec męża Anne Applebaum (a także wobec jego mentora Romana Giertycha), ponownie rozegranego i ogranego.

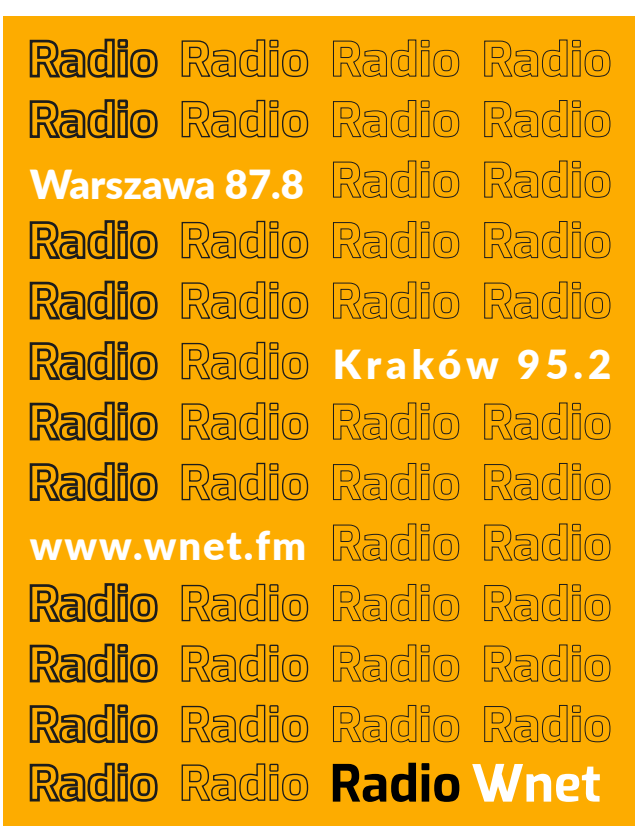
Wszystko to uczyniono po to, żeby do 10 maja br. zachować pozory. Ale najpierw nie dopuszczono do wyborów tego dnia, bo bez tego cała operacja nie miałaby sensu. Pandemia była tylko przykrywką, a opowieści o strasznych skutkach głosowania w maju (m.in. „koperty śmierci") – zwykłą manipulacją i dezinformacją.

WKŁAD JAROSŁAWA GOWINA

Operacja „Dubler" zakładała sprowokowanie i wykorzystanie buntu Jarosława Gowina w obozie Zjednoczonej Prawicy, żeby storpedowanie konstytucyjnego terminu wyborów nie wskazywało tylko na Platformę Obywatelską i jej bezprecedensową w historii wyborów akcję. Żeby to wszystko miało też ponadpartyjny wymiar oraz uwzględniało troskę o Polaków mających głosować. W tym sensie Jarosław Gowin organizatorom operacji „Dubler" spadł wręcz z nieba. Łechtali jego ego, chwalili za odpowiedzialność, odwagę i mądrość, żeby mieć w miarę obiektywny powód nawet nie przesunięcia terminu wyborów, lecz rozpisania ich na nowo i na warunkach PO, choć wydawało się, że ta partia z wyborów prezydenckich nie wyjdzie cało, a po nich się nie podniesie. Niezależnie od intencji, jakie miał, Jarosław Gowin nie tylko uwiarygodnił operację „Dubler", ale wręcz ją umożliwił. Bez niego byłaby bardzo trudna do zrealizowania, a już w ogóle nie dałoby się jej tłumaczyć czynnikami epidemicznymi, podczas gdy od początku była cyniczną, wyrachowaną grą.

W operacji „Dubler" chodziło o uratowanie PO (KO) przed rozpadem i marginalizacją oraz zachowanie pozycji lidera po stronie opozycji. Ale też o utrzymanie przywództwa Borysa Budki w partii zagrożonego przez nieudolną kampanię Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Chodziło również o zmobilizowanie wszystkich zasobów obozu III RP i antypisu, który przez Kidawę-Błońską był mocno zniechęcony, a przy Trzaskowskim ma nie tylko się ożywić, ale wręcz buchać agresją: w mediach, na ulicy, za granicą, w internecie. I chodziło o wyrwanie Rafała Trzaskowskiego z warszawskiej „niewoli", żeby można nim było grać jako ważnym aktywem w polskiej i opozycyjnej polityce, co jest szczególnie istotne przy słabym przywództwie Borysa Budki i odsunięciu Grzegorza Schetyny.

Rafał Trzaskowski ma odebrać głosy stracone na rzecz Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, ma odwojować poparcie tych grup interesów i środowisk, które już postawiły krzyżyk na PO. Zawsze można też liczyć na łut szczęścia, splot sprzyjających okoliczności, aferę bądź jakiś ważny czynnik zewnętrzny, który kandydata bez większych szans 10 maja, pod koniec czerwca lub na początku lipca br. wzmocni i wywinduje co najmniej do drugiej tury. To wszystko oznacza bardzo agresywną, mocną kampanię, co ma uniemożliwić wygraną Andrzeja Dudy w pierwszej turze, a potem takie zmobilizowanie elektoratu III RP i antypisu, żeby zawalczyć nawet o zwycięstwo w całych wyborach. W tym sensie operacja „Dubler" ma znaczenie dalece wybiegające poza partyjne cele PO, stwarzając szansę na odrodzenie III RP w wersji z lat 90. A to, że udało się ją przeprowadzić, choć szanse nie były wielkie, świadczy o nowej jakości i potencjale, którego obóz Zjednoczonej Prawicy w żadnym wypadku nie może lekceważyć. Tym bardziej że część tego obozu umożliwiła realizację tej operacji.



53/0420/F

eprasa.pl a4f1a0e949



Dlaczego Georgette Mosbacher, amerykańska ambasador w Warszawie, zdecydowała się napisać tweet, w którym ostrzegła, że „jeśli Niemcy chcą zmniejszyć potencjał nuklearny i osłabić NATO, to być może Polska, która rzetelnie wywiązuje się ze swoich zobowiązań, rozumie ryzyka i leży na wschodniej flance NATO – mogłaby przyjąć ten potencjał i u siebie”?

Georgette Mosbacher, czyli Ameryka gra polską kartą



MAREK BUDZISZ

Pytanie to jest tym ciekawsze, że przecież nie zrobiła tego bez uprzednich konsultacji z Departamentem Stanu i że kilka dni wcześniej amerykański ambasador w Niemczech Richard Grenell, kierujący do niedawna amerykańskim wywiadem, w artykule opublikowanym w „Die Zeit” oskarżył Niemcy o to, że osłabiają więź atlantycką i kwestionują natowską politykę powstrzymywania jądrowego.

Czy to, że mamy do czynienia z najwyraźniej skoordynowaną akcją amerykańskiej dyplomacji w Europie oznacza, że powinniśmy się przygotowywać do przyjęcia bomb B-61 składowanych obecnie w ramach programu Nuclear Sharing w bazie Büchel w Nadrenii-Palatynacie do wielkopolskich baz amerykańskich w Powidzu czy Mirosławcu? Czy jest nam to w ogóle potrzebne? I wreszcie czy wystąpienie pani ambasador nie oznacza zaproszenia ze strony amerykańskiej dyplomacji, aby Polska nieco energiczniej zaczęła zabiegać o to, abyśmy w przyszłości zostali przyjęci do programu Nuclear Sharing?

Chcąc odpowiedzieć na te wszystkie pytania, musimy opisać kontekst wystąpienia Georgette Mosbacher, bo – jak się wydaje – nie było ono przypadkowe, ale jest częścią wielopoziomowej, globalnej rozgrywki, w której Polska, niestety, nie jest najważniejszym elementem, lecz – być może – jest w stanie coś przy okazji osiągnąć.

DYSKUSJA W NIEMCZECH

Debatę zaczął Rolf Mützenich, kierujący frakcją socjaldemokratyczną w Bundestagu, który w wywiadzie dla dziennika „Der Tagespiegel” powiedział, że jego zdaniem amerykańskie bomby atomowe składowane na

eprasa.pl a4f1a0e949

terytorium Niemiec nie zwiększają bezpieczeństwa kraju, ale na odwrót, powodują znaczne jego zmniejszenie. Powołał się przy tym na „nieprzewidywalność" polityki prezydenta Donalda Trumpa oraz na jego słowa, że broń jądrowa nie jest tylko elementem polityki odstraszania, ale musi być również traktowana jako jedno z narzędzi prowadzenia wojny. Stanowisko Mützenicha poparł współprzewodniczący niemieckiej socjaldemokracji Norbert Walter-Borjans, który powiedział, że jego podejście jest proste: „Jestem przeciwnikiem stacjonowania broni atomowej w Niemczech, przeciw pełnomocnictwom, aby nią dysponować i tym bardziej przeciwko jej użyciu".

Tobias Lindner, ekspert Zielonych ds. polityki zagranicznej, powiedział w wywiadzie dla Deutsche Welle, że w jego opinii bomby atomowe są „drogim i przestarzałym, symbolicznym wkładem w to, aby mieć w NATO prawo głosu".

Wypowiedzi liderów niemieckiej socjaldemokracji mają na celu z jednej strony wykorzystanie społecznego sprzeciwu Niemców wobec stacjonowania broni atomowej na terytorium ich kraju (80 proc. ankietowanych opowiada się za jej wycofaniem) dla poprawienia spadających notowań, ale z drugiej strony mogą mieć ten skutek, że Niemcy, zwłaszcza w dobie kryzysu, mogą nie być w stanie zrealizować podjętych wcześniej decyzji związanych z modernizacją swego potencjału bojowego. Chodzi o zapowiedzianą przez Annegret Kramp-Karrenbauer, niemiecką minister obrony, decyzję zakupu 30 samolotów F/A-18 Super Hornet, zdolnych do przenoszenia ładunków nuklearnych. Gdyby współrządzącym socjaldemokratom udało się zablokować transakcję do wyborów parlamentarnych w 2021 r., po których może powstać koalicja o wyraźnie pacyfistycznym odcieniu, to problem sam się rozwiąże, a samoloty F-35, które zamierza kupić Polska, będą jedynymi w naszej części Europy zdolnymi do przenoszenia ładunków jądrowych.

Jednak z przebiegu niemieckiej debaty nie należy wyciągnąć wniosków o szykującym się przełomie. Rządzący krajem establishment nie chce rewizji dotychczasowej polityki nuklearnej. Lapidarnie ujął to Wolfgang Ischinger, kierujący obecnie Monachijską Konferencją Bezpieczeństwa, a w przeszłości niemiecki ambasador m.in. w Waszyngtonie, który napisał, że wycofanie się Niemiec z programu Nuclear Shering spowoduje, że Warszawa poczuje się opuszczona, a może nawet oddana Moskwie. W rezultacie może dojść do tego, jak zauważył, że Polska zmuszona zostanie w ten sposób do przemyślenia swej strategii bezpieczeństwa, co może prowadzić do zwiększenia amerykańskiej obecności wojskowej na wschodzie Europy, a nawet przeniesienia do nas ładunków jądrowych. Czy tego chce SPD – pytał retorycznie.

> Polska nie musi być obiektem bezpośredniej agresji ze strony Federacji Rosyjskiej, choć pozostawanie naszego kraju i całego regionu w „szarej strefie" bezpieczeństwa zwiększa prawdopodobieństwo, że Moskwa odczyta wahania państw NATO jako oznakę słabości i rozpocznie fazę zdecydowanie bardziej asertywnej, choć ograniczonej lokalnie, polityki

Gołym okiem widać, że w Berlinie swoje uczestnictwo w programie odstraszania nuklearnego postrzegają w równym stopniu jako czynnik relacji ze Stanami Zjednoczonymi, jak i z Polską. W takim ujęciu nie tylko Waszyngton, lecz również Niemcy są gwarantami naszego bezpieczeństwa. Niemieckie désintéressement oznaczałoby nową jakość i pozbycie się dobrowolnie przez Berlin jednego ze swych atutów strategicznych.

A jak tego rodzaju decyzja może wpłynąć na niemieckie bezpieczeństwo? Napisał o tym Josef Joffe, niemiecki dziennikarz, wchodzący w skład kolegium redakcyjnego „Die Zeit", wielkiego liberalnego dziennika, a przy tym uznany ekspert stosunków międzynarodowych. Joffe jest zdecydowanym zwolennikiem pozostawienia w Niemczech amerykańskich ładunków jądrowych, a sformułowane przez kierownictwo socjaldemokratycznej frakcji w Bundestagu propozycje nazywa „szaleństwem" czy „bzikiem". W jego opinii istotą amerykańskiej obecności wojskowej w Niemczech nie jest 20 ładunków jądrowych, ale system baz amerykańskich, takich jak Ramstein czy Spangdahlem oraz kilkanaście innych, które mogą być w razie konfliktu szybko wzmocnione. Rosyjscy stratedzy muszą zakładać w razie wojny przeprowadzenie na nie uderzenia wyprzedzającego, nawet przy użyciu ładunków jądrowych. A zatem, jak argumentuje niemiecki dziennikarz i analityk, wycofanie ładunków jądrowych nie spowoduje, że amerykańskie obiekty wojskowe znajdujące się na niemieckiej ziemi przestaną być celami dla Rosji. „Amatorscy stratedzy", jak ich nazywa Joffe, z kierownictwa niemieckiej socjaldemokracji, chcąc być konsekwentni, powinni doprowadzić do końca swój tok rozumowania. Bo to nie ładunki jądrowe są zagrożeniem dla niemieckiego bezpieczeństwa. Jeśli Trump i jego arsenały są groźne, to należy się ich z niemieckiej ziemi pozbyć, ale to nazywa się neutralnością i najprawdopodobniej zakończy się rozpadem NATO, bo po cóż Amerykanie mieliby pozostawać w Europie za linią Renu?

Zwróćmy na tę tezę uwagę. Zdaniem Joffego, choć nie pisze tego wprost, wschodnia flanka jest bez Niemiec nie do obrony i decyzja Berlina, gdyby

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a4f1a0e949

doprowadzić tok rozumowania kierownictwa socjaldemokracji do końca, oznacza wycofanie się wojsk NATO poza linię Renu. Innymi słowy – bezpieczeństwo Polski w takim rozumowaniu zależy zarówno od Stanów Zjednoczonych, jak i decyzji Berlina.

REAKCJE MOSKWY

W Rosji bardzo szybko zauważono wpis amerykańskiej ambasador i uznano go za ważny. Reakcja była w pewnym sensie typowa, choć z pewnością nie można uznać jej za nerwową. Minister Siergiej Ławrow w trakcie wideobriefingu z dziennikarzami powiedział, że jego zdaniem podjęcie decyzji o przerzuceniu do Polski części ładunków nuklearnych będzie naruszeniem porozumienia NATO–Rosja z 1997 r., w którym Sojusz zobowiązywał się nie dokonywać tego rodzaju dyslokacji na teren nowych państw członkowskich. Jednak z zastanawiającym spokojem powiedział też, że „nie wierzy, aby ta deklaracja przyjęła praktyczny wymiar".

Wydaje się, że Rosjanie bardziej niźli przeniesienia bomb atomowych z Niemiec do Polski obawiają się instalacji u nas rakiet średniego zasięgu podwójnego zastosowania. Jewgenij Primakow, deputowany do Dumy Państwowej i wnuk byłego premiera, napisał na swym blogu, że słowa amerykańskiej ambasador stanowią zapowiedź ich zainstalowania, do czego Ameryka zaczęła się przygotowywać, wypowiadając latem ubiegłego roku traktat INF. W jego opinii taka ewentualność to jak „pistolet przystawiony do rosyjskiej głowy". I Moskwa będzie zmuszona odpowiedzieć wpisaniem celów w Polsce na listę możliwych obiektów, w które uderzą rosyjskie rakiety uzbrojone w głowice nuklearne. Primakow zapomniał przy tym dodać, że zdolne do przenoszenia głowic nuklearnych systemy Iskander już znajdują się w Kaliningradzie, a rosyjskie siły zbrojne regularnie ćwiczą odpalenie salwy nuklearnej czy zrzucenie bomb atomowych. Ostatnie takie manewry, przeprowadzone przez Flotę Bałtycką, w których uczestniczyły samoloty lotnictwa strategicznego i w trakcie których ćwiczono wysadzenie desantu „na wrogim terytorium", odbyły się w rosyjskiej enklawie w ubiegłym miesiącu. Moglibyśmy zatem powtórzyć słowa Josefa Joffego, tylko tym razem w odniesieniu do Polski – czy z faktu, że rosyjscy stratedzy nie mówią o tym głośno, mamy wywodzić, że polskie miasta w ich planach nie są celem ataków nuklearnych?

Opinia Primakowa jest o tyle interesująca, że uczestniczył on w przygotowaniu niedawno opublikowanego raportu, opracowywanego przez specjalistów z Moskiewskiej Wyższej Szkoły Gospodarki, analityków z MSZ, deputowanych do Dumy i pewną nieujawnioną z nazwiska grupę wysokich rangą urzędników państwowych. Celem tego materiału było przedstawienie „nowych idei dla rosyjskiej polityki zagranicznej". Przynajmniej w dwóch miejscach jego autorzy proponują znaczącą modyfikację rosyjskiej doktryny nuklearnej. W miejsce dotychczasowych defensywnych zapisów postulują wprowadzenie możliwości wykonania przez Rosję „uprzedzającego uderzenia nuklearnego", które miałoby być reakcją na zagrożenie polityczne, takie jak umocnienie się kolektywnego Zachodu na Ukrainie.

Nie wydaje się zatem, aby nowe idee dla rosyjskiej polityki zagranicznej oznaczały spadek agresywności Moskwy. To, co może być nowe, to propozycja normalizacji relacji Moskwy z dużymi graczami, w tym ze Stanami Zjednoczonymi, Francją i Niemcami z jednoczesnym twardym rozgrywaniem swych interesów wobec państw znajdujących się w „strefie zgniotu".

Polska nie musi być obiektem bezpośredniej agresji ze strony Federacji Rosyjskiej, choć pozostawanie naszego kraju i całego regionu w „szarej strefie" bezpieczeństwa zwiększa prawdopodobieństwo, że Moskwa odczyta wahania państw NATO jako oznakę słabości i rozpocznie fazę zdecydowanie bardziej asertywnej, choć ograniczonej lokalnie, polityki.

PYTANIE O CHINY

Wydaje się, że w ostatnich tygodniach mamy do czynienia z ożywionym, choć niejawnym, dialogiem strategicznym między Moskwą a Waszyngtonem, czego elementami są deklaracje Georgette Mosbacher, ale również artykuł Richarda Grenella, inne wywiady i wystąpienia, nie wspominając o sześciu w ostatnich tygodniach rozmowach telefonicznych między Donaldem Trumpem a Władimirem Putinem. Obie strony prezentują swe stanowiska negocjacyjne. Minister Ławrow w czasie niedawnego spotkania



Nasze elity powinny zacząć się zastanawiać czy poszerzenie europejskiego „klubu atomowego" o Polskę odpowiada naszym interesom

eprasa.pl

Szanghajskiej Organizacji Współpracy mimochodem wspomniał o amerykańskich laboratoriach biologicznych działających w państwach wywodzących się z ZSRR i przypomniał, że Rosja domaga się prawa przeprowadzenia w nich inspekcji, a wiceminister Siergiej Riabkow, odpowiadający w rosyjskim MSZ za sprawy strategiczne, mówił w jednym z ostatnich wywiadów sporo na temat perspektywy zainstalowania przez Amerykanów, i to już w najbliższej przyszłości, w Polsce i w Rumunii rakiet średniego zasięgu na mobilnych platformach lądowych, które są w stanie przenosić ładunki nuklearne i razić cele w Rosji. Upraszczając, to katalog oczekiwań Moskwy, zarówno tego, czego ona nie chce (rakiety), jak i tego, o co zabiega (laboratoria, inspekcje).

A czego oczekują Stany Zjednoczone? Marshall Billingslea, mianowany kilka tygodni temu przez Donalda Trumpa zastępcą sekretarza Departamentu Stanu ds. kontroli nad procesem rozbrojeniowym i międzynarodowym bezpieczeństwem, powiedział w wywiadzie prasowym, że przedłużenie traktatu START 3, który wygasa w lutym przyszłego roku, będzie możliwe tylko wówczas, kiedy w miejsce amerykańsko-rosyjskiego porozumienia będzie możliwy układ z udziałem Chin. I to Moskwa mająca dobre relacje z Pekinem winna doprowadzić do uczestnictwa Chin w negocjacjach. Rosjanie nie mówią „nie", ale zarówno wiceminister Riabkow, jak i rosyjski ambasador w Stanach Zjednoczonych, a w przeszłości główny negocjator w rozmowach rozbrojeniowych, generał Anatoly Antonov, który wespół z Rose Gottemoeller napisali niedawno na łamach „Foreign Affairs" artykuł wzywający do przedłużenia o kolejne pięć lat porozumienia START 3, mówią, że potrzeba więcej czasu, aby przekonać Chiny do zmiany stanowiska.

Jak to wszystko ma się do Niemiec? W sposób dość oczywisty. Konstruowany przez Stany Zjednoczone blok antychiński nie powstanie bez udziału w nim Unii Europejskiej. Z kolei chińskie kontynentalne trasy komunikacyjne do Europy, znane jako inicjatywa Pasa i Szlaku, są bez wartości, jeśli ich „końcówki" blokuje z jednej strony Turcja, z drugiej Polska. To m.in. dlatego możemy obserwować w ostatnim czasie złagodzenie stanowiska Waszyngtonu wobec polityki Ankary. Niemcy, sprawując rotacyjne przywództwo we wspólnocie europejskiej, mają być też gospodarzem szczytu Unia–Chiny, zaplanowanego na wrzesień, który nie wiadomo, czy w nowej sytuacji się odbędzie.

Amerykańska gra strategiczna w Europie osiągnęłaby sukces, jeśliby zablokowała możliwość kooperacji państw wspólnoty z Chinami, a jednocześnie doprowadziła nie do zwrotu, bo to nierealistyczne, ale dystansowania się Moskwy od Pekinu. Deklaracja możliwości przesunięcia ładunków jądrowych do Polski, ale również zainstalowania rakiet średniego zasięgu w naszym kraju musi być wpisana w ten międzynarodowy kontekst. Jeżeli państwa, które są adresatami tych wystąpień, czyli Niemcy i Rosja, nie zrewidują w pożądanym przez Waszyngton kierunku swej polityki, to „polska karta" może zostać użyta. Z perspektywy Rosji oznacza to wyścig zbrojeń, który w zakresie broni jądrowej jest niezwykle kosztowny, czego Moskwa, zwłaszcza mając przed sobą perspektywę ciężkiego kryzysu gospodarczego, pragnęłaby uniknąć. Z punktu widzenia Berlina równa się to zmianie układu sił w Europie Środkowej, bo ewentualna decyzja Waszyngtonu to nie tylko bomby atomowe w Polsce, lecz cała ogromna i kosztowna infrastruktura wojskowa przesunięta na Wschód.

Na razie ta ostatnia perspektywa nie jest realna. Przeciwnikami takiego posunięcia będą w rodzinie narodów europejskich Niemcy, bo to narusza ich strategiczną pozycję na kontynencie jako głównej opoki wojsk amerykańskich. Nasze elity powinny zacząć tę kwestię rozważać, zastanawiając się, na ile rozszerzenie programu Nuclear Sharing o Polskę odpowiada naszym interesom. Co prawda minister Jacek Czaputowicz powiedział w zeszłorocznym wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel", że „my tego nie chcemy", ale w podpisanej niedawno przez prezydenta nowej redakcji Doktryny obronnej Rzeczypospolitej znajduje się zapis wskazujący na to, że głównym zagrożeniem dla nas jest Rosja. A jeśli tak, to winniśmy się zastanawiać, czy dotychczasowa polityka jest wystarczającą i czy nie nastał czas, aby zacząć myśleć nie o zastąpieniu Niemiec, bo to zupełnie dziś nierealne i potencjalnie groźne, ale o poszerzeniu europejskiego „klubu atomowego" o Polskę.



Fot. East News

eprasa.pl a4f1a0e949



Kiedyś też nam grożono: dopadniemy was

O oligopolu mediów lewicowo-liberalnych, gangsterskich początkach niektórych stacji telewizyjnych i agresji wobec dziennikarzy TVP opowiada Jacek Łęski, dziennikarz śledczy i telewizyjny, w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Co pomyślałeś, widząc kandydata na prezydenta Polski grożącego, także tobie jako dziennikarzowi TVP, że masz się spieszyć z zadawaniem pytań, bo wkrótce to TVP w ogóle nie będzie?

Jacek Łęski: Nierealistyczne plany można snuć do woli. Z postulatem zamknięcia TVP Info jest tak jak z pomysłami likwidacji Senatu – retoryka brzmi bojowo, a potem, jak się przejmuje władzę, to zwycięża myśl wykorzystania ważnego politycznego narzędzia, a nie pozbycia się go. Do tego wiele etatów, pieniądze, instytucje powiązane – z tego się łatwo nie rezygnuje.

Po co więc Trzaskowski tak mówi?

Moim zdaniem on mówi nie swoim tekstem. Trzaskowski jako antypisowski fighter objawił się nam w wyborach samorządowych dopiero w 2018 r. Pamiętam tego polityka z wcześniejszych lat jako takiego, który potrafił nawet uderzyć się w pierś, poddać autodiagnozie, zobaczyć własne błędy. Po wygranej PiS w 2005 r. wskazywał na złe podejście liberałów do Polaków, na lekceważenie problemów zwykłych ludzi, to był ciekawy, wyważony polityk.

Czyli to były słowa jego sztabu wyborczego?

To pomysł na kampanię. Pamiętajmy, że nowy kandydat PO na prezydenta ma mniej czasu niż pozostali politycy, aby się zaprezentować. Mówi wyraziście i agresywnie, by mocno tupnąć nogą, zaistnieć, od razu zostawić w tyle innych politycznych konkurentów. Spójrzmy

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl a4f1a0e949



na Szymona Hołownię, zdumionego, że oto nagle wyskoczył mu z boku rywal, który natychmiast go prześcignął w sondażach. PO rozpoczyna więc uderzeniem typowym dla swoich obecnych elit. Alternatywą dla Trzaskowskiego był Radosław Sikorski, przecież równie mocno atakujący prawicę, a nad nimi czuwa, nieomal z nożem w zębach, przewodniczący Borys Budka, mając w tle Krzysztofa Brejzę, SokzBuraka i internetowe trolle.

Polacy to kupią?

Czy w drugiej turze dałoby to kandydatowi PO więcej niż potrzebne 50 proc. wyborców? Nie sądzę. Ale teraz trwa walka na opozycji. Władysław Kosiniak-Kamysz już nieomal przejął pałeczkę lidera całego antypisu, Platforma zaczęła tonąć w sondażach, razem ze swoją nieszczęsną kandydatką. Mocne wejście Trzaskowskiego jest obliczone na taki efekt wstrząsu, który ma od razu pokazać, że PO nie składa broni, że wciąż przewodzi opozycji.

Dlaczego wcześniej dominowała strategia dobrej cioci Kidawy-Błońskiej?

To było jakieś zaćmienie umysłu, przemówił duch dawnej Unii Wolności, która taką pseudosiłą spokoju miała zjednywać sobie wyborców, jak wierzyło otoczenie Tadeusza Mazowieckiego w 1990 r. Jednocześnie pani marszałek dostawała do wygłoszenia agresywne teksty atakujące jej przeciwników politycznych, co kłóciło się z pierwotnym przekazem – i wyszła z tego porażka.

Dyskusja na temat obiektywizmu Telewizji Polskiej trwa jednak niezależnie od wyborów prezydenckich. Likwidacja serwisu informacyjnego państwowej stacji byłaby na rękę komercyjnej konkurencji.

W 1997 r., tuż przed uruchomieniem TVN, napisałem tekst „Syndrom Ibisza", który był zresztą uosobieniem telewizji lat 90. Przewidywałem wówczas, że układ postkomunistyczno-liberalny stworzy kilka stacji telewizyjnych symulujących pluralizm, da im koncesje, naładuje pieniędzmi, a państwową telewizję się powoli sprywatyzuje i zlikwiduje. Był już zresztą w pewnym momencie pomysł prywatyzacji TVP2. System oligopolu medialnego się domykał, aż się posypał przy kłótni Lwa Rywina z Adamem Michnikiem, czyli – inaczej mówiąc – przy konflikcie mentalnych moczarowców (Miller, Czarzasty) z partyjnymi reformatorami (Michnik, Kwaśniewski).

Postkomuna miała rząd dusz?

O tak! System był niemal domknięty. Pamiętam, jak na wieczorze wyborczym Aleksandra Kwaśniewskiego w 1995 r. dopadli nas, czyli ekipę „Pulsu Dnia" TVP1, starzy działacze PZPR, którzy wołali w naszą stronę: „Dopadniemy was". Mówili, że będziemy „z głodu zdychali", „za chwilę nas nie będzie". Pamiętam ich usatysfakcjonowane miny, agresję, lejący się szampan, poczucie wszechmocy i żądzę zemsty. I rzeczywiście doprowadzili do zepchnięcia do getta całego pokolenia dziennikarzy TVP. Czy to naprawdę jest marzenie dzisiejszej Platformy Obywatelskiej?

> Obóz III RP wciąż nie może się pogodzić z tym, że złamaliśmy jego jednogłos medialny, tak niezachwiany w latach 2007–2015. O to jest ta wściekłość. O raj utracony, o system, w którym to na Czerskiej decyduje się o tym, co ważne i ciekawe

Dzisiaj po stronie liberalnych mediów, które określają patriotycznych autorów jako „dziennikarzy pisowskich", poziom pogardy jest podobny.

A sami mają być bezprzymiotnikowymi dziennikarzami, „niezależnymi". Obóz III RP wciąż nie może się pogodzić z tym, że złamaliśmy ich jednogłos medialny, tak niezachwiany w latach 2007–2015. O to jest ta wściekłość. O raj utracony, o system, w którym to na Czerskiej decyduje się o tym, co ważne i ciekawe.

W tym okresie były jednak tygodniki i portale prawicowe.

Ale to były nieporównywalnie mniejsze siły – przy jakimś wyjątkowym szczycie sprzedaży prasa niepodległościowa mogła mieć kilkaset tysięcy bezpośrednich odbiorców, ale co z tego? Główne serwisy informacyjne oglądają codziennie miliony Polaków – w materiałach dużo bardziej sugestywnych, zwartych i jednoznacznych niż artykuł wydrukowany na papierze. Powiedzmy sobie szczerze: bez Telewizji Polskiej nie byłoby dzisiaj w Polsce wolności słowa i uczciwej debaty publicznej. Po raz pierwszy możemy oglądać w głównych mediach przekaz inny niż ten, który przez całe dekady suflował nam konkretny obóz polityczno-biznesowy. Bez TVP wolność słowa w Polsce zostałaby radykalnie ograniczona.

À propos tych kilku dekad. Odkąd powstały wielkie komercyjne stacje telewizyjne, zakładane np. przez ludzi bezpieki, minęło już ponad 20 lat. Czy naprawdę możemy mówić, że ich linia polityczna wynika z lat 90.? Znamy oczywiście np. notatkę Urbana o Walterze, w której propagandysta Jaruzelskiego typował go na administratora opinii społecznej w Polsce, ale jak mówić do nowych pokoleń, że to wszystko jest pokłosie korzeni III RP, gdy mamy rok 2020?

Ten mechanizm, raz wprowadzony w ruch, działa potem przez lata. Na tym polega budowanie instytucji. Stworzono system medialny, który stał się nieomal niezatapialny i w normalnych warunkach rynkowych nie dałoby się go ruszyć. Zwłaszcza że rynek medialny jest specyficzny, tutaj jest tak wysoki finansowy próg wejścia

eprasa.pl a4f1a0e949

do branży, że mogą sobie na niego pozwolić jedynie podmioty z ogromnymi pieniędzmi, a w realiach III RP także z politycznymi układami – żeby dostać koncesję.

Pamiętam czasy, gdy o taką koncesję starał się Marian Terlecki, solidarnościowiec z Gdańska, z doświadczeniem telewizyjnym i organizacyjnym, i nie udało mu się nic wskórać. A potem powstała Nasza TV, wśród której założycieli pełno było ludzi z korzeniami w służbach specjalnych PRL. Dziś już ta stacja nie istnieje, ale jej kostkę przy mikrofonie można zobaczyć w filmie „Kariera Nikosia Dyzmy", którego była współproducentem. Pamiętam też, jak jeden z polityków pełniący wysokie funkcje w samorządzie warszawskim oficjalnie rekomendował przyznanie koncesji tej stacji, a potem się okazało, że miał tam, przez słupa, swoje 16 proc. udziałów.

Skąd to wiesz?

Powiedział mi to wprost, w oczy. Widziałem jego rekomendację na papierze urzędowym, a nie miał prawa ze swojej funkcji zarządzać koncesjami. Pojechałem się zapytać, o co chodzi, a on mówi otwartym tekstem, że wśród udziałowców jest tam gość, co ma 32 proc. udziałów, a tak naprawdę połowa jest jego. Oni nie mieli żadnych skrupułów – jeszcze mnie przekonywał, że z moim szefem Tomaszem Wołkiem ma ugadane, że nie będziemy drążyć tematu. Facet zginął potem w gangsterskich porachunkach.

Ich pewność siebie nasuwa kolejny przykład – pijany w Charkowie Aleksander Kwaśniewski, o którym nie chciały mówić polskie media. Dziś – nie do pomyślenia.

A to wszystko wydało się poprzez dziennikarski spisek.

Jak to?

Jedyną dziennikarką, która o tym napisała, była Maria Przełomiec, pracująca w BBC, dość enigmatycznie wspominając o tym w „Rzeczpospolitej". I myśmy, w Radiu Plus, gdzie pracowałem, zastanawiali się, co tam musiało zajść, że dziennikarka pisze o jakiejś niedyspozycji prezydenta. Gdy nam powiedziała, co zaszło, potrzebowaliśmy jakichś materiałów, by to pokazać. Z jednej z telewizji pracownik wyniósł taśmę, na której czarno na białym było widać, że głowa państwa nawalona jak bela kołysze się nad grobami pomordowanych przez Sowietów polskich oficerów.

Niby znam tę historię, ale przeraża ona za każdym razem, gdy się jej słucha.

Nie mogliśmy tej taśmy puścić, bo przecież nie była nasza. Wymyśliliśmy taki podstęp: przekazaliśmy materiał kolegom z istniejącej wtedy stacji RTL7. Oni obdzwonili Polsat, TVN, TVP z zapytaniem o możliwość odkupienia materiałów wideo z uroczystości na Ukrainie. Oczywiście wszyscy, wbrew faktom, zarzekali się, że nic nie mają. To ułatwiło sprawę – nikt tej taśmy formalnie nie ma, a więc to materiały „niczyje". Materiał został przegrany na VHS, by pogorszyć jakość. RTL7 puścił to w świat z taką opowieścią, że patrzcie, niby nic się nie stało, a tu na bazarze Różyckiego można kupić wideo z tym, jak Kwaśniewski się zachowywał. Stopklatkę wydrukowała na pierwszej stronie „Gazeta Polska". To z kolei stało się punktem wyjścia do rozmowy reporterów Radia Plus z posłami w Sejmie, którzy wili się jak w ukropie. Wtedy establishment uznał, że sprawy się nie ukryje, więc trzeba ją jakoś ograć i rozbroić. Dwa dni później Ryszard Kalisz u Tomasza Lisa w TVN przekonywał, że przecież nic się nie stało, i kłamał tak bezczelnie, że stał się cud. Ego Lisa zwyciężyło z jego życiowym oportunizmem i wprost powiedział Kaliszowi, że przecież widzimy, jak jest. Dziś przedstawia to jako gest bohaterski, choć wtedy to już wszyscy dziennikarze wiedzieli, jak było naprawdę. Przez kilka dni była całkowita zmowa milczenia głównych mediów, której głównym strażnikiem była „Gazeta Wyborcza". Za takim układem tęsknią dziś politycy opozycji.

Niektórzy komentatorzy wyobrażają sobie, że telewizja publiczna przerobiona na modłę PO będzie pokazywała szerokie spectrum opinii od Jarosława Kurskiego do Rafała Ziemkiewicza. Nic podobnego. Będziemy mieli „Kidawa TV"

Myślisz, że możemy wrócić do takiej patologii medialnej?

Mam nadzieję, że aż tak źle to już nigdy nie będzie, choć tamten układ medialny jest nadal bardzo silny. Ludzie przejrzeli na oczy, jest internet, nie da się zamilczeć takiego tematu. Niektórzy komentatorzy wyobrażają sobie, że telewizja publiczna przerobiona na modłę PO będzie pokazywała szerokie spectrum opinii od Jarosława Kurskiego do Rafała Ziemkiewicza. Nic podobnego. Będziemy mieli „Kidawa TV". Przecież to polityczne środowisko meblowało TVP przez wiele lat z wiadomym skutkiem i w koalicji z postkomunistami. Dlaczego mieliby dziś urządzić to inaczej? Główne komercyjne media są stroną ostrego konfliktu politycznego od czasu, kiedy powstały. I nie da się tego wytłumaczyć faktem, że są prywatne. Przecież one też dysponują nadanym przez państwo dobrem szczególnym – koncesją. To nie jest tak, że wolno im robić agresywne polityczne wojny, wrzucać fake newsy, a my mamy kiwać głową, bo przecież to prywatny biznes. Warunkiem demokracji jest pluralizm, równy dostęp do mediów głównych nurtów politycznych. Dopiero od 2016 r. możemy mówić, że coś takiego w Polsce istnieje w największych telewizjach. Nie wszystkim się to podoba.

Reklama | 2/0520/F

eprasa.pl a4f1a0e949

Kraków

RMF Classic

kbf

fmf ON — — LINE

13. FESTIWAL MUZYKI FILMOWEJ

26.05—1.06.2020 r.

SŁUCHAJ W RMF CLASSIC

CODZIENNIE O 21.00

26.05 | CINEMA CHORALE (2019)

27.05 | CINEMATIC PIANO: LION. DROGA DO DOMU – HAUSCHKA & DUSTIN O'HALLORAN (2018)

28.05 | CINEMATIC PIANO: JEAN-MICHEL BERNARD (2017)

29.05 | ALL IS FILM MUSIC: GALA JUBILEUSZOWA 10. FMF (2017)

30.05 | MIĘDZYNARODOWA GALA SERIALI (2015)

31.05 | GALA MUZYKI FILMOWEJ: ANIMACJE (2016)

1.06 | KONCERT SPECJALNY Z OKAZJI DNIA DZIECKA

SPRAWDŹ PROGRAM KONCERTÓW ONLINE NA **RMFCLASSIC.PL**

OGLĄDAJ NA: /rmfclassic @rmfclassic /rmfclassic

eprasa.pl a4f1a0e949

Lawendowy wirus



To nie przypadek, że premiera filmu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego" odbyła się w przededniu 100. rocznicy urodzin Jana Pawła II. Jeśli twórcy obrazu chcieli „wpisać się" w to wydarzenie, to ich zamiar się nie powiódł



GRZEGORZ GÓRNY

Uwaga katolików w Polsce skoncentrowana była tego dnia na przywoływaniu postaci papieża oraz jego dorobku. Niemniej dotknęli oni jednak i nazwali po imieniu jeden z realnych problemów dzisiejszego Kościoła. Wprowadzili też do obiegu masowego w Polsce pojęcie „lawendowej mafii".

„KLIKI HOMOSEKSUALNE"

„Zabawa w chowanego" różni się znacząco od pierwszego filmu Sekielskich „Tylko nie mów nikomu". Po pierwsze, nie ma w niej nachalnego zderzania obscenicznych opisów z sakralnymi obrazami, co utrwalało w podświadomości widzów związek między deprawacją a religią. Po drugie, jeden z bohaterów stwierdza, że problem pedofilii dotyczy nie tylko Kościoła, lecz także innych środowisk (to konstatacja dość oczywista, lecz w pewnych opiniotwórczych kręgach zupełnie niespotykana). Po trzecie, wskazana została jedna z głównych przyczyn tej patologii w Kościele, o której powiedzieli bp Mirosław Milewski, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski i Tomasz Terlikowski, a którą określić można mianem „lawendowej mafii".

To nie przypadek, że wszystkie ofiary molestowania przez duchownych pokazane w filmie braci Sekielskich są chłopcami. Tę prawidłowość potwierdzają zresztą badania przeprowadzone w wielu krajach świata zarówno przez niezależne środowiska naukowe, jak i państwowy wymiar sprawiedliwości. Wynika z nich, że sprawcami większości czynów pedofilskich wśród księży są homoseksualiści. W USA i Australii ich odsetek wynosi ok. 90 proc., w Belgii – 76 proc., a w Niemczech – 62 proc. Biorąc pod uwagę, że stanowią oni zaledwie 1–2 proc. w skali społecznej, oznacza to olbrzymią nadreprezentację mężczyzn o tych preferencjach wśród sprawców tzw. pedofilii klerykalnej. Dlatego bp Mirosław Milewski stwierdził, że nie da się rozwiązać problemu molestowania nieletnich w Kościele bez wcześniejszego rozwiązania problemu lobby homoseksualnego wśród duchowieństwa, ponieważ są to zjawiska ze sobą powiązane.

Podobnie brzmiała zresztą diagnoza Benedykta XVI, którą zawarł on w głośnym tekście z maja 2019 r. na temat przyczyn pedofilii w Kościele. Pisał wówczas o przenikaniu do środowisk katolickich postulatów rewolucji seksualnej, czego wyrazem było m.in. to, że „w różnych seminariach ustanowiono kliki homoseksualne, które działały mniej lub bardziej otwarcie i znacząco zmieniły klimat w seminariach".

WSPÓLNOTA GRZECHU

Już w 1989 r. amerykański socjolog ks. Andrew Greeley wprowadził do obiegu publicznego pojęcie „lawendowej mafii" na określenie homoseksualnych grup lobbystycznych wewnątrz Kościoła katolickiego. Ich przedstawiciele tworzą niejawną sieć towarzysko-zawodowego wsparcia. Jeśli któryś z nich zostaje np. biskupem, to często awansuje na wpływowe stanowiska w kurii swoich wspólników. Zostają oni mianowani np. rektorami w seminariach, gdzie mają wpływ na rekrutację i deprawację młodych kleryków. Niekiedy uzależniają dalszą karierę (np. wyjazd na studia do Rzymu) od oferowania im usług seksualnych. Swymi mackami potrafią opleść kurie diecezjalne lub władze zakonów.

eprasa.pl a4f1a0e949



To układ oparty na wspólnocie grzechu, ponieważ żyją oni w nieustannym zakłamaniu i nieczystości. Czymś naturalnym jak oddychanie jest dla nich funkcjonowanie w kulturze tajemnicy, kazuistyki i wyparcia. Jeśli któryś z nich zostanie przyłapany np. na lubieżnych czynach, inni starają się go kryć. Zmowa milczenia wynika ze środowiskowej lojalności, pytanie tylko jakiej: „korporacji księżowskiej" czy subkultury gejowskiej?

Weźmy następujący przykład: rektor seminarium nagminnie molestuje kleryków, potem zostaje biskupem, a jeden z jego dawnych wychowanków już jako ksiądz w parafii zostaje przyłapany na pedofilii. Czy hierarcha, tuszując tę sprawę, kieruje się bardziej solidarnością zawodową i swoiście rozumianym dobrem Kościoła, czy chęcią ochrony swego dawnego kochanka i wspólnika w grzechu?

DUSICIELE POWOŁAŃ

Nie jest to bynajmniej przykład teoretyczny, o czym przekonuje literatura specjalistyczna w Stanach Zjednoczonych. Wspomniane zjawisko zostało tam dobrze przebadane i opisane m.in. przez takich autorów, jak Thomas Crangle, Richard Sipe, James G. Wolf czy przywoływany już Andrew Greeley. W tym roku w Polsce ukazał się przekład książki Michaela S. Rose'a z 2002 r. „Żegnajcie, dobrzy ludzie. Jak ateiści i homoseksualiści opanowali amerykańskie seminaria". Praca cenionego dziennikarza śledczego, oparta na 150 pogłębionych wywiadach, opisuje mechanizm „wrogiego przejęcia" licznych seminariów katolickich w USA przez zdeprawowaną subkulturę, która zniszczyła wiele autentycznych powołań kapłańskich. Dzisiejszy brak księży w dużym stopniu wynika tam z właśnie z opanowania centrów formacji kapłańskiej przez agentów wpływu określonej opcji kulturowej.

Tak mówił o tym w 1995 r. abp Elden F. Curtiss z Omahy: „Wydaje mi się, że »kryzys« powołaniowy jest wywoływany przez ludzi, którzy chcą zmienić agendę Kościoła; przez ludzi, którzy nie popierają ortodoksyjnych kandydatów na księży, lojalnych wobec magisterium papieża i biskupów; przez ludzi, którzy właściwie zniechęcają dobrych kandydatów do dążenia do kapłaństwa i życia zakonnego, rozumianych tak, jak definiuje to Kościół. Sam osobiście wiem o niektórych kierownikach ośrodków powołaniowych, zespołach powołaniowych i komisjach oceniających, odrzucających kandydatów, którzy nie popierają ewentualności święcenia kobiet albo też bronią nauczania Kościoła na temat sztucznej kontroli urodzeń czy prezentują silne przywiązanie do pewnych form pobożności, takich jak choćby różaniec". Diagnozę tę potwierdził Benedykt XVI, który wspominał: „w niejednym seminarium studenci przyłapani na czytaniu moich książek byli uważani za niezdolnych do kapłaństwa".

> Nie da się rozwiązać problemu molestowania nieletnich w Kościele bez wcześniejszego rozwiązania problemu lobby homoseksualnego wśród duchowieństwa, ponieważ są to zjawiska ze sobą powiązane

W swojej książce Michael S. Rose opisuje, jak przywoływane przez Ratzingera „kliki homoseksualne" zniszczyły wiele prawdziwych powołań kapłańskich. Należący do „lawendowej mafii" wykładowcy i alumni wytwarzali bowiem atmosferę, w której trudno było wytrzymać heteroseksualnym seminarzystom.

SYNDROM WAMPIRA

W swoim filmie Sekielscy odsłonili jeszcze jeden mechanizm funkcjonowania tego środowiska, który nazwać można „syndromem wampira", a więc przeistoczeniem ofiary w oprawcę. Ks. Artur Hajdasz, który dopuszczał się pedofilskich czynów, sam przyznał, że w młodości był seksualnie molestowany. To często powracający się motyw: ministranci lub klerycy, którzy byli w przeszłości wykorzystywani przez kapłanów, gdy zostawali księżmi, sami powtarzali te same akty wobec podległych im chłopców. W ten sposób następowała pokoleniowa reprodukcja środowiska.

Ma rację ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, gdy mówi, że „lawendowa mafia" to wirus, który niszczy Kościół od środka. Jak pisze specjalista: „Wirus, który atakuje komórkę, wdziera się do jej środka i opanowuje molekuły DNA odpowiedzialne za procesy życiowe. Na zewnątrz komórka pozostaje taka sama jak przedtem, nawet zachodzą w niej podobne reakcje jak wcześniej, ale kieruje nią wirus. Jego celem nie jest natomiast dalsze podtrzymanie komórki przy życiu, lecz jej uśmiercenie".

Podobnie jest z „lawendową mafią", która prowadzi do zgnilizny duchowej i moralnej organizmu, na którym żeruje. Pasożytuje na Kościele, będąc antyświadectwem i źródłem zgorszenia. Promuje ludzi żyjących podwójnym życiem, przebywających świadomie i permanentnie w stanie grzechu ciężkiego. Benedykt XVI, pytany w 2010 r. w Fatimie o skandale obyczajowe wśród duchownych, odpowiedział, że dziś „największe prześladowania Kościoła nie pochodzą od jego wrogów zewnętrznych, lecz rodzą się z grzechu mającego miejsce w Kościele".

Ofiarami tego niszczycielskiego działania są przede wszystkim bezbronne, niewinne dzieci, które latami zmuszone są nosić w sobie traumę nie do udźwignięcia. Zbrodnia dokonuje się nie tylko na ich ciałach, lecz także na ich duszach. Gwałci się ich niewinność, a niekiedy zabija wiarę. Z filmu „Zabawa w chowanego" wynika, że dwóch wykorzystanych chłopców odeszło z Kościoła. Czy dlatego, że zostali w dzieciństwie zgwałceni przez księdza, czy dlatego, że później – w reakcji na swoją krzywdę – spotkali się w Kościele z kłamstwem, nieczułością i obojętnością tych, którzy na co dzień tak pięknie mówią o miłości bliźniego?

eprasa.pl a4f1a0e949



Niszczą moją rodzinę

Bzdurą są informacje, że miałem lub mam wpływ na dofinansowanie w drodze konkursowej firmy mojego brata. Jest dokładnie przeciwnie. Odkąd jestem w rządzie, bratu trudniej jest uzyskać dofinansowanie. Mam na to dowody. Ilość pieniędzy, które dzięki grantom uzyskiwała co roku firma mojego brata, spadła. Od listopada 2017 r. do listopada 2019 r. było to zero

Z prof. Łukaszem Szumowskim, ministrem zdrowia, rozmawia Dorota Łosiewicz

Jest w ogóle jeszcze jakaś epidemia? Patrząc na ludzi w sklepach czy na ulicach, powątpiewam.

Łukasz Szumowski: Kiedy popatrzymy na doniesienia z Chin, gdzie odcięto kilkaset tysięcy osób w jednej z prowincji, z powodu nawrotu koronawirusa, to nie można popełnić grzechu pychy, mówiąc, że epidemii nie ma, bo ona może w każdej chwili wrócić. Ludzie raczej po prostu przestają się bać wirusa, ponieważ uniknęliśmy scenariusza włoskiego, hiszpańskiego czy francuskiego. Uniknęliśmy stosów trumien, nie było u nas sytuacji, żeby brakowało miejsca do grzebania zwłok. Dzięki temu, że podjęliśmy natychmiastowe działania, lekarze nie musieli stawać przed dylematem, kogo ratować, a komu pozwolić umrzeć. Czytałem ostatnio wypowiedź jednego ze szwedzkich lekarzy, który przyznał, iż Szumowski ma rację, że Szwecja poszła modelem darwinistycznym, narażając osoby starsze i chore na śmierć. My tego wszystkiego uniknęliśmy. Dlatego ludzie cieszą się wiosną, słońcem i przestali się bać.

A jeśli epidemia wróci, jak pan sugeruje, kto wie, może na jesieni, to będzie drugi lockdown?

Drugiego lockdownu już nie da się zrobić. Poza tym mam nadzieję, że nawet jeśli będzie drugie uderzenie epidemii, to jednak nie będzie dramatycznie. Udało się bowiem wprowadzić sieć szpitali jednoimiennych, mamy infrastrukturę, ponad 120 laboratoriów wykonuje testy. To są narzędzia do kontroli tego potwora, jakim jest epidemia. Poza tym mamy narzędzia do reagowania na duże ogniska. Mamy takie ognisko na Śląsku, ale zostało szybko wychwycone i nie wystrzeliło na cały region. Pomogły szybko wprowadzone testy przesiewowe, kwarantanna i izolacja chorych.

Patrząc z perspektywy czasu: podjąłby pan te same decyzje? Wiele osób mówi dziś, że epidemii w ogóle nie było lub że wirus wcale nie jest groźny.

Gdybym mógł cofnąć czas, to tylko przyspieszyłbym lockdown. Ale przecież i tak zrobiliśmy to właściwie najszybciej, jak się dało. Nie było kraju, który szybciej podjąłby tak radykalne decyzje.

Jak to jest, że decyzję o zamknięciu szkół, a później wyłączaniu kolejnych sektorów gospodarki podjęto,

eprasa.pl a4f1a0e949

gdy było kilkanaście przypadków zakażeń, a wszystko wraca do życia, gdy tych przypadków jest 20 tys.?

Dzieje się tak dlatego, że mamy narzędzia, które pomagają kontrolować epidemię. Gdy decydowaliśmy o lockdownie, nie było laboratoriów, które wykonywałyby testy. Próbki wysyłaliśmy do Charite, do Niemiec. Teraz mamy ponad 120 laboratoriów.

Wróćmy do spiskowych teorii. Jedna z nich głosi, że za pandemią stoi Bill Gates, który już ma szczepionkę.

Tak, a ja go promuję, bo uważam, że biotechnologia i szczepionki są dobre. Jest jeszcze teoria o tym, że wirusa wypuścili ci, którzy chcą zniszczyć Europę. Są też tacy, którzy dowodzą, że ziemia jest płaska. Ale na poważnie: teoria dotycząca spisku Billa Gatesa jest oderwana od rzeczywistości.

Nie są już teorią spiskową pojawiające się w USA żądania reparacji od Chin. Według prezydenta Trumpa epidemia koronawirusa uderzyła w Amerykę mocniej niż Japończycy w Pearl Harbor w II wojnie światowej lub ataki terrorystów z 11 września dwie dekady temu.

By domagać się reparacji, trzeba byłoby udowodnić, że Chiny tego wirusa stworzyły, a z wiedzy naukowej wynika, że szansa na wyprodukowanie tego typu wirusa jest niewielka. Inna sprawa, że Chiny i WHO nie informowały o zagrożeniu tak szybko, jak powinny. To jednak nowa epidemia. Post factum wszyscy są mądrzejsi i wiedzą, jak należałoby postępować. To tak jak z maseczkami – wszyscy teraz mają pretensję, że ministerstwo kupiło maseczki od dostawcy, który nie miał doświadczenia w branży. Kupiło dlatego, że nikt inny ich nie oferował w tamtym czasie. A jak oferował, to żądał zapłaty całości z góry i jeszcze mówił często, żebyśmy sami sobie maski z Azji odebrali.

Dał się pan oszukać. Jest pan naiwny?

W takim samym stopniu jak WOŚP, Komisja Europejska czy Naczelna Rada Lekarska. Kupowaliśmy towar z certyfikatem. Tak funkcjonował przez lata cały świat. Przecież nikt nie kontrolował w laboratorium maseczek ani fartuchów, bo miały właśnie certyfikaty. Gdy sprzęt ma certyfikat, to uznaje się, że jest on prawdziwy. Uważa się też, że materiał, z którego wykonana jest maseczka, odpowiada certyfikatowi. A brat, w dobrej wierze, skierował do mnie owego przedsiębiorcę, bo on miał maseczki. A my nie. Miałem nie kupić? To dopiero by się na mnie rzucili. „Skandal: mógł kupić maseczki, a tego nie zrobił". Zrobiono aferę tam, gdzie jej ani przez sekundę nie było.

> Drugiego lockdownu już nie da się zrobić. Poza tym mam nadzieję, że nawet jeśli będzie drugie uderzenie epidemii, to jednak nie będzie dramatycznie

Gdy zrobiło się głośno o maseczkach, zaatakował pana ks. Lemański, mówiąc: „A może tak do dymisji, ministrze? Do Kanossy? Na zieloną trawkę, z zakazem wykonywania zawodu? Niezatapialny. Widocznie pusty w środku". Zabolały pana te słowa?

Myślę, że one więcej mówią o ich autorze niż o mnie. Nie znam ks. Lemańskiego, on nie zna mnie, nie wiem, na jakiej podstawie duchowny formułuje takie opinie.

Pojawiały się także postulaty pozbawienia pana prawa do wykonywania zawodu.

Znam oczywiście zarzuty „koleżanki" Pikulskiej, ale nie wiem, czyje zdrowie i życie narażałem. Raczej robiłem wszystko, by je ratować. Jak widać, nie przeżywamy dramatu Włoch, Hiszpanii, Francji czy Nowego Jorku.

Wygląda na to, że z „trefnych" maseczek się pan wybronił, ale to nie koniec. Media donoszą, że nadużywał pan funkcji publicznych w kontekście dotacji i grantów dla firm należących do jego rodziny.

Najgorsze w tych atakach jest to, że one nie są merytoryczne. Bez pardonu atakuje się moją rodzinę. Podaje się informacje niezgodne z rzeczywistością. Bzdurą są informacje, że miałem lub mam wpływ na dofinansowanie w drodze konkursowej firmy mojego brata. Jest dokładnie przeciwnie. Odkąd jestem w rządzie, bratu trudniej jest uzyskać dofinansowanie.

Każdy może tak powiedzieć.

Powiedzieć tak, ale ja mam na to dowody. Ilość pieniędzy, które dzięki grantom uzyskiwała co roku firma mojego brata, spadła. Od listopada 2017 r. do listopada 2019 r. było to zero. W ub.r. firma mojego brata nawet przegrała w sądzie sprawę o jeden z grantów. Podobne firmy dostają znacznie większe kwoty. Wystarczy spojrzeć na zestawienie, które pokazuje historię pozyskiwania środków z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju przez trzy notowane na GPW spółki publiczne, prowadzące badania i rozwój w obszarze nowych leków drobnocząsteczkowych. Wynika z nich, że odkąd jestem ministrem zdrowia, liczba pozyskanych grantów i dofinansowania przez OncoArendi spadła znacząco z 7 grantów na łączną kwotę ok. 130 mln zł w latach 2014–2017 do ok. 45 mln pozyskanych w okresie 2018–2020. Tymczasem liczba i łączna suma pozyskanych grantów w okresie 2018–2020 przez firmy konkurencyjne do firmy mojego brata wyniosły: 4 granty (jedna z nich) i 5 grantów (druga) na łączne kwoty ok. 100 mln i 140 mln zł. Takie są fakty, a nie medialne doniesienia. Boli mnie to, że moja rodzina z mojego powodu znalazła się pod takim ostrzałem.

Ale to i tak dopiero początek. Przed nami krótka, acz brutalna kampania. A pan stał się silnym wsparciem premiera Morawieckiego i jednocześnie prezydenta Dudy, więc będzie pan na celowniku.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a4f1a0e949

Ja nie mam nic do ukrycia. Wszystkie transakcje ministerstwa są do wglądu i są przejrzyste. Działania resortu zdrowia są całkiem transparentne. Nie mam wątpliwości, że wszystko, co robiliśmy podczas epidemii, było słuszne, transparentne, uczciwe, potrzebne, a działaliśmy w dramatycznie trudnej sytuacji. Najlepszą oceną pracy mojego zespołu są fakty, a te są takie, że mamy najmniej wirusa na milion mieszkańców w Europie, nie mieliśmy dramatów w postaci braku miejsc na OIOM-ach, nie było też trudności w dostępie do szpitali zakaźnych. Jaki jest inny cel Ministerstwa Zdrowia, jak zapewnienie bezpieczeństwa zdrowotnego Polaków?

A może takie efekty to wynik nie tylko pracy ministerstwa, ale także korelacji, która zachodzi z wyszczepieniem przeciw gruźlicy. W tych państwach, gdzie obywatele byli szczepieni, ludzie przechodzili COVID-19 lżej.

Trudno udowodnić tę korelację, bo sprowadza się tylko do jednego czynnika. To ciekawe ćwiczenie intelektualne, ale brakuje dowodów na poparcie tej tezy. Nie wiadomo, jaki mechanizm fizjologiczny miałby stać za taką zależnością. Jest korelacja statystyczna, ale nic więcej.

W rankingach zaufania przegonił pan urzędującego prezydenta. Cieszy to pana czy to raczej problem?

Dla mnie to głównie problem. Nie starałem się w żaden sposób podstępnie zdobyć zaufania Polaków. W czasie epidemii pracowałem tak jak przed nią. Najwyraźniej w czasach globalnego zagrożenia ludzie szukają kogoś, kto przeprowadzi ich przez ciemną dolinę i padło na mnie. Jednak, sądząc po skali ataków na moją rodzinę i na mnie, wyszliśmy już z ciemnej doliny i trzeba zapłacić za wcześniejsze zaufanie.

Wdepnąłby pan w politykę raz jeszcze?

Dobre pytanie. Czasem sobie je zadaję. Koszt, zwłaszcza dla rodziny, jest bardzo wysoki. Dzieci czytają, że jestem aferzystą, robię lewe biznesy. Choć to nieprawda, to jest to trudne.

Tęskni pan do zawodu?

Tęsknię. W tym zawodzie nie ma bezosobowego hejtu, jak ten ze strony przywołanego przez panią ks. Lemańskiego. W medycynie nikt w ten sposób nie hejtuje. Mam nadzieję, że kiedyś do zawodu wrócę. Na razie jestem ministrem i nie mogę.

> Najlepszą oceną pracy mojego zespołu są fakty, a te są takie, że mamy najmniej wirusa na milion mieszkańców w Europie, nie mieliśmy dramatów w postaci braku miejsc na OIOM-ach

Co jako ministra zdrowia tak pana niepokoi w kwestii wyborów tradycyjnych, że wolałby pan wybory za dwa lata? Przecież ludzie chodzą do sklepów, nawet bardzo tłumnie, a w lokalach wyborczych można zachować wszystkie środki ostrożności.

To prawda, ale do sklepu musimy iść. Ja co prawda wciąż rekomenduję zakupy przez internet, bo są bezpieczniejsze niż wyprawa do dyskontu. Im mniejszy kontakt z innymi w czasie epidemii, tym lepiej. W Bawarii tradycyjne wybory dały wzrost zachorowań, w Korei jednak tego nie widać. Generalnie jednak każda aktywność, w tym ta sklepowa, rodzi ryzyko. Wybory korespondencyjne na pewno są bezpieczniejsze. Zaproponowana przez Zjednoczoną Prawicę formuła wyborów wraz z moimi poprawkami, które dają powszechny dostęp do głosowania korespondencyjnego oraz pozwalają ministrowi zdrowia wprowadzić konieczność głosowania korespondencyjnego tam, gdzie sytuacja jest zła, to z pewnością rozwiązanie, które daje nam większy komfort bezpieczeństwa.

A zbieranie podpisów pod listą wyborczą ciągnie za sobą ryzyko?

Tak jak każda aktywność i kontakt z drugim człowiekiem.

Czyli można śmiało mówić o „zabójczych listach"?

Skoro taką narrację zbudowano pod wybory korespondencyjne, to ona jest aktualna, zbieranie podpisów jest bowiem obciążone większym ryzykiem epidemicznym niż wrzucenie karty do głosowania.

Od 1 czerwca szpitale jednoimienne będą wracały do normalnego funkcjonowania. Czy jednak nie grozi nam głęboka zapaść w ochronie zdrowia? Przecież ludzi chorych na nowotwory i inne choroby nie ubyło.

Onkologia nie wstrzymała swojej działalności, onkologia chirurgiczna też nie. Ale część zabiegów odwołano, wielu pacjentów wolało nie iść do lekarza, dlatego staramy się wszystko jak najszybciej odmrozić, żeby ludzie znów mogli się normalnie leczyć, żeby wrócić do profilaktyki, badań przesiewowych. Pozytywy są takie, że spadła liczba pacjentów na SOR-ach, okazało się też, że spadła liczba zgonów. To znaczy, że duża część pacjentów na SOR-ach nie wymagała ratowania życia. Być może więc SOR-y odzyskają swoją funkcję. Bo wirus tak szybko nie zniknie. Będzie z nami jeszcze rok, może półtora. Może więc ludzie wciąż będą się bali iść z katarem na SOR, a SOR-y będą się zajmowały tym, czym powinny, czyli ratowaniem ludzi.

Jednak diagnostyka na SOR-ach się wydłużyła, bo zamiast ratować pacjentów, testuje się ich.

Kiedy przyjeżdża pacjent z udarem czy z zawałem, to nikt nie pyta, czy on jest zarażony, czy nie, tylko się go ratuje. Pacjent z za-

eprasa.pl a4f1a0e949

wałem ma rozszerzane naczynia wieńcowe, a jednocześnie wysyła się próbkę na badanie w kierunku koronawirusa.

Czy po epidemii Polacy będą chętniej korzystali z e-wizyt?

Myślę, że skutkiem epidemii będzie powszechna akceptacja e-zdrowia i to może nieco rozładować kolejki w przychodniach. Zobaczymy, że można porozmawiać z lekarzem, a nie od razu do niego iść.

Nie wszystko jednak da się załatwić przez telefon. Najlepszym przykładem niech będzie historia 18-latka, który online dostał antybiotyk, a zmarł z powodu ropnia mózgu.

To straszna historia. Dziś nie odpowiemy na pytanie, czy chłopiec był do uratowania. Krążenie od szpitala do szpitala było oczywiście karygodne. Zleciłem kontrolę tej sprawy. Podobnie jednak lekarz rodzinny, podczas rutynowego badania, nie musi wykryć nowotworu i często pacjenci trafiają do szpitala z rozległym nowotworem. Tak samo nie jesteśmy w stanie wyłapać zawału, gdy ktoś ma bezobjawowe migotanie przedsionków. Bezpieczniejsze jest na pewno ograniczenie kontaktu ludzi chorych i zdrowych. A wizyty online temu służą.

Co będzie z wakacjami? Czy dzieci mogą spokojnie pojechać na obozy?

W chwili, gdy rozmawiamy, powiem tyle: na razie nie wiem. Będę w stanie odpowiedzieć, gdy zniknie ognisko śląskie, gdy Polska wejdzie w tendencję spadkową, gdy zacznie spadać liczba zachorowań. Wyjazd na obóz na pewno ciągnie ze sobą ryzyko. Pytanie: ile wirusa będzie krążyło w populacji? Jeśli mało, ryzyko nie będzie znaczące, jeśli więcej, ryzyko wzrośnie. Co będzie, gdy zarazi się jedno dziecko? Co zrobić z całą resztą? Co z opiekunami? Wszyscy będą musieli zostać poddani kwarantannie. Robi się z tego dość skomplikowana sytuacja. Właśnie zastanawiamy się nad regulacjami dla organizatorów, żeby maksymalnie podnieść bezpieczeństwo dzieci.

Odradza pan więc wysyłanie dzieci na zorganizowane wyjazdy?

Najbezpieczniejszy będzie rodzinny wypoczynek.

A gdzie?

Nie pchajmy się tam, gdzie szaleje epidemia. Rejsy łódką po Bałtyku czy Mazurach na pewno będą bezpieczniejsze niż wyjazd do zatłoczonego kurortu. Trzeba zaplanować wypoczynek z głową. I trzeba pamiętać, że tym planom towarzyszyć musi duża niepewność. Nie wiemy, czy gdzieś nie pojawi jakieś ognisko wirusa.

Nie pchajmy się tam, gdzie szaleje epidemia. Rejsy łódką po Bałtyku czy Mazurach na pewno będą bezpieczniejsze niż wyjazd do zatłoczonego kurortu

Co pan zrobi, gdy skończy się epidemia?

Wyjadę gdzieś. Ale niezbyt daleko. Może popłynę w rejs po Mazurach.

A kiedy TO się tak naprawdę skończy?

Kiedy będzie szczepionka.

Antyszczepionkowcy zawyli. Będzie obowiązkowa?

Nie wiem, czy będzie obowiązkowa. Nie znam metodologii jej produkcji, testowania, nie wiem, czy jest bezpieczna. Pewnie będzie ich wiele. Dopiero gdy będzie można odpowiedzieć na te pytania, będzie można powiedzieć, czy będzie to szczepienie obowiązkowe.

Kiedy zdejmiemy maseczki w przestrzeni publicznej?

Regionalnie – myślę, że niedługo. Pierwsze będą województwa z najmniejszą liczbą zachorowań.

A kiedy pójdziemy bez ograniczeń do kościoła?

Pewnie ograniczenia zostaną. Jestem np. za propagowaniem komunii św. na rękę, bo jest po prostu bezpieczniejsza. Pod warunkiem oczywiście, że osoba do niej przystępująca zdezynfekuje wcześniej ręce.

Rozmawiamy w dniach, gdy cała Polska, cały świat świętuje setną rocznicę urodzin św. Jana Pawła II. Jakie znaczenie dla Pana miała ta postać?

Miałem zaszczyt spotkać Jana Pawła II osobiście dwukrotnie. Miałem przyjemność być dwukrotnie na mszy w jego prywatnych apartamentach. Robił niesamowite wrażenie. To postać niezwykła i nieprawdopodobna. Pełna życiowej mądrości i szacunku do innych ludzi. Przypomina mi się historia Sahne Hillera. W 1942 r. rodzice dwuletniego chłopca, Helena i Mojżesz Hillerowie, trafili do krakowskiego getta. Chcieli za wszelką cenę ratować swojego synka przed zagładą. Oddali go pod opiekę zaprzyjaźnionej polskiej rodzinie. W liście do nich błagali, by chłopca wychować na Żyda, a w razie ich śmierci oddać go pod opiekę jego żydowskim krewnym w Ameryce. Rodzice chłopca zginęli w Oświęcimiu. Po wojnie opiekująca się nim rodzina zwróciła się z prośbą o chrzest do ks. Karola Wojtyły, ale ten zapytał o pragnienie jego żydowskich rodziców. Gdy poznał szczegóły ostatniej woli Hillerów, odmówił udzielenia żydowskiemu dziecku katolickiego sakramentu. Nakazał też przybranym rodzicom, by oddali chłopca jego amerykańskiej rodzinie. To pokazuje, jakim był człowiekiem. Jak bardzo wrażliwym na innych. Niezwykła też była jego lekcja publicznego przeżywania cierpienia. Także dla lekarzy. Jan Paweł II pokazał, że człowiek chory, cierpiący, niepełnosprawny jest tak samo wartościowy, jak ten zdrowy.

eprasa.pl a4f1a0e949



Między optymizmem a szaleństwem

Nowa Zelandia świetnie poradziła sobie z pandemią koronawirusa, ale może za to zapłacić wysoką cenę, bo jej gospodarka niemal całkowicie stanęła w miejscu. Szwecja – zamiast leczyć – uśmierca chorych na COVID-19 emerytów, a władze Meksyku i Brazylii są oskarżane o bagatelizowanie pandemii i zaniżanie liczby zgonów. Prezydent Madagaskaru rozdaje obywatelom ziołowy lek własnego autorstwa, a Indie, gdzie ponad 1,3 mld ludzi spędziło tygodnie w izolacji, powoli wracają do normalności



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

BRAZYLIA: BOLSONARO LEKCEWAŻY ZARAZĘ

Brazylia niebawem może się stać światowym liderem pod względem liczby zakażeń koronawirusem i ofiar zarazy. Nie robi to wrażenia na prezydencie Jairze Bolsonaro, który odmawia wprowadzenia w kraju restrykcji. 19 maja Brazylia odnotowała trzecią co do wielkości na świecie liczbę infekcji COVID-19, po USA i Rosji (262 tys.), jednak Bolsonaro upiera się, że koronawirus niczym się nie różni od „zwykłej grypy". Jego zdaniem konsekwencje zamrożenia brazylijskiej gospodarki byłyby „o wiele bardziej kosztowne dla kraju niż wszystkie zgony na COVID-19 razem wzięte". „Gospodarka jest klejnotem Brazylii" – zadeklarował prezydent. Krytycy oskarżają Bolsonaro o to, że ignoruje rosnącą liczbę zgonów (już ponad 17,5 tys.), bo większość zmarłych to ubodzy mieszkańcy faweli, gdzie nie dociera pomoc medyczna, środki ochronne ani leki. Ludzie umierają w domach i są chowani w masowych grobach, dlatego liczba zgonów na COVID-19 w Brazylii jest ich zdaniem poważnie niedoszacowana. W czasie trwania pandemii, którą Bolsonaro uważa za spisek koncernów farmaceutycznych i liberalnych elit, z rządu odeszło dwóch ministrów zdrowia (jeden podał się do dymisji, drugiego prezydent usunął ze stanowiska) i rozpętała się wojna między rządem centralnym a lokalnymi władzami. Wszelkie restrykcje obowiązujące w kraju zostały wprowadzone przez gubernatorów poszczególnych stanów. Zwolennicy Bolsonaro zacięcie go bronią, urządzają wiece poparcia na ulicach oraz oprotestowują zamknięcia sklepów, centrów handlowych i restauracji.

MEKSYK ZANIŻA LICZBĘ ZGONÓW?

Kolejnym krajem w Ameryce Łacińskiej ciężko dotkniętym przez pandemię jest Meksyk. Oficjalnie zarażonych COVID-19 jest tam ponad 50 tys. osób, a niemal 6 tys. zmarło. Ale władze przyznały, że nie przeprowadzają na zmarłych testów na obecność wirusa, więc oficjalne statystyki są niewiele warte. Jak twierdzą krytycy, dzieje się tak dlatego, że lewicowy prezydent Andrés Manuel López Obrador chce jak najszybciej odmrozić gospodarkę w 120-milionowym kraju i w konsekwencji „ukrywa zmarłych". Wirusolog dr Alejandro Macías utrzymuje, że „oficjalne dane nie są pełne", podobnie uważają władze stanów Baja California, Tamaulipas i Chihuahua, które twierdzą, że „oficjalne dane są sprzeczne z tym, co widzimy i doświadczamy na miejscu". Władze w Mexico City utworzyły nawet specjalną komisję, która ma sprawdzić, ile osób w mieście rzeczywiście zmarło na COVID-19. Dodatkowym problemem jest brak testów. W Meksyku przeprowadza się zaledwie 1,2 tys. testów na obecność koronawirusa na milion mieszkańców. To 14 razy mniej niż w Peru i Chile, siedem razy mniej niż w Salwadorze i 27 razy mniej niż w USA. Meksykańskie władze odpierają zarzuty, twierdząc, że nie mają pieniędzy na zakup i przeprowadzenie testów. „Będzie więcej testów" – zapewniał w minionym

eprasa.pl a4f1a0e949

tygodniu dr Hugo López-Gatell, podsekretarz stanu w ministerstwie zdrowia. Wielu Meksykanów i tak bada się w prywatnych laboratoriach. Wykryły one jak dotąd ponad 16 tys. przypadków zakażeń, które nie zostały dodane do oficjalnych statystyk, bo „wciąż są sprawdzane przez ministerstwo zdrowia".

INDIE: POWRÓT DO NORMALNOŚCI

W Indiach, kraju, który wprowadził najbardziej surowe restrykcje związane z koronawirusem na świecie, szykuje się powrót do normalności. Poluzowanie restrykcji zostanie wprowadzone stopniowo. Początkowo zostaną otwarte bazary, biura i wznowiony ruch drogowy, a w późniejszym terminie uruchomiony transport lotniczy i kolejowy, szkoły, hotele, restauracje i galerie handlowe. 19 maja liczba zachorowań na COVID-19 w Indiach przekroczyła 100 tys., a liczba zgonów 3 tys. Najbardziej dotknięte pandemią są Bombaj, Nowe Delhi, południowy stan Tamil Nadu oraz zachodni stan Gujarat. „Koronawirus pozostanie, ale my go przeżyjemy" – zadeklarował Arvind Kejriwal, naczelny minister Delhi. Eksperci podkreślają, że Indie lepiej poradziły sobie z pandemią niż inne duże kraje. Wskaźnik umieralności jest tam niższy (3 proc.) niż w USA (6 proc.). Jednocześnie pandemia wywołała w kraju poważny kryzys humanitarny. Miliony migrujących pracowników utknęło w miastach pozbawionych pracy i wyżywienia. Wielu wyruszyło w drogę powrotną do swoich wiosek na piechotę, pokonując nierzadko setki kilometrów. Rząd twierdzi, że został przytłoczony skalą kryzysu i robi wszystko, co w jego mocy, aby pomóc ludziom. Premier Modi ogłosił warty 20 bln rupii (266 mld dol.) pakiet ratunkowy dla gospodarki oraz wydatki w wysokości 35 mld rupii (463 mln dol.) na żywność dla prawie 80 mln migrujących pracowników.

MADAGASKAR: MAGICZNY LEK OD PREZYDENTA

Prezydent Madagaskaru Andry Rajoelina tymczasem „wynalazł" lek na COVID-19, który sprzedaje się w tym kraju jak ciepłe bułeczki. Pytanie, czy mikstura o nazwie COVID Organics (CVO) – forma herbaty ziołowej na bazie bylicy, rośliny o sprawdzonych właściwościach przeciwmalarycznych – rzeczywiście jest w stanie wyleczyć chorych na COVID-19 podzieliło opinię publiczną w tym wyspiarskim kraju, leżącym 400 km od wybrzeży Afryki Wschodniej. Rajoelina twierdzi, że tak, i odpiera krytykę Światowej Organizacji Zdrowia, jego zdaniem „negatywnie nastawionej do tradycyjnej medycyny afrykańskiej". „Gdyby to nie był Madagaskar, ale kraj europejski, który odkrył to lekarstwo, czy byłoby tak wiele wątpliwości? Nie wydaje mi się" – podkreślił. Malgaszom ostrzeżenia WHO nie przeszkadzają i tłumnie zgłaszają się do punktów darmowej dystrybucji CVO. Dostawy eliksiru zostały wysłane już do Gwinei Równikowej, Gwinei Bissau, Nigru i Tanzanii. Na Madagaskarze oficjalna liczba zachorowań jest bardzo niska: nieco ponad 300 osób, i tylko dwa zgony. Na 25 mln mieszkańców.

SZWECJA: OSKARŻENIA O EUTANAZJĘ

Szwecja, która jako jedyny europejski kraj nie zdecydowała się na wprowadzenie restrykcji w związku z pandemią koronawirusa i postawiła na „odporność stadną", odnotowała w kwietniu najwyższy poziom zgonów od 1993 r. (10 458). Jednocześnie szwedzki dziennik „Dagens Nyheter" informował, że seniorom w domach opieki zamiast leków podawana jest morfina, która hamuje oddychanie, a tym samym jeszcze przyspiesza zgon. „To aktywna eutanazja" – wskazuje w rozmowie z gazetą prof. geriatrii Yngve Gustafson. Według niego podstawowe leczenie w przypadku COVID-19 powinno polegać na stosowaniu kroplówek, podawaniu leków przeciwzakrzepowych, tlenu oraz antybiotyków w celu eliminacji wtórnego bakteryjnego zapalenia płuc. Zamiast tego wielu osobom starszym rutynowo podaje się morfinę oraz midazolam, które hamują oddychanie. Jak dodaje naukowiec, odsetek seniorów, którzy leczeni są na oddziałach intensywnej terapii za pomocą respiratorów jest niższy, choć osoby w podeszłym wieku są najbardziej dotknięte koronawirusem. Ponadto grupa ta jest nadreprezentowana w statystykach dotyczących zgonów. „To pokazuje, że zdecydowaliśmy się zrezygnować ze starszych osób, które miałyby szansę na przeżycie" – podkreśla Gustafson. Opinię eksperta ds. geriatrii potwierdza w rozmowie z „Dagens Nyheter" pragnący zachować anonimowość lekarz ze Szpitala Uniwersyteckiego Karolinska w Sztokholmie. Opisuje on, że „paliatywny koktajl" ze środkiem uspokajającym i przeciwbólowym jest często stosowany u pacjentów z COVID-19 w szpitalach oraz domach opieki.

NOWA ZELANDIA – MNIEJ PRACOWAĆ, WIĘCEJ PODRÓŻOWAĆ

Nowa Zelandia tymczasem boryka się z problemem, jak ożywić gospodarkę, a szczególnie sektor turystyczny, który mocno ucierpiał wskutek pandemii. Premier Jacinda Ardern zaproponowała wprowadzenie czterodniowego tygodnia pracy lub „innych elastycznych modeli". Wielu Nowozelandczyków miało ją zapewniać, że gdyby mogli mniej pracować, podróżowaliby więcej po kraju, korzystając z hoteli, plaż i gastronomii. O tym, ile kto pracuje, decydują oczywiście same firmy, ale Ardern zachęciła je do „poważnego przemyślenia tego pomysłu". Granice kraju pozostają w końcu zamknięte, jedyną nadzieją dla branży turystycznej jest więc rodzimy turysta. W Nowej Zelandii zachorowało jak dotąd nieco ponad 1,5 tys. osób, a 21 zmarło. Na 5 mln mieszkańców. Kraj dobrze poradził sobie więc z pandemią, ale – jak przekonują eksperci – ceną za niską liczbę zakażeń jest niemal całkowite zamrożenie gospodarki, której rozruszanie stanowi „gigantyczne wyzwanie" dla rządu. Nowa Zelandia zamknęła swoje centra handlowe, restauracje, szkoły, biura – i zakazała nawet dostaw jedzenia do domu. Skarb państwa szacuje, że stopa bezrobocia wzrośnie do 13 proc., nawet jeśli restrykcje zostaną szybko zniesione, a PKB kraju skurczy się nawet o jedną trzecią.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a4f1a0e949



Fot. NAC

Niech zstąpi Duch Twój!

Jako ludzie wiary oczekujemy na wyniesienie św. Jana Pawła II do godności patrona Europy, pytamy także wielkiego Polaka o przesłanie na ten trudny czas



KS. IRENEUSZ SKUBIŚ

Ruch „Europa Christi” wraz z innymi mieszkańcami Europy trwa w oczekiwaniu na św. Jana Pawła II jako patrona Europy. Ten wielki papież jako misjonarz Europy i świata przemierzył ziemski glob, by wszędzie głosić Chrystusa. Dziś, gdy przerażeni mieszkańcy Ziemi poszukują nadziei i ocalenia, wielu z nas upatruje w tym wielkim ojcu chrześcijaństwa człowieku modlitwy i kontemplacji, najlepszego patrona i wspomożyciela.

Przypominamy jego znamienne ucałowanie ojczystej ziemi i słowa, które wciąż brzmią w naszych uszach: „Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi! Tej Ziemi!”. Dziś pewnie by dopowiedział: „całej Ziemi”. I choć te słowa padły w Warszawie, czyli w Europie, to dotyczyłyby całej ziemi. Bo uczczenie Boga w jednym miejscu dotyczy właściwie całego dzieła stworzenia.

Zwłaszcza więc w tym niespokojnym czasie, pełnym mroków i niepewności, możemy dokonać pewnej retrospekcji i zapytać: św. Janie Pawle, co chciałbyś nam dzisiaj powiedzieć?

Pandemia stała się tytułem do bardzo precyzyjnego uderzenia w Kościół, którego istotą jest wspólnotowość. W dużym stopniu ograniczono możliwość dostępu do Eucharystii i sakramentów. „Kościół to zgromadzenie wiernych” – te słowa wyrażają istotę Kościoła, a teraz to zgromadzenie jakby zostało zagrożone w istnieniu. Wprawdzie pandemia się jeszcze nie skończyła, ale mądrzy ludzie zaczynają otwierać oczy i pytają: co mamy teraz robić?

Jako ludzie wiary oczekujemy na wyniesienie św. Jana Pawła II do godności patrona Europy, pytamy także wielkiego Polaka o przesłanie na ten trudny czas. Ten wielki myśliciel, człowiek, który znał cały Kościół z osobistego doświadczenia, zapewne udzieliłby nam konkretnej odpowiedzi. Wydaje się, że Kościołowi potrzeba nowego Zesłania Ducha Świętego, Ducha miłości i prawdy. Patrzymy dziś na Kościół, także u źródeł pandemii, w komunistycznych Chinach.

Komunizm chiński zbudowany na filozofii Mao Zedonga prześladuje biskupów, kapłanów i katolików chińskich. Stosuje się inwigilację i prześladowanie chińskiego Kościoła. Pamiętamy, że papież Benedykt XVI w 2007 r. ustanowił dzień 24 maja, gdy przypada święto Wspomożycielki Wiernych, światowym Dniem Modlitwy za Kościół w Chinach. Niestety kłamstwa i manipulacje chińskich polityków wspólnie z ONZ-owskimi urzędnikami zamieszanymi – być może – w korupcję doprowadziły do rozprzestrzenienia się koronawirusa na

eprasa.pl a4f1a0e949

cały świat. Brak bowiem porządku moralnego w najważniejszych instytucjach prowadzi do tragedii na całym globie.

Dlatego uważam, że św. Jan Paweł II powinien zabłysnąć na firmamencie Kościoła, bo z pewnością ma nam wiele do powiedzenia w tym trudnym czasie tak zagrożonej wolności człowieka wobec nowej idei poprawności politycznej płynącej z epidemii. Tak łatwo znaleźć uzasadnienie do zniewolenia człowieka. Jan Paweł II to człowiek wolności, od którego można się wiele nauczyć. Sam miał odwagę, umiał być wolny i potrafił o tym mówić nawet w sytuacji, gdy było to bardzo niewygodne. Studium jego myśli na ten temat to wielka potrzeba chwili.

18 maja obchodziliśmy 100. rocznicę urodzin św. Jana Pawła II. To wielka okazja, żeby za jego wstawiennictwem modlić się do Boga, by okazał światu swoje miłosierdzie, by ta iskra Miłosierdzia, o której mówił w Łagiewnikach w roku 2002, zabłysła nad Polską i Europą, żeby zabłysła nad całym światem.

I w tym momencie powinniśmy zobaczyć to, co się dzieje w naszej ojczyźnie, którą tak bardzo umiłował nasz święty rodak Jan Paweł II. Jesteśmy dziś w kraju świadkami wielkiej wyborczej walki. To walka o wartości. Zostali przedstawieni nam ludzie, którzy reprezentują różne światy. Jako katolicy, wyznawcy wiary w Zmartwychwstałego Chrystusa, nazywający się chrześcijanami, powinniśmy pod tym kątem dokonywać oceny postaw kandydatów na prezydenta RP. Powiedzmy ogólnie: są wśród proponowanych osób także tacy, których poglądów katolik absolutnie nie może zaakceptować, bo są iście diabelskie, przepojone nienawiścią do Boga, do Dekalogu, do Ewangelii i Kościoła W ich ateistycznych programach często zawarte są plany demoralizowania dzieci i młodzieży, zabijania przez aborcję i eutanazję, prowadzona jest systematyczna wojna z normalną rodziną, a także z wielką tradycją chrześcijańskiej kultury polskiej i patriotyzmem. Dziwimy się bardzo, że w ogóle w naszej Polsce tacy ludzie uzyskali jakiekolwiek poparcie. Z pewnością stoją za nimi jakieś siły lewackie, w tym także zagraniczne, które chcą zniszczyć religię katolicką. Udało im się to zrobić w wielu krajach w Europie, a Polska jest tu przeszkodą. Głosowanie na takich kandydatów jest obciążeniem sumienia katolika. A swoją drogą, szkoda, że wielu ludzi w Polsce na sposób Targowicy zdradza naszą piękną tradycję, ulega hasłom rzekomej wolności i demokracji. Wiadomo, że za tym idzie wielka obłuda, manipulacja i przeznaczane są na to wielkie pieniądze, które nie wiadomo skąd pochodzą.

Warto także zauważyć zaproponowaną przez niektórych kandydatów obłudną wersję rzeczywistości. To ludzie, którzy pisali nawet piękne książki i artykuły: na tej popularności zdobyli zaufanie czytelników. Teraz jednak dyszą chęcią zdobycia władzy i powoli wychodzi na jaw ich prawdziwe oblicze. To nie jest już ani wiara chrześcijańska, ani prawdziwy Kościół, ani prawdziwa Polska. Trzeba się strzec ludzi, którzy są zakładnikami czegoś dziwnego, jakiegoś zakłamania, a może i czyichś pieniędzy.

Wreszcie – mamy też do czynienia z bałaganem przedwyborczym. Wskazany w ostatnim rozdaniu człowiek Platformy dał się już poznać jako ktoś sprzyjający LGBT, czyli tym wartościom, które nie przystają do tego, co Polskę stanowi. Debata prezydencka pokazała nam taką płytkość myślenia niektórych kandydatów, a przede wszystkim ich zadziorność i nienawiść wobec obecnej ekipy rządzącej.

Uważam także za swój obowiązek zwrócić uwagę na sprawcę swoistego cynizmu politycznego poprzez działania Senatu. Wykazuje się on wielką arogancją wobec Polaków. Spowodował, że przez prawie 30 dni na siłę przetrzymywał ustawę w sprawie wyborów prezydenckich, a teraz opozycja oskarża rządzących za to, że wybory nie odbyły się we właściwym czasie. Pytam, gdzie ludzie opozycji mają sumienie, żeby tak perfidnie kłamać. Trzeba nie mieć ani honoru, ani sumienia, żeby uczestniczyć w takiej hucpie.

Może to jednak otworzy oczy Polaków, żeby dokonali właściwych wyborów. To wielkie ostrzeżenie dla obywateli naszego kraju. Polska to wyjątkowa jakość, wyjątkowa historia i wyjątkowa kultura. Przez wieki kształtował ją Kościół. Nie wolno nam teraz tego wszystkiego zaprzepaścić.

Kogo więc szukamy?

Szukamy człowieka mądrego i wewnętrznie dobrego. Dla wiernych chrześcijan w Polsce powinien to być dobry katolik, żyjący w udanym związku małżeńskim. Nie może to być człowiek rozwiedziony, bo ma za sobą złamane słowo. Szukamy człowieka mówiącego prawdę, która już się sprawdziła. Człowieka, który cieszy się uznaniem i szacunkiem. Który umie się zachować w przestrzeni publicznej, który nie daje się ośmieszyć. Ważne jest dla nas, żeby ten człowiek szanował Dekalog, żeby bronił życia od poczęcia do naturalnej śmierci. To są wartości podstawowe i kandydat powinien się do tego publicznie ustosunkować – tu nie może być postawy dwuznacznej. I na szczęście wydaje się, że wśród kandydatów na prezydenta możemy takiego sprawdzonego człowieka znaleźć. Oczywiście, wszyscy wiemy, że tym człowiekiem jest urzędujący prezydent, który ma najlepsze sondaże.

Modlę się do św. Jana Pawła II, by uprosił dla Polski oraz dla Europy łaskę wielkich mądrych przywódców, bo na takich wodzów czekają Europa i świat.

Warto wesprzeć!

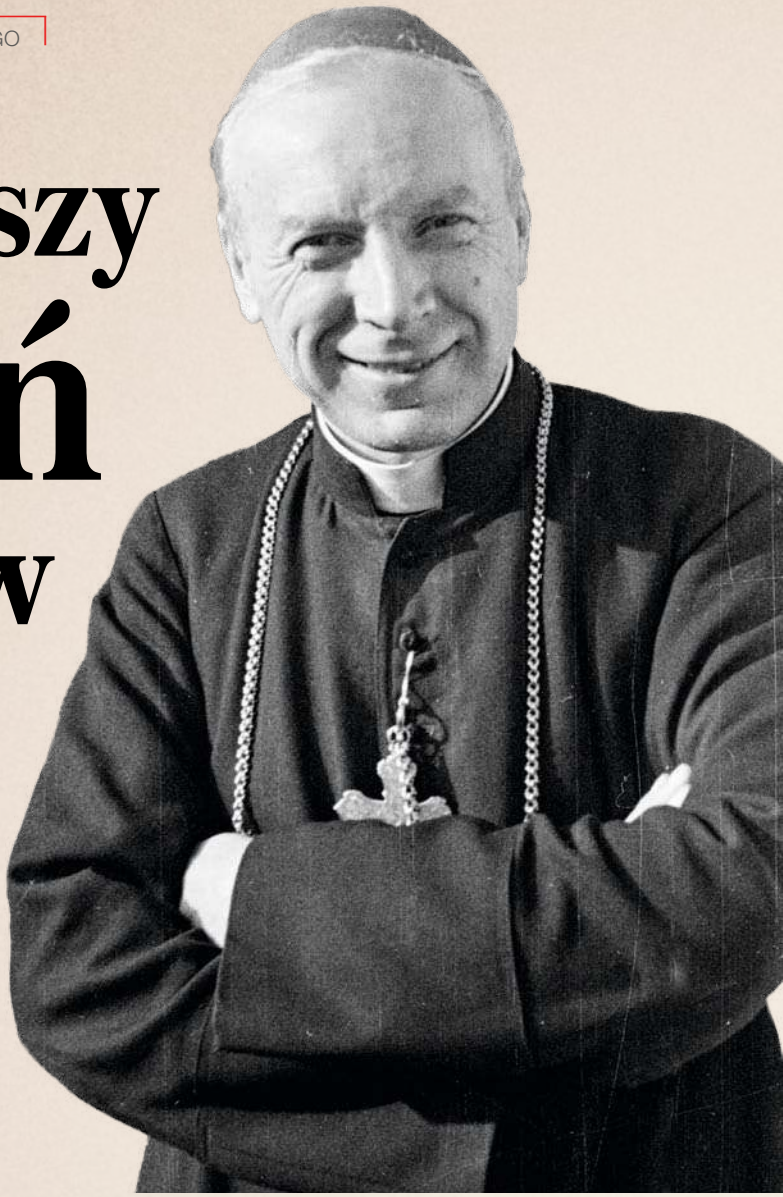
Co warto wesprzeć swoim 1 proc. z naszych podatków? Na pewno dobrą propozycją jest **STOWARZYSZENIE HOSPICJUM DOMOWE**, które on ponad 30 lat otacza opieką nieuleczalnie chorych mieszkańców Warszawy i okolic. Działalność, którą prowadzi w ramach Hospicjum Domowego im. Cicely Saunders, jest nieodpłatna. Zapewnia osobom u kresu życia opiekę medyczną, pomoc psychologiczną i socjalną, aparaturę medyczną i sprzęt pomocniczy oraz nowoczesne środki opatrunkowe i leki. W bardzo trudnych warunkach, opierając się na wolontariacie, pomaga ciężko chorym osobom, robiąc wiele, by godnie, bez cierpień, pod własnym dachem, wśród najbliższych, mogli przeżyć czas, którym im pozostał.

STOWARZYSZENIE HOSPICJUM DOMOWE, KRS: 0000026420, www.hospicjum.warszawa.pl

Polecamy! To naprawdę dobry wybór.

eprasa.pl a4f1a0e949

Najważniejszy więzień komunistów



Do Komańczy przyjeżdża się nie tylko po to, by zwiedzić to piękne miejsce, lecz przede wszystkim dlatego, żeby duchowo spotkać się z Prymasem Tysiąclecia



JAROMIR KWIATKOWSKI

7 czerwca miała się odbyć w Warszawie beatyfikacja kard. Stefana Wyszyńskiego. Sytuacja epidemiczna w Polsce spowodowała, że została ona bezterminowo zawieszona. Ale ważną datą związaną z Prymasem Tysiąclecia jest także 28 maja – w tym dniu będziemy obchodzić 39. rocznicę jego śmierci. Z tej okazji odwiedziliśmy klasztor sióstr nazaretanek w Komańczy na Podkarpaciu – ostatnie miejsce internowania hierarchy.

Prymas został aresztowany we wrześniu 1953 r., kilka miesięcy po tym, jak wysłał do ówczesnego prezesa Rady Ministrów Bolesława Bieruta memoriał „Non possumus", będący odpowiedzią episkopatu na ataki wymierzone w Kościół oraz na próby jego podporządkowania komunistycznym władzom. Do 1956 r. kard. Wyszyński był internowany w Rywałdzie, Stoczku Warmińskim, Prudniku i właśnie w Komańczy. To było apogeum prześladowań Kościoła w okresie stalinowskim.

NIEZWYKŁY „PACJENT"

Kardynała przywieziono do Komańczy w sobotę, 29 października 1955 r., po południu. – Oddaję wam nowego pacjenta. Opiekujcie się nim – powiedział jeden z przybyłych z prymasem przedstawicieli KC PZPR. Nikogo nie interesowało, czy siostry mają go czym żywić, leczyć, czy mają czym ogrzać dom.

Partyjni funkcjonariusze poinformowali siostry o niezwykłym przybyszu zaledwie kilka godzin wcześniej. Nakazali też, by klasztor opuścili wszyscy goście. Siostry wynajmowały bowiem drugie piętro m.in. pracownikom wyrębu lasów i budowy kolei – było to źródło dochodu dla niebogatego klasztoru. Wśród gości byli także ludzie, którzy przedstawili się jako filmowcy kręcący w Bieszczadach film o gen. Karolu Świerczewskim. Siostra Beata Dzido, obecna przełożona sióstr nazaretanek w Komańczy, podkreśla jednak, że prawdziwym zadaniem „filmowców" było zainstalowanie podsłuchu.

eprasa.pl a4f1a0e949

Kardynał zamieszkał w przestronnym, narożnym pokoju na pierwszym piętrze, po lewej stronie (stojąc frontem do klasztoru). Nie był zupełnie odcięty od świata, ale kontakt z nim był utrudniony, Komańcza została bowiem włączona w pas graniczny. Przed kolejowym wiaduktem, poniżej klasztoru, ustawiono jednostkę WOP oraz szlaban z napisem „Kontrola graniczna". Odtąd bez specjalnych zezwoleń nie można było się tu ani zatrzymać, ani dojechać do klasztoru. Pozwolono jednak na odwiedziny biskupom i rodzinie. Już 2 listopada 1955 r. przyjechali do Komańczy biskupi Michał Klepacz i Zygmunt Choromański, którzy przywieźli ojca prymasa – sędziwego Stanisława Wyszyńskiego. Ale od Bożego Narodzenia 1955 r. do marca 1956 r. nie wydano ani jednej przepustki. Więcej gości zaczęło się pojawiać od wiosny – oprócz biskupów także m.in. współpracownice z Instytutu Świeckiego Pomocnic Maryi Jasnogórskiej Matki Kościoła.

MODLITWA I PRACA

Prymas bardzo dużo modlił się i pracował. Odpowiadał na korespondencję, pisał czteroczęściowe rozważania liturgiczne na kanwie roku kościelnego, opracowywał „List do neoprezbiterów", prowadził zapiski więzienne (ukazały się później w formie książkowej). W Komańczy powstał też tekst „Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego" i projekt „Wielkiej Nowenny". Prymas chciał, by wierzący przygotowali się w ten sposób do Tysiąclecia Chrztu Polski. W sumie w Komańczy napisał w ciągu roku ok. 3 tys. stron maszynopisu.

Sporo czytał, także prasę, którą przywozili odwiedzający. – Oficjalny dostęp do gazet uzyskał dopiero w Komańczy – podkreśla siostra Beata Dzido. I dodaje: – Wertował nie tylko gazety bieżące, ale również numery archiwalne, żeby zobaczyć, co działo się w polskim Kościele, kiedy był internowany w Stoczku, Rywałdzie i Prudniku. Umiał też czytać pomiędzy wierszami – dobrze wiedział, co propaganda komunistyczna chciała przemycić przez te artykuły.

Dał się poznać jako człowiek wrażliwy na piękno przyrody. Zwłaszcza podczas spacerów. A spacerował dużo. Ulubionym celem tych wędrówek była figura Matki Bożej Leśnej poniżej klasztoru.

„Zdarzało się, że Ksiądz Prymas przystawał nagle w lesie i chłonął piękno promienia słonecznego, przedzierającego się poprzez konary drzew, który jak snop iskier rozsypywał się na gałęziach... Nieraz długo patrzył przez »okno lasu« na widok roztaczający się szeroko. To znowu przystawał niespodziewanie i szeptał: – Jak cichuchno!... Umiał też przyglądać się kroplom rosy zawieszonym na źdźbłach trawy, których my prawie nie dostrzegałyśmy. Przypatrywał się niciom pajęczym, rozsnutym między gałązkami, i przędzom babiego lata osnuwającym rżyska" – wspominała nieżyjąca już siostra Stanisława Niemeczek w niewielkiej książeczce „Uwięziony pasterz w Komańczy". (Pełniła wtedy obowiązki asystentki prymasa, m.in. przepisywała na maszynie jego teksty).

– Był człowiekiem, którego wszystko prowadziło do Pana Boga – komentuje siostra Beata Dzido ten fragment wspomnień siostry Stanisławy.

JAK OJCIEC

Kardynała Wyszyńskiego pamiętamy przede wszystkim jako wielkiego Prymasa Tysiąclecia, niezłomnego księcia Kościoła, męża stanu. W Komańczy dał się nazaretankom poznać z zupełnie innej strony – jako ojciec, bardzo przyjacielski i bliski.

Siostra Stanisława Niemeczek wspomina w swojej książeczce, że np. zachodził do ogrodu i oglądał owoce pracy sióstr, w czasie sianokosów i żniw przychodził do pracujących z błogosławieństwem, a na zakończenie robót w polu stawał przy ognisku i jadł z siostrami pieczone ziemniaki. Potrafił przynieść na kapuścianym liściu kilka upieczonych ziemniaków dla siostry, która usługiwała mu w refektarzu, a nie mogła być przy ognisku. Siostrze infirmerce (pielęgnującej chorych) podczas spaceru zbierał dziurawiec i inne zioła. Siostrom z pralni przesyłał owoce – ku pokrzepieniu, a chorym słodycze i życzenia zdrowia. Siostrze, która sporządzała kopie jego listów, przygotowywał papier i stawiał na stoliku kwiaty – by było



Siostry nazaretanki przybyły do Komańczy w 1928 r. Był to pomysł ówczesnego ordynariusza przemyskiego bp. Anatola Nowaka. Na początku pięć sióstr zamieszkało w wynajętym domu. Jednak już rok później został wmurowany kamień węgielny pod budowę klasztoru. Autorem projektu był inż. Józef Nadziakiewicz z Rymanowa. Klasztor został poświęcony w 1931 r. i wtedy siostry wprowadziły się tu na stałe. Charakterystyczny budynek jest utrzymany w stylu szwajcarskiej architektury drewnianej.

jej miło przy przepisywaniu. Kwiaty doniczkowe, które otrzymał, wynosił na deszcz i pielęgnował. Czasem przywoływał którąś z sióstr, by jej pokazać piękny zachód słońca.

Kiedyś, jak wspomina siostra Stanisława Niemeczek, jedna z nazaretanek zastała prymasa zamyślonego przy oknie. Zapytała, dlaczego jest taki smutny. „Siostro – odpowiedział – tyle pracy w Kościele. Powinienem być na ambonie, w konfesjonale, a ja tutaj?!".

TRZY LATA CZEKAŁEM

26 października 1956 r., podczas krótkotrwałej politycznej odwilży, do Komańczy przyjechali wysocy funkcjonariusze partyjni – Zenon Kliszko i Władysław Bieńkowski. „Trzy lata na nich czekałem, niech teraz poczekają na mnie" – stwierdził prymas i poszedł na chór w kaplicy, by się pomodlić.

Rozmowa z przedstawicielami władz trwała dwie godziny. Po niej, jak zapisała siostra Stanisława Niemeczek, kardynał poinformował siostry, że „przyjechali prosić, bym zechciał wrócić do Warszawy". Na pytanie, czy pojedzie, odpowiedział, że jego obowiązkiem jest wracać.

Prymas wrócił do Warszawy dwa dni później. Później odwiedził Komańczę jeszcze trzykrotnie: w 1958, 1972 i 1976 r.

Fot. NAC

eprasa.pl a4f1a0e949







RELIKWIE PO PRYMASIE

Do klasztoru prowadzi szpaler dużych kamieni. Na każdym z nich umieszczona została tabliczka z cytatem z „Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego” – to pomysł nieżyjącej już siostry Bogumiły Zamory. – Idzie się tą drogą, by nie zapomnieć o tym, co Prymas chciał zostawić Polakom – podkreśla siostra Beata Dzido.

Przed frontonem budynku klasztornego odwiedzającego wita dostojna, wykuta w kamieniu postać prymasa, dłuta Andrzeja Kossa, profesora z warszawskiej ASP. Można się pomodlić w klasztornej kaplicy, która pamięta kard. Wyszyńskiego (przypomina o tym napis w ołtarzu).

Obowiązkowym miejscem odwiedzin jest także niewielka izba pamięci na parterze, gdzie siostry zgromadziły pamiątki po prymasie, m.in. biurko, lampę naftową, szafkę nocną, szaty liturgiczne (ornat, sutannę, biret i piuskę kardynalską). Jest również kostur, nieodłączny towarzysz wędrówek prymasa, i wiklinowy fotel, na którym siadał na balkonie. Na biurku stoją kałamarz, pióro, bibularz oraz maszyna do pisania, na której siostra Stanisława Niemeczek przepisywała jego rękopisy.

– To są już relikwie – uśmiecha się siostra przełożona. I dodaje: – Jednak największą pamiątką związaną z tym miejscem, największym owocem internowania, jest tekst „Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego” i projekt „Wielkiej Nowenny”.

TO NIE MUZEUM

Siostry podkreślają, że nie jest to muzeum – chcą raczej stworzyć taką atmosferę, by odwiedzający mogli spotkać duchowo prymasa.

– Każdą grupę próbowaliśmy tak przygotować, żeby ci ludzie nie wchodzili, aby zrobić kilka zdjęć i wyjść, tylko żeby prymas choć na moment zagościł w ich życiu – podkreśla siostra Beata Dzido.

Rocznie klasztor odwiedzało przed pandemią ok. 50 tys. pielgrzymów (indywidualnie i w grupach). – Bywało, że do 2 tys. w tygodniu – zaznacza siostra przełożona. Starsi przyjeżdżali tu, bardzo dobrze wiedząc, czego szukają – mieli świadomość, kim był prymas, pamiętali go. Młodym trzeba było obszerniej opowiedzieć o kardynale – widać było, że dla nich nie ma on takiego znaczenia, także sentymentalnego, jak dla starszego pokolenia.

Epidemia czasowo wstrzymała te odwiedziny. – Bardzo brakuje mi ludzi – przyznaje siostra Beata. Spodziewa się, że po „odmrożeniu” siostry znów zaczną przyjmować pielgrzymów, choć pewnie będzie mniej grup, a więcej zwiedzających indywidualnie. – Nie wpuścimy 50-osobowej grupy naraz, lecz po kilka osób. Zwiedzający będą musieli być w maseczkach. Będzie inaczej, ale będziemy się dostosowywać – podkreśla nazaretanka.

Osoby z zewnątrz przed wybuchem pandemii mogły uczestniczyć we mszach św. (w niedzielę o godz. 8 i 17.30). Obecnie jest to niemożliwe, gdyż kaplica jest mała, a sióstr 16. Dlatego w niedziele odprawiana jest tylko msza św. o 8. Siostra Beata zastanawia się, jak zorganizować powrót pielgrzymów na msze po zwiększeniu limitu osób w kościołach, by nie narazić starszych sióstr na zakażenie. Być może będą one uczestniczyć w mszy św. o godz. 8, a osoby z zewnątrz – o 17.30.

WYPOCZYNEK W KLASZTORZE

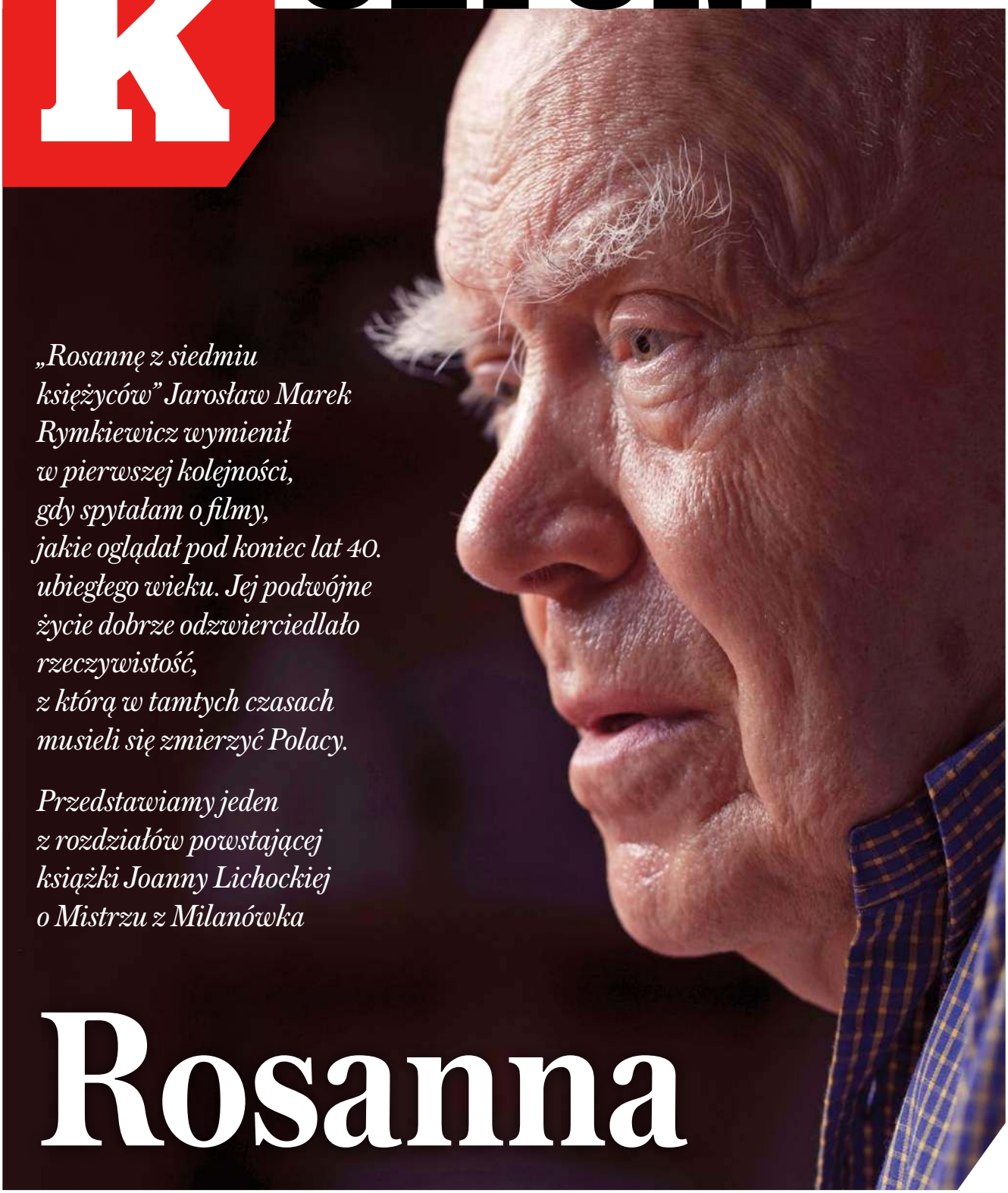
Klasztor był od początku budowany z zamiarem przyjmowania gości. Podejmował pielgrzymów indywidualnych i rodziny oraz niewielkie grupy rekolekcyjne. Kto tu wcześniej był, ten chętnie wracał. Klasztor miał wielu stałych gości z różnych stron Polski, którzy przyjeżdżali co roku. Magnesem były cisza, spokój, piękne widoki. Ale najważniejsze było to, że ta okolica jest nasycona obecnością kard. Stefana Wyszyńskiego.

Jak będzie po „odmrożeniu”? Siostra przełożona podkreśla, że klasztor znów będzie przyjmował gości, ale – ze względu na konieczność zachowania dystansu społecznego – znacznie mniej niż kiedyś.

Klasztor Sióstr Nazaretanek,
38-543 Komańcza, tel. 013 467 70 56,
e-mail: nazaretankikomancza@op.pl

Fot. Renata i Jarosław Kwiatkowscy

eprasa.pl a4f1a0e949



„Rosannę z siedmiu księżyców" Jarosław Marek Rymkiewicz wymienił w pierwszej kolejności, gdy spytałam o filmy, jakie oglądał pod koniec lat 40. ubiegłego wieku. Jej podwójne życie dobrze odzwierciedlało rzeczywistość, z którą w tamtych czasach musieli się zmierzyć Polacy.

Przedstawiamy jeden z rozdziałów powstającej książki Joanny Lichockiej o Mistrzu z Milanówka

Rosanna

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a4f1a0e949



JOANNA LICHOCKA

Kto chciałby obejrzeć film „Rosanna z siedmiu księżyców", musi się tylko trochę natrudzić. W internecie w pierwszej chwili poszukiwań nagrania wyszukiwarka wskaże tango skomponowane do tego filmu. Pokazuje się wersja „Rosanny" w wykonaniu Adama Wysockiego z Orkiestrą Taneczną Piotra Szymanowskiego dla wydawnictwa Muza w 1949 r.

„Rosanno, czy już nie kochasz mnie,
Rosanno, jak mam rozumieć cię..."

– brzmi melodyjny głos zapomnianego dziś Wysockiego, członka przedwojennego Chóru Dana, w czasie wojny więźnia Pawiaka, Oświęcimia i Sachsenhausen, a w chwili, gdy śpiewał to tango, aktora Ludowego Teatru Muzycznego. Jest też wersja (nawet lepsza), którą znajdziemy. To nagranie tanga przez Władysława Arskiego rok wcześniej, w 1948 r. – w sieci jego śpiew ilustrowany jest zdjęciem czarnej winylowej płyty wytłoczonej przez wytwórnię Mewa, która, jak wynika z napisu na płycie, mieściła się w Poznaniu. Fabryka Płyt Gramofonowych „Mewa" należała do Mieczysława Wejmana, który jeszcze podczas okupacji w Warszawie wydawał w podziemiu płyty z polskimi piosenkami, kolędami, pieśniami patriotycznymi. W 1945 r. w Poznaniu założył pierwszą prywatną wytwórnię, która została szybko, w 1949 r. – gdy domykał się stalinizm – przez komunistów zlikwidowana. Sprzęt i matryce nagrań Wejman musiał przekazać do państwowej Muzy. Tango „Rosanna" musiało być modne, skoro zlecono jego ponowne nagranie w Muzie Wysockiemu. A Władysław Arski naprawdę nazywał się Władysław Chomiak i był tenorem poznańskiej opery. Śpiewał pięknie.

Odeszłaś tajemnie, bez słowa,
na tak bardzo długi czas,
Twe usta całował pewnie ktoś inny
już i nie raz.

Gdy się poszuka w internecie trochę dłużej, można znaleźć i cały film – w wersji oryginalnej, czarno-białej, po angielsku. Fabuła jest czytelna, nawet słaba znajomość języka nie przeszkodzi w jego rozumieniu. W filmie zabójczo przystojny („zabójczo przystojny" tak się mawiało o amantach filmów tej klasy) Stewart Granger śpiewa po angielsku to tango, które śpiewali Wolski i Arski, a które brzmiało w Polsce w 1948, 1949 i 1950 r.:

Rosanno, wszystko zapomnę ci,
tylko daj słowo mi, że mnie nie porzucisz
i usta swe na moich ustach złóż.
Rosanno, zostań już.

Dziś trudno zmierzyć skalę fascynacji Polaków tym filmem, ale niewątpliwie był to kinowy przebój. Wspomnienia o nim odnaleźć można długo po tym, jak film zniknął z ekranów. W 1963 r. w „Przekroju" Wanda Falkowska tytułuje swój artykuł z Paryża (o psychologii reklamy i dbałości o atrakcyjność opakowań we francuskim handlu) „Rosanna siedmiu księżyców w SAMie". Dziś ten tytuł dla czytelnika nie jest jasny, a autorka w tekście w ogóle go nie wyjaśnia. Najwyraźniej jeszcze wtedy, w 1963 r., rozumiał się wciąż sam przez się. W gomułkowskiej Polsce opowieść o reklamowania produktów, o których nikt nawet nie marzył, była opowieścią z innego świata, z jakiegoś równoległego do naszego losu toczącego się życia – takiego, jakie wiedli wówczas mieszkańcy Francji.

Wspomnienia o „Rosannie" pojawiają się też znacznie później, całkiem nam współcześnie. Na przykład Wojciech Solarz, reżyser, rok starszy od Mistrza z Milanówka, który tak jak on mieszkał w Łodzi zaraz po wojnie i tak jak on zafascynowany był kinem, w wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego" w maju 2013 r. opowiadał: „Było wtedy w Łodzi około dwudziestu kin. […] Wszystkie dawały dziennie po 4–5 seansów. Ja obejrzałem w nich prawie wszystkie przedwojenne komedie. Nie wychodziło się z kina. Wyświetlano też stare, amerykańskie filmy w rodzaju takiej szmiry jak »Rosanna z siedmiu księżyców«, czyli opowieść o hrabinie mającej podwójną jaźń. W dzień była hrabiną, a w nocy prostytutką". Powiedzmy od razu, że jest w tym wspomnieniu sporo nieścisłości. Film nie był amerykański tylko brytyjski, a światową premierę miał w styczniu 1945 r., zatem nie był przedwojenny. Ale ważniejsze jest tu słowo „szmira". Zbyt okrutne dla produkcji reżysera Arthura Crabtree, ale jest echem tego, co mówiło się o tym filmie oficjalnie. Ludzie tłumnie walili na film, koniki zarabiały krocie na „wtórnym" rynku biletów, ale prasa była dla „Rosanny" bezlitosna. W „Życiu Warszawy" 20 sierpnia 1948 r. autor podpisujący się inicjałami „k.m." grzmiał:

„Filmowa produkcja angielska,[…] zawiodła nas na całej linii w »wielkim« dramacie miłosnym »Rosanna siedmiu księżyców«, wyświetlanym na ekranie kina Atlantic. […] Z tematu, który w założeniu swym miał niejakie pretensje naukowe, a stać się miał ilustracją życiową pewnego chorobowego objawu psychiki ludzkiej, scenarzysta i reżyser zrobili ordynarną sensację, uliczny dramat serc. »Rosanna« […] miała pouczyć szerokie masy widzów […], jak powstaje i jak się przejawia […] zjawisko schizofrenii, czyli rozdwojenia jaźni człowieka.

Człowiek dotknięty tą chorobą prowadzi dwa zgoła odmienne tryby życia. W każdym jest innym człowiekiem. W jednym może być wzorowym obywatelem pełnym wszelkich cnót. W drugim może prowadzić życie wykolejeńca, wyrzutka społecznego.

Natomiast w ujęciu autorskim i reżyserskim tego filmu angielskiego historia Magdaleny-Rosanny wypadła wcale... propagandowo, jako szczególna »pełnia« życia: piękna kobieta prowadzi dwa życia, każde odmienne i w swoim rodzaju bogate, w każdym jest kochana, kochająca i na swój sposób szczęśliwa... W tym też kierunku idą zasłyszane przez nas uwagi widzów w Atlanticu".

Ha, tu cię mamy, drogi autorze „Życia Warszawy" – przeszkadza ci „propaganda" podwójnego życia! Ta recenzja pozwala postawić tezę – czemu nasi rodacy, wtedy w 1948 i 1949 r., czemu zupełnie na punkcie tego filmu – oszaleli. „Rosannę" Jarosław Marek Rymkiewicz wymienił w pierwszej

eprasa.pl a4f1a0e949

kolejności, gdy spytałam o filmy, jakie wtedy oglądał: – Byłem na nim w kinie Polonia, naprzeciwko Grand Hotelu, największym kinie w Łodzi. Stałem po bilety w długiej kolejce na korytarzu, pamiętam sekwencje z tego filmu, robił ogromne wrażenie.

To podwójne życie, rozdwojenie osobowości, dwa równolegle istniejące światy – wobec tego, co działo się w Polsce, było propozycją sposobu przetrwania.

Podwójność funkcjonowania w komunistycznej Polsce stała się stanem naturalnym, oczywistym. Dwunasto-, trzynasto- i więcej letni Jarosław Marek Rymkiewicz przyjmował ją zapewne tak, jak i świat wokół niego. Jego dom także.

„Nie wiedziałem, że istnieje coś takiego, jak łagry na północy, nie wiedziałem, że siedemnastego września Rosjanie wkroczyli do Polski, w ogóle nie wiedziałem, że istnieje taka data. [...] Wiedziałem, że był Katyń, ale to było zupełnie przypadkowe. Znalazłem gazetę, chyba okupacyjną gazetę warszawską, nie wiem, skąd w domu wziął się ten numer, w której akurat mówiło się o tej komisji utworzonej przez Niemców i wysłanej do Katynia. Wiedziałem, że był taki fakt, natomiast kto to zrobił? To mnie wtedy jakby nie dotyczyło" – mówi w marcu 1985 r. w rozmowie z Jackiem Trznadlem opublikowanej w „Hańbie domowej".

Gazeta z artykułem – był to zapewne numer z kwietnia 1943 r. „Nowego Kuriera Warszawskiego", gadzinówki, która pierwsza informowała o odkrytym mordzie w Katyniu – nie znalazła się w domu przypadkowo i także nieprzypadkowo przechowywana była przez rodziców. Trwała – ta informacja o naszych zamordowanych oficerach – w równoległym, nieoficjalnym, domowym porządku życia. Niemal każdy z nas, wzrastających w PRL, jakoś tak właśnie, domowo, prywatnie, o Katyniu się dowiadywał. Musiał to być niezły wstrząs dla młodziutkiego chłopaka, „przykładnego zetempowca" – taki artykuł o wymordowaniu polskich oficerów w lesie pod Smoleńskiem. „To mnie wtedy jakby nie dotyczyło" – odtwarza ówczesny stan umysłu. Czyż to nie całkiem niezły przykład na tę podwójność jaźni w totalitarnym systemie, w jakim musiał dorastać?

* * *

Wróćmy jednak do kina. W tamtej rozmowie z Jackiem Trznadlem Jarosław Marek Rymkiewicz, wspominając swój czas dorastania, mówi tak: „Kiedy zacząłem chodzić do kina? Na pewno gdzieś w 1945 czy w 1946 roku, jak zamieszkaliśmy w Łodzi, czyli jak miałem dziesięć czy jedenaście lat. Jeszcze grano polskie filmy przedwojenne. I jakieś amerykańskie przedwojenne komedie, które widać gdzieś tam ocalały, w jakichś składach, bardzo – pamiętam – śmieszne".



Kadr z filmu „Rosanna z siedmiu księżyców"

Fot. East News

W Łodzi już dziesięć dni po wyparciu Niemców uruchomiono pierwsze cztery kina. W lutym 1945 r. działało ich dziewięć, do grudnia było 15. Jak podają Adam Sitarek i Michał Trębacz w publikacji Instytutu Pamięci Narodowej „Rok 1945 w Łodzi", bilety do kina były stosunkowo drogie – kosztowały od 20 do 50 zł. „Dominowały filmy dokumentalne o tematyce wojennej, choć nie brakowało fabularnego kina amerykańskiego, jak np. »Niesforna dziewczyna« czy »Miodowy miesiąc«" – piszą historycy.

13 listopada 1945 r. wydano dekret podpisany przez Bolesława Bieruta, który powoływał przedsiębiorstwo Film Polski podlegające Ministerstwu Propagandy i Informacji. Na czele Filmu postawiono przybyłego z Armią Czerwoną oficera politycznego podpułkownika Aleksandra Forda. Dekret dawał wyłączność władzom na produkcję, rozpowszechnianie filmów oraz prowadzenie kin, a także wydawanie koncesji na ich prowadzenie. W ciągu miesiąca od wejścia zarządzenia w życie każdy, kto posiadał taśmy filmowe, projektory, kino, a także sprzęt do produkcji filmów, musiał je zgłosić,

eprasa.pl a4f1a0e949

szczegółowo opisać i... nie miał prawa odmówić przejęcia ich przez państwo. „Osoby […] obowiązane są na żądanie przedsiębiorstwa zgłoszony majątek sprzedać albo też wynająć" – głosił artykuł 21. dekretu. Za brak zgłoszenia groziła kara kilku miesięcy więzienia i grzywna. Rok więzienia groził za prowadzenie kina i wyświetlanie filmów.

W efekcie z repertuaru znikały polskie filmy przedwojenne i produkcje amerykańskie. W marcu 1950 r. ostały się jeszcze: „Skarb Tarzana", produkcji USA dla młodzieży (grano go w Łodzi w kinie Adria), i amerykańska ekranizacja „Upiora w operze" (we Włókniarzu). Większość kin dawała filmy ze Związku Radzieckiego: „Nowy dom", „O 6 wieczorem po wojnie", „Knock-out", „Torpedowiec nieugięty", „Statek pułapka", „Ziemia woła", „Córka marynarza".

Z dużą dozą prawdopodobieństwa (i niemałą grozą) możemy założyć, że przyszły poeta widział wszystkie lub prawie wszystkie z tych filmów.

„[...] chodziłem do kina w pewnym okresie z niebywałą pasją, walczyłem o to, ponieważ rodzice uważali, że to kino mnie ogłupia, i usiłowali na to wpływać. Pamiętam moje walki o to, żeby chodzić do kina trzy, cztery, pięć razy w tygodniu" – mówił Jarosław Marek Rymkiewicz w „Hańbie domowej".

Co to oznacza? Rodzice poety, mimo własnego zaangażowania w nowy ustrój, wejścia w tryby Czytelnika, Związku Literatów Polskich, wreszcie PZPR, wiedzieli, czym ta inżynieria kinowa, ta rusyfikacja jest. I starali się syna – w tej równoległej, nieoficjalnej, prywatnej rzeczywistości – przed nią chronić.

* * *

Rozpięcie między dwoma światami domu Rymkiewiczów widać było też w innym wspomnieniu poety, o rodzinnej bibliotece. Na półkach stały dwa rzędy książek – w widocznym, pierwszym, rzędzie ojciec poety ustawiał oficjalne, w drugim, zasłonięte grzbietami pierwszego rzędu, stały te drugoobiegowe, te źle w nowej rzeczywistości widziane. Dwie równoległe, stojące na tych samym półkach biblioteczki – jak w „Rosannie" dwa nurty życia.

Dobrym miejscem do obserwacji zjawiska był teatr. Na przedstawieniach można było zobaczyć tę jaźń równoległego, podskórnie istniejącego polskiego zbiorowego życia.

„W sztuce Rosja zdawała się pozostawiać nam autonomię" – wspominał te pierwsze lata manewrowania w powojennej łódzkiej rzeczywistości Erwin Axer, reżyser teatralny i wieloletni dyrektor Teatru Współczesnego w Warszawie, w rozmowie z Elżbietą Wisińską, opublikowanej w piśmie „Teatr" w 1994 r.

Od 1946 r. kierował Teatrem Kameralnym w Łodzi przy ulicy Przejazd, dziś Tuwima. W budynku należącym do wojska, w podwórku była sala teatralna.

– Jego ówczesną żoną była Donia, spokrewniona z moją mamą, córka cioci Tosi – mówi poeta. – Była mniej więcej w wieku mojej mamy, a przynajmniej tak sądziłem. Pamiętam ich wizyty u nas na Żeromskiego. W Boże Narodzenie 1948 lub 49 roku zapaliła się choinka i Axer ją gasił – nic na szczęście się nie stało. Wtedy już zaczynał być słynnym reżyserem i miał swoje pierwsze powojenne sukcesy.

Bronisława z Kreczmarów, uczestniczka Powstania Warszawskiego, łączniczka AK obwodu „Żywiciel" na Żoliborzu, przed powstaniem ukrywała pochodzącego z zasymilowanej żydowskiej rodziny Axera. Była cioteczną siostrą Hanny Rymkiewicz.

> Podwójność funkcjonowania w komunistycznej Polsce stała się stanem naturalnym, oczywistym. Dwunasto-, trzynasto- i więcej letni Jarosław Marek Rymkiewicz przyjmował ją zapewne tak, jak i świat wokół niego

Z wywiadu z Axerem zamieszczonego w „Teatrze" w 1994 r. wynika, że od początku miano świadomość, że w teatrze funkcjonował rodzaj porozumienia niemożliwego gdzie indziej. Przykładem – głośne wystawienie w lutym 1946 r. „Elektry" Giraudoux, wyreżyserowanej przez Edmunda Wiercińskiego na Scenie Poetyckiej Teatru Wojska Polskiego. Wzbudziło entuzjazm. „Przesłanie Żebraka – niech zginie miasto, niech się stanie sprawiedliwość – kojarzyło się z Powstaniem Warszawskim, o tym zapewne myśleli reżyser i aktorzy, a na pewno publiczność – mówił Erwin Axer. – Był to […] hołd złożony przez teatr Powstaniu Warszawskiemu".

Erwin Axer w wywiadzie z 1994 r. daje także świadectwo dwójmyślenia, dwójistnienia, które nas tu interesuje. Był dyrektorem teatru, zapisał się oczywiście do partii i uważał, że dawało mu to większą swobodę działania. Niemniej wiedział, czym to jest.

„[...] nie miałem ani przez chwilę wątpliwości, że dokonuję czynu karygodnego, czegoś w rodzaju zdrady. Przez całe lata jeszcze po roku 1948, trochę infantylnie może, zastanawiałem się nad tym, co będę mógł powiedzieć na swoją obronę przed sądem prawowitego państwa, po zwycięskim powrocie generała Andersa. Miałem nadzieję, że działalność Teatru przyczyni się do złagodzenia wyroku" – mówił w 1994 r. („Teatr" nr 6, 1 czerwca 1994 r., rozmowa Elżbiety Wysińskiej).

Kilkunastoletni Jarek był często w teatrze.

– Teatrem Wojska Polskiego, który był niemal naprzeciwko mojej szkoły na ulicy Jaracza, a wtedy na ul. Cegielnianej, kierował Leon Schiller. Tam obejrzałem jego słynnych „Krakowiaków i górali", „Otella" z jakimś aktorem pomalowanym czarną farbą na twarzy i zdążyłem zobaczyć na scenie Józefa Węgrzyna. To było wielkie przeżycie. W roku 1946 Józef Węgrzyn grał w „Zemście" Fredry postać Rejenta. Pamiętam to dobrze, ze względu na niezwykłość tego zdarzenia, sie-

eprasa.pl a4f1a0e949

działem gdzieś w pierwszych rzędach obok mamy, na scenie była dekoracja z wieżyczką. Otwiera się okienko wieżyczki i ukazuje się Rejent. A sala wstaje i zaczyna bić brawo. Nie bardzo to rozumiałem, mama musiała mi wytłumaczyć, o co chodzi. Publiczność zrobiła wielkiemu przedwojennemu aktorowi owację na stojąco – wspomina poeta.

Józef Węgrzyn był dla widowni, jak inne gwiazdy przedwojennej Polski, wspomnieniem utraconego świata. Owacja nie była demonstracją, nie miała nic wspólnego z polityką – była spontanicznym powitaniem płynącym wprost z tego nieoficjalnego, równoległego, wewnętrznego życia Polaków.

– Teatry w Łodzi odegrały wtedy w moim życiu wielką rolę – mówi mi poeta. – To przede wszystkim zasługa mamy, która zabierała mnie na przedstawienia, dbała, bym znał repertuar. Teatry w Łodzi były wspaniałe, bo nie było ich jeszcze w Warszawie, więc w Łodzi byli najwięksi artyści – Schiller, Zelwerowicz, Węgrzyn, Świderski, wielu innych świetnych aktorów. W Teatrze Wojska Polskiego widziałem wspaniałe spektakle Leona Schillera: „Kram z piosenkami" w 1949 r., a wcześniej „Krakowiaków i górali" w jego reżyserii. Pamiętam też Schillera z jakiejś próby, to był chyba „Kram z piosenkami" – pierwsze rzędy były puste, tylko trochę widzów wpuszczono na widownię i ja się tam dostałam, nie pamiętam już jak i czemu. Schiller siedział na desce położonej na rzędzie ustawionych ławek, nie był wysokiego wzrostu i był dość szeroki. Siedział na tej desce i z góry jakby dyrygował. Byłem tą próbą, tym reżyserowaniem zafascynowany, uznałem wtedy teatr za koronę sztuk. Gdy po latach zacząłem pisać dla teatru, miałem przekonanie, że to najwyższe, z czym można się w sztuce spotkać i zmierzyć.

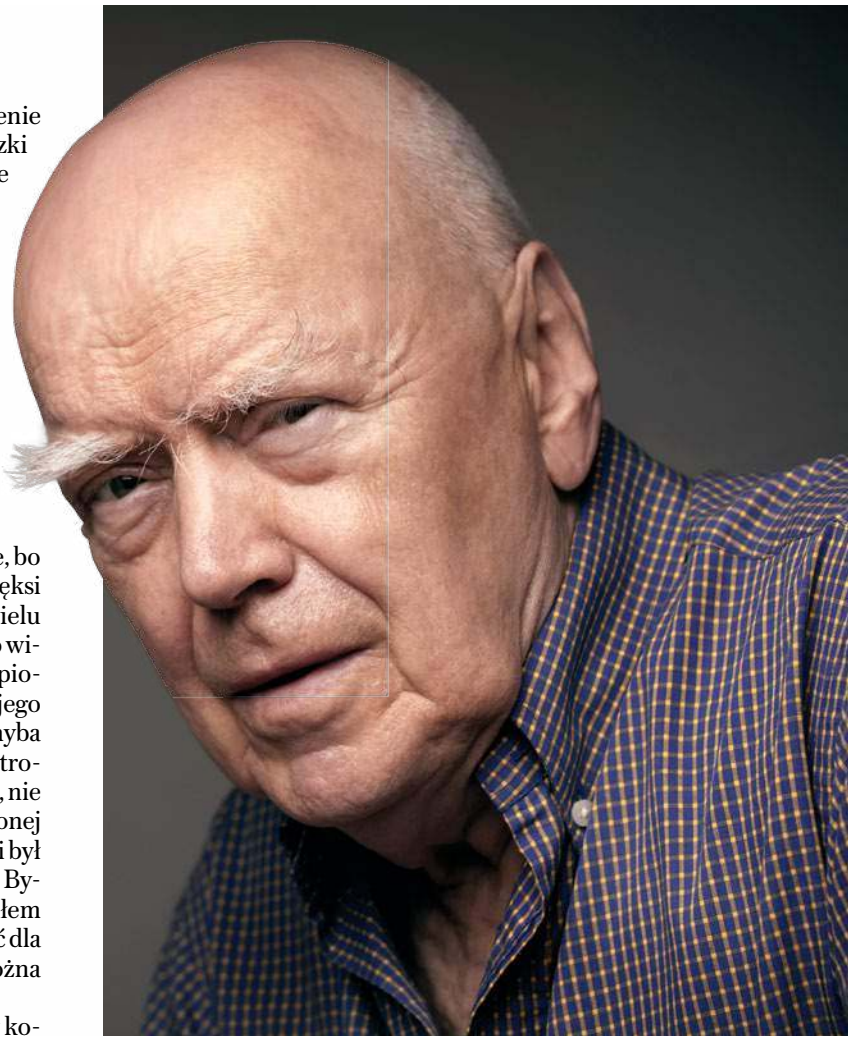
Z jakiegoś powodu teatr nie dał się całkiem zdławić w komunizmie – owszem, płacił trybuty sowieckim nakazom, ale równolegle dawał przestrzeń do rozmowy ze swoją widownią. Jeszcze raz dajmy głos Erwinowi Axerowi. „Scena oczywiście była lepszą kryjówką niż film albo książka" – mówił w rozmowie z Elżbietą Wysińską w 1987 r., a więc jeszcze przed upadkiem PRL. „Zawsze jest droga ucieczki w klasykę, przemawiamy drogą pośrednią przez autora i mamy do pewnego stopnia możność wyboru sztuki. Pisarz i reżyser filmowy, także malarz, kompromituje się we własnym imieniu".

Nastoletni Jarek chłonął wszystko – i jedną, i drugą rzeczywistość.

– Schiller był wtedy najwybitniejszym człowiekiem teatru w Polsce i to wiedziałem. Nie bardzo umiałem odróżniać charakter tych sztuk, ale wszystko, co szło u niego w teatrze, oglądałem. Sowiecką literaturę, jak „Młodą gwardię" Fadiejewa w 1949 r., czy „Burzę" Szekspira – wspomina poeta.

* * *

Podwójność istnienia dotyczyła także bezpośrednio losu poety – z powodów czysto formalnych. Na żądanie matki rodzina porzuciła niemieckie nazwisko Szulc i zmieniła na Rymkiewicz. W księdze aktów urodzenia parafii św. Mikołaja w Kaliszu pod numerem 192, gdzie w 1900 r. odnotowano



Fot. Andrzej Wiktor

narodziny Władysława Michała Szulca, syna Adolfa Brunona Szulca i Ireny z Rymkiewiczów, na lewym marginesie widnieje notatka, że „decyzją prezydenta miasta Łodzi z dn. 17 czerwca 1946 Nr XX-0-IV-3-1/47/46 zmienia się nazwisko Szulcowi Adolfowi Brunonowi na »Rymkiewicz«. Kalisz, dn. 23 I 1947 r.". Urzędnik Stanu Cywilnego mgr Zbigniew Typrowicz, który jest podpisany pod notatką, najoczywiściej się pomylił – Adolf Szulc, ojciec Władysława Rymkiewicza, od kilku lat już nie żył, zmiana nazwiska nie mogła więc dotyczyć jego, tylko właśnie Władysława.

– Zmiana była kwestią przyzwoitości, nikt nie chciał wtedy być Niemcem, nazywać się jak Niemiec – mówi poeta.

Zmiana nazwiska była możliwa na podstawie dekretu Krajowej Rady Narodowej z 10 listopada 1945 r. Mogła nastąpić z wielu powodów – w istocie wystarczyło, że ktoś „nosi nazwisko o brzmieniu niepolskim". Ustawa obowiązywała do 1956 r. Chodziło to, by łatwo mogli korzystać z dekretu nie tylko Szulcowie czy Schillerowie, ale też ci, którzy wraz z Armią Czerwoną przyszli nad Wisłę. W ten sposób – jak pisze Edward Jan Nalepa w książce „Oficerowie Armii Radzieckiej w Wojsku Polskim 1943–1968" – w latach 1949–1954 na 1427 oficerów radzieckich ubyłych ze statystyk szeregów Wojska Polskiego, blisko połowa, 682, przyjęło obywatelstwo polskie i pozostało

eprasa.pl a4f1a0e949

w wojsku. Na podstawie tego samego dekretu zmieniali nazwiska Żydzi – Jarosław Marek Rymkiewicz, który przez jakiś czas funkcjonował w szkole pod podwójnym nazwiskiem „Szulc-Rymkiewicz", był więc często uważany za... Żyda. Ślad tego znajdujemy w „Umschlagplatzu" (s. 117, Oficyna Wydawnicza, Gdańsk 1992 r.): „W latach mojej młodości wielokrotnie dawano mi do zrozumienia, że jestem Żydem i że powinienem się do tego przyznać. Kto nie przyznaje się do tego, że jest Żydem, daje tym samym dowód, że jest Żydem. Nie chciałem się przyznać i nie robiło to dobrego wrażenia". Z osobistego doświadczenia pochodzi także i ten fragment „Umschlagplatzu" o „obecnym w polskiej świadomości w latach czterdziestych i pięćdziesiątych" utożsamieniu „komunista to Żyd": „Moi rodzice byli członkami partii komunistycznej. Wielu Polaków uważało w tamtych latach [...] że nie ma różnicy między komunistami a Żydami, a jeśli jest, to bardzo niewielka: ogólnie rzecz biorąc, kto jest komunistą, ten jest pewnie Żydem, a kto jest Żydem, ten jest pewnie komunistą" „Umschlagplatz" (s. 119).

Wśród tych rozważań – czemu był uważany za Żyda – pisarz nie wymienia jednak wtedy kwestii zmiany nazwiska. Głośno przypomni ją dopiero w „Wysokich Obcasach", dodatku do „Gazety Wyborczej", w sierpniu 2009 r. skonfliktowana już wtedy z bratem Alina Sawicka. „Urodziłam się jako Alinka Szulcówna i byłam Szulcówną – a mój brat Jarkiem Szulcem – do połowy lat 40. Wtedy nasi rodzice Hanna i Władysław Szulcowie zmienili nazwisko na Rymkiewicz. Głównie na skutek patriotycznego uniesienia mamy, która uważała, że nazwisko Szulc przynosi jej ujmę. Po wojnie w filmach, słuchowiskach czy powieściach każdy podły Niemiec nazywał się Schulz. A że ojciec jeszcze przed wojną jako pisarz używał pseudonimu Rymkiewicz – nazwiska rodowego swojej matki – rodzice zdecydowali się właśnie na nie". W intencji „Gazety Wyborczej" miało to chyba podważyć „polskość" autora „Wieszania" w oczach jego czytelników i, po publikacji „Kinderszenen", jego prawa do rozliczania zbrodni niemieckich.

Nazwiska na Rymkiewicz nie zmieniła natomiast o osiem lat młodsza siostra ojca poety – dla Jarka: ciotka Marychna. Urodzona jako Maria Marta Magdalena Schultz po studiach w Szkole Handlowej wstąpiła do zakonu Sióstr Zmartwychwstanek i przyjęła imię Zofia. Zmartwychwstanki to zgromadzenie szczególne – są żeńskim odpowiednikiem Zgromadzenia Braci Zmartwychwstania Pańskiego, pierwszego polskiego zakonu, założonego „w celu chrześcijańskim i polskim", a wymyślonego przez Adama Mickiewicza w Paryżu, który w 1834 r. – jak świadczył później zmartwychwstaniec ks. Smolikowski – stwierdził: „Nie ma dla nas innego ratunku – trzeba nowego Zakonu".

Ciotka Jarka wybrała właśnie to zgromadzenie, które miało uratować Polskę – pracowała w klasztorze Sióstr Zmartwychwstanek w Częstochowie – uczyła młodzież w szkole handlowej. W czasie okupacji zaangażowana w pracę w Polskim Komitecie Opiekuńczym – czyli pomoc wysiedlonym, uchodźcom, ubogim, więźniom. „Ważnym działaniem Komitetu – opisywał w tygodniku „Niedziela" ks. Marian Frukacz (nr 14 z 2005 r.) – była akcja dożywiania więźniów Zawodzia (tę działalność także zlecono s. Zofii) oraz pomoc wysiedlonym – szczególnie po powstaniu warszawskim, gdy do Częstochowy przybywały tysiące warszawiaków. 19 października Siostry Zmartwychwstanki uruchomiły kuchnię w barakach przy ul. Chłopickiego [...]. Stołówki te były też terenem współpracy z podziemiem. S. Zofia ułatwiała kontakty, organizowała pomoc dla partyzantów, dożywiając ich i organizując opiekę w szpitalach. Szczególnie ochraniała młodzież polską przed łapankami i wywożeniem na roboty do Rzeszy; dokonywała fikcyjnej rejestracji w tzw. Arbeitsmacie (Urzędzie Pracy)...". Ciotka Marychna, jako matka Zofia Szulc, była od 1957 r. przełożoną klasztoru Zmartwychwstanek na warszawskim Żoliborzu, potem została przełożoną prowincji warszawskiej, a w końcu przełożoną generalną całego Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstanek i zarządzała nim z Watykanu. Nie traciła kontaktu z rodziną brata.

> Z jakiegoś powodu teatr nie dał się całkiem zdławić w komunizmie – owszem, płacił trybuty sowieckim nakazom, ale równolegle dawał przestrzeń do rozmowy ze swoją widownią

* * *

Mały Jarek, dorastający, przyszły, potem początkujący i wreszcie całkiem dorosły pisarz funkcjonował również w takim świecie – to kolejne rozpięcie między rzeczywistościami – w którym uduchowiona ciocia zmartwychwstanka przywoziła z całego świata (wizytowała rozsiane na różnych kontynentach klasztory) upominki i czytała mu na głos swoje pełne uwielbienia wiersze o Chrystusie. Dla Jarka była bliskim łącznikiem ze światem katolickiej Polski, z którą na co dzień nie miał kontaktu lub miał niewielki, a który w jego oficjalnym świecie był wyszydzany i atakowany. A zarazem dobra ciotka Marychna była łącznikiem z ukrytym, podziemnym, duchowym życiem Polaków. Między fałdami jasnoszarego habitu, gdy matka Zofia Szulc (bardzo chuda, wysoka, uduchowiona, z nabożeństwem wypisanym na twarzy) siedziała na fotelu w mieszkaniu na Żeromskiego 21 w Łodzi, można było dostrzec – bystre oko chłopca mogło ją zobaczyć – koniec właśnie tej nici, której początek trzymał w ręku Adam Mickiewicz.

Joanna Lichocka *– dziennikarka, publicystka, autorka filmów dokumentalnych m.in „Mgła" i „Prezydent" oraz książek m.in. wywiadu-rzeki z prof. Andrzejem Zybertowiczem pt. „III RP. Kulisy systemu". Obecnie pracuje nad książką o poecie i pisarzu Jarosławie Marku Rymkiewiczu. Jest posłem na Sejm (PiS), wiceprzewodniczącą komisji kultury oraz członkiem Rady Mediów Narodowych*

eprasa.pl a4f1a0e949

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Karol Wojtyła pełen tajemnic

„Powołanie" Pawła Woldana w jego reżyserii pokazano w Teatrze Telewizji w stulecie urodzin Jana Pawła II. To – zdaje się – ostatnia produkcja tego teatru sprzed pandemii.

Paweł Woldan historii polskiego Kościoła poświęcił znaczną część swojej twórczości. Zarazem jest on z temperamentu dokumentalistą (zresztą świetnym). Oznacza to, że jego historyczne widowiska często nie wychodzą poza bezsporne ustalenia faktów. Prowadzi to nieraz do oschłej formuły „teatru faktu" i nawet do pewnej ilustracyjności. Nie było tego wtedy, kiedy Woldan szedł za literaturą – by przypomnieć znakomitego „Brata naszego Boga" właśnie Karola Wojtyły.

Tu, pokazując młodzieńcze lata przyszłego papieża, zdecydował się na maksymalną powściągliwość. W efekcie mamy kilka scen pięknych, ale mamy też sporo oczywistości. Te mielizny są mniejsze dzięki znakomitym aktorom.

Józef Pawłowski w roli Lolka Wojtyły to celne trafienie. Od czasu „Miasta 44" Jana Komasy obserwuję tego aktora z podziwem. W ujmujący sposób wydobywa z młodości to, co w niej najpiękniejsze, jakiś rys szczególnego świetlistego idealizmu, choć czasem i to, co w niej pogmatwane. W wykonaniu Pawłowskiego student polonistyki, który ponad aktorstwo wybiera kapłaństwo, to chłopak z niejedną tajemnicą. Czy kochał się w Halinie, swojej przyjaciółce z Wadowic? Jaki był tak naprawdę jego stosunek do walki zbrojnej podczas wojny? Był bliski zaangażowania, ale w końcu nie wziął udziału w konspiracji. Tu słyszymy tylko jakieś strzępki wahań.

Mam wrażenie, że Woldan mógł spróbować pójść dalej w próbie odpowiedzi, ale uznał się za nieuprawnionego. Czy można sobie wyobrazić pełniejszy obraz rozterek i dramatów buzujących w duszy przyszłego świętego? Pawłowski jest stworzony do tego, żeby je wygrać. Ale do takiego „obrazoburstwa" jeszcze nie dojrzeliśmy.

Są w spektaklu ciekawe sygnały. Choćby rozmowy młodego Wojtyły z Janem Tyranowskim, znawcą mistyków Kościoła, który zniechęca go do ścisłego łączenia katolicyzmu z polskością. Tyranowskiego sugestywnie gra Piotr Głowacki, ale może ważniejsze, że dostajemy trop przyszłych wyborów Karola Wojtyły. Którego religijność była później bardziej uniwersalna niż – powiedzmy – religijność Stefana Wyszyńskiego. Ale to ledwie jedna scena, kilka zdań.

Może najciekawszy jest wątek teatralnych fascynacji Wojtyły. Nie tylko dlatego, że to z nich wynika konieczność wyboru. Podobnego jak ten, którego dokonał jeden z bohaterów jego sztuki, ojciec Albert Chmielowski – mógł być wielkim malarzem, a został mnichem opiekującym się ubogimi. Także dlatego, że dostajemy kilka minut obcowania z czymś takim jak Teatr Rapsodyczny. Miał rację Przemysław Stippa, grający jego twórcę Mieczysława Kotlarczyka, mówiąc przed premierą, że to jest ważne zwłaszcza dziś, kiedy słowo zostało tak bardzo zdewaluowane.

Stippa tworzy tu sugestywną, barwną postać. Ale już znakomity Adam Woronowicz pozostał zapowiedzią czegoś interesującego jako ojciec Karola, bo wątek ich relacji został potraktowany konwencjonalnie, właśnie ilustracyjnie.



Zarazem z wypowiedzi przed pokazem przedpremierowym wyniosłem wrażenie szczególnego zaangażowania zespołu aktorskiego w to artystyczne przedsięwzięcie jako w sprawę, w misję. I może to najbardziej przekonuje, że taki przewodnik po życiu Wojtyły był jednak potrzebny. Choć przyznaję się do poczucia niedosytu. W każdym razie młody Wojtyła już zawsze będzie miał dla mnie twarz Pawłowskiego.

Piotr Zaremba



Wojciech Stanisławski

Rytmy, pędy, rany

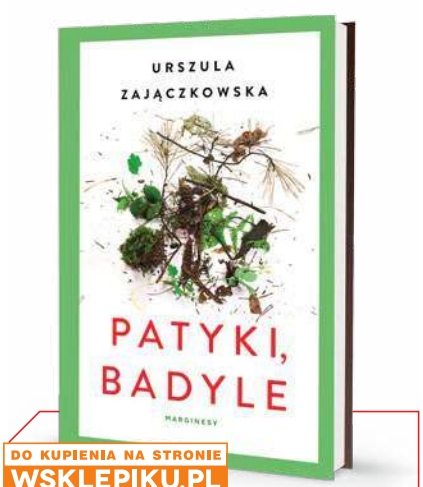
Ciekawość natury bywa dziś często podbarwiona czułostkowością albo ideologią. Warto odgarnąć jedno i drugie, odważyć się przyjrzeć temu, z czego cali jesteśmy

Przegapiłem tę książkę, zerknąwszy w głąb witryny i pomyślawszy, że to jakaś kolejna pozycja z dziedziny sentymentalizmu dendrologicznego. Bo przecież jest tego mnóstwo, jak nie „Sekretne życie drzew", to „O czym szumią drzewa", jak nie „Tajemnice dębów", to „Ploteczki jesionów", po prostu Pudelek z lekka oprószony wiórami. Wszędzie płytka i dość natrętnie promowana moda na las, jakieś Hygge 2.0. Nużące to, a co więcej, wielu osobom przeszkadza przyznać się do serdecznej, nawet jeśli pełnej ignorancji, ciekawości Przyrody: niepojętej, fantastycznej, wszechobecnej. A przecież jej poznawanie to radości, które na szczęście nie kończą się wraz z dzieciństwem, kiedy to „w dziesiątym roku życia zostałem ojcem / gdy po napiętym oczekiwaniu / z kasztana zanurzonego w wodzie / ukazał się żółty kiełek / i wszystko rozśpiewało się / wokoło".

Na szczęście wydawnictwo zrobiło dodruk, premierowa karuzela zwolniła i zdołałem sięgnąć po książkę Urszuli Zajączkowskiej. Owszem, w pierwszej warstwie, to książka „o roślinach" – o klonach jesionolistnych, mchach, skrzypach, a nawet o biednym, zsekwencjonowanym rzodkiewniku pospolitym. I kto ciekaw „sekretów natury", dowie się spraw fascynujących i podstawowych, a obok tego pysznych, trzeszczących szczegółów: przeczyta o elementarnej różnicy między światem roślin a resztą bytów ożywionych, o tym, jak opadają liście i jak niepowtarzalne, niczym linie papilarne, jest hilum – mała, kremowobiała łata na każdym owocu kasztanowca. Jest o hilum, o kambium (ta spolonizowana, zżółkła łacina botaników), ale jest i opis badań mozolnych, pomysłowych, zachwycających, łobuzerskiego crackowania używanych aparatów fotograficznych, żeby robiły zdjęcie za zdjęciem, tysiącami, zataczającym kręgi młodym pędom.

Tyle że ta książka nie jest zbiorem ciekawostek, lecz rozważaniem, napiętym i bolesnym, fenomenu życia, umierania, przemijania, trwania. Księgarze będą mieć z nią nie lada kłopot (choć i uciechę, bo zasłużenie jest bestsellerem), dźwigając „Patyki, badyle" między półkami z etykietą „przyrodoznawstwo" a „esej". Ja w wirtualnej bibliotece postawiłbym książkę Urszuli Zajączkowskiej między powieściami Płatonowa a wierszami Robinsona Jeffersa: ta książka to bowiem namysł nad nieodwołalnością życia, jego niepowtarzalnością i przemijalnością, nieprzekraczalną granicą między żywym i mechanicznym. „Patyki, badyle" nie mają nic wspólnego z ckliwym mamrotaniem nad „cudownością życia", nad symfonią zieleni i dzwonków. Powiedzieć, że to książka pisana z „uważnością", to nic nie powiedzieć: to tekst, który jest jak odrywanie szerokim gestem przylepca od rany, jak zerwana kora czy skóra, który jest zapisem zranień, obolałości, sił, napierających zewsząd. Zajączkowska zaczyna od opowieści o ciążeniu ziemskim, determinującym rośliny nieporównanie bardziej niż zwierzęta, pisze o falach i grotach grawitacji, ale takie postrzeganie świata jest w tej książce wszechobecne: rzeczywistość wokół to dla niej wir materii układającej się w smugi, rany, strugi, drżące, tłukące się, płynące; wszystko faluje, tętni, podąża za swoim rytmem. Jak trzeba odbierać świat, iloma wiązkami nerwów, żeby tak o nim pisać? „Niepokój obleczony w skórę", powracała do mnie ta fraza, ilekroć myślałem o autorce (a jej zdjęcie na skrzydełku książki nie zaprzecza temu wrażeniu).

I dopiero oswoiwszy ten niepokój, pogodziwszy się z frazą o drzewach na wiosnę, rozsadzanych endogennym nadciśnieniem, o drzewach, które są jak „pełne wody usta zalepione taśmą", eksplodujących sokami – możemy czytać



Urszula Zajączkowska, „Patyki, badyle",
Wydawnictwo Marginesy, 2019

eprasa.pl a4f1a0e949

o ocalałych z dewonu skrzypach, o ranach drzew, o bezbronności, determinacji i odwadze, które Zajączkowska dostrzega, patrząc czule i brutalnie zarazem.

Dziesiątki fraz które, żeby założyć w książce, nie starczy zasuszonych jesienią liści: „Bielistki siwej trudno nie zauważyć przez jej osobliwe sine poduchy, jakby czupryny głów wyrastających wprost z ziemi. Pojedyncze okazy rosną tak zbite w kępie, że same się zabiją przez niedobór światła. Rozdarta kolonia pokaże, że to, co w niej żyje, to wierzchnie zielone witki, a na większość wypukłości składa się zbrązowiały i mokry trup". „Komórki świeżego drewna (...) dojrzewają chwilę, rosną, zaczynają usztywniać ściany, potem już tylko trawią się od środka, uśmiercając się. Ale od początku tak miało być (...). Trybują się wyżerają, zapadają w nieistnienie. Świergoty wiosenne. Światło, wreszcie wiosenne światło. Komórki drewna są już puste. Jak mieszkanie po przeprowadzce, z duchem byłego istnienia, tylko że do tych drewnianych pomieszczeń zaraz wedrze się woda, zaleje je całe, aż po sufit. Bo po to jest ta śmierć". Czytam to i nie dziwię się nagrodom, które spadają na kolejne tomiki wierszy Zajączkowskiej. Tak połączyć odwagę syntezy i czujną, nieludzką uważność, litość i pogodzenie – to udaje się tylko największym. Jej też udało się napisać jedno z najpiękniejszych i najbardziej niezwykłych epitafiów, jakie czytałem – epitafium, w którym udało się zmieścić opowieść o grawitacji Księżyca, ciągnącej w górę młode łodyżki mięty.

Wirtualne biblioteki wolne są na szczęście nie tylko od kurzu, lecz i od krępujących trzech wymiarów: stawiając w niej „Patyki, badyle" między Jeffersem, Płatonowem i Goethem, mógłbym dostawić obok jeszcze jeden tytuł: esej Andrzeja Turowskiego o biomorfizmie w sztuce XX w. Napisany językiem spokojniejszym i nierwącym granic, traktujący o działaniach i dokonaniach awangard, zmagających się z odzwierciedleniem organizmów żywych na innym poziomie niż pracowici naturaliści, z przygryzionym językiem odrabiający żyłkowanie liścia – zbliża się jednak do podobnego natężenia niepokoju, kiedy traktuje o ostatnich rzeźbach Aliny Szapocznikow, o szkłach Gallego i fotogramach Blossfeldta, o żarliwych próbach opisania tego niepojętego, co nazywa się „życie".

Teleki: chimeryczny i honorowy

Wszyscy albo prawie wszyscy znają jego twarz smutnego wyżła (nie obraziłby się za to porównanie, bo sam sięgał po nie często). Wszyscy albo prawie wszyscy przywołują jego deklarację z sierpnia 1939 r. „prędzej wysadzę własne linie kolejowe, niż wezmę udział w inwazji na Polskę" – i pławią się w poczuciu wiecznej przyjaźni, łączącej nas z węgierskimi bratankami.

Czy jednak hrabia Pál Teleki, dwukrotny premier Węgier w najtrudniejszych dla nich latach, rzeczywiście nadaje się na symbol bliskości dwóch narodów, posiadających często wspólnych wrogów, o podobnej strukturze społecznej i często żywiących podobne emocje? Owszem, Polska zawdzięcza mu wiele: niezłomną postawę podczas kampanii wrześniowej oraz ważniejszą może jeszcze dla losów naszego kraju decyzję o wsparciu Polski w przededniu ostatecznej konfrontacji z Rosją Sowiecką transportami broni i amunicji, w pierwszej połowie sierpnia 1920 r. Zarazem jednak warto zachować proporcje i zdać sobie sprawę, że relacje z Warszawą bynajmniej nie były najważniejszym zagadnieniem polityki zagranicznej dla polityka, któremu przyszło doświadczyć okrojenia kraju w wyniku przegranej wojny światowej, na mocy



Balázs Ablonczy, „Pál Teleki (1879–1941)", przeł. Szymon Brzeziński, IPN, 2020

pokoju w Trianon. Większość swej energii i wpływów angażował Teleki przez całe dwudziestolecie w prace nad odwróceniem tego, co postrzegał jako „rozbiory" – czyniąc to, angażował siebie i kraj w coraz bardziej dwuznaczną zależność od innych potęg rewizjonistycznych, przede wszystkim Berlina.

Był politykiem wyrazistym, energicznym, skutecznym, „pańskim" – tytuł hrabiowski leżał na nim równie dobrze jak garnitur – ale też chimerycznym, pełnym urazów, niezdolnym do zapanowania ani nad swoimi wahaniami nastrojów (cierpiał na powracającą depresję), ani nad radykałami na prawicy, popychającymi Węgry coraz bliżej sojuszu z Hitlerem i współudziału w Zagładzie. Nieprzystępny urzędnik – i zwolennik działania metodami nieformalnymi, obchodzenia ograniczeń i przepisów. Intelektualista, wytyczający nowe kierunki w geografii czy demografii – i doktryner, ciasno trzymający się swojej wiary w eugenikę czy „różnice rasowe", prowadzących go na manowce. Jego wyważona, plastyczna biografia pióra węgierskiego historyka więcej znaczy dla relacji Warszawy i Budapesztu niż kopa memów ze znanym cytatem.

Reklama | 48/0420/F

eprasa.pl a4f1a0e949



Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

SIECI

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

Kupuję, bo polskie

DEKALOG patriotyzmu konsumenckiego



Zwracajmy uwagę, aby kupować polskie produkty. To wspiera polską gospodarkę, wspiera walkę z kryzysem, naszych przedsiębiorców.

ANDRZEJ DUDA,
prezydent RP

Musimy wspierać przede wszystkim polski biznes, polskich przedsiębiorców, bo poprzez to podnosimy wynagrodzenia polskich pracowników, a to jest główny cel naszej polityki gospodarczej, żeby Polacy zarabiali z biegiem lat na poziomie europejskim.

MATEUSZ MORAWIECKI,
premier rządu RP

Konsumpcja jest motorem wzrostu gospodarczego, tylko jeśli opiera się na dobrach wytworzonych w kraju.

JACEK SASIN,
wicepremier i minister aktywów państwowych

Patriotyzm gospodarczy to dziś przede wszystkim dbanie o bezpieczeństwo naszych firm oraz wzmacnianie kondycji polskiej gospodarki teraz, ale i na przyszłość, czyli po pandemii koronawirusa.

JADWIGA EMILEWICZ,
wicepremier i minister rozwoju

Zachęcam do korzystania z oferty polskich rolników, przetwórców, bo to wspiera naszą gospodarkę i w efekcie pozwoli nam wszystkim przejść ten trudny czas przy jak najmniejszych stratach.

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI,
minister rolnictwa

partner strategiczny

ORLEN

partnerzy:

Enea

KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl a4f1a0e949

Kupuję, bo polskie

Każdy może pomóc

„Kupuję, bo polskie” – to deklaracja. Prosta i jasna. Pokazuje, że zależy nam w codziennych wyborach na wsparciu polskiego przedsiębiorcy, polskiego produktu – a w ostateczności, na wsparciu polskiej gospodarki i naszych własnych, domowych budżetów. Stawką w grze jest pomyślność naszej gospodarki i to, jak szybko uda nam się przezwyciężyć koronakryzys.

Z każdej złotówki wydanej na produkt lub usługę, której wytwórcami są polskie firmy, wraca do nas kilkadziesiąt groszy. Także do naszych portfeli – w postaci emerytur, niższych podatków, pomocy socjalnej państwa. W czasie epidemii i kryzysu patriotyzm konsumencki stał się niezwykle ważnym elementem naszych postaw – od decyzji w czasie zakupów po wybór firmy, z której usług korzystamy. O tym, jak ważne są nasze wybory, przekonujemy na łamach tego dodatku.

Na ten temat piszemy od jakiegoś czasu w portalu wGospodarce.pl w przeznaczonej dla akcji zakładce „Kupuję, bo polskie”. Dzięki naszym partnerom i patronom kampania zatacza coraz szersze kręgi i trafia do wielu czytelników i odbiorców w Polsce i na świecie. Za to wsparcie dziękujemy i już dziś prosimy o więcej.

Dołączona do tygodnika „Sieci” naklejka „Kupuję, bo polskie” pozwoli nam się pochwalić, że wspieramy polski biznes. Umieszczając ją w widocznym miejscu, stajemy się ambasadorami polskiej gospodarki. Namawiamy zatem naszych czytelników – promujcie polskie produkty, wybierajcie polskie i chwalcie polskie. Warto. ●



MACIEJ WOŚKO
Redaktor naczelny „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarce.pl



JACEK SASIN
WICEPREMIER,
MINISTER AKTYWÓW PAŃSTWOWYCH

Sytuacja, w której świat znalazł się z powodu koronawirusa, stawia nas w obliczu nowego wyzwania. Teraz właśnie nasza patriotyczna postawa będzie miała wyjątkowe znaczenie dla polskiej gospodarki i jej odbudowy po epidemii COVID-19. Największym wyzwaniem będzie utrzymanie dotychczasowych i stworzenie nowych miejsc pracy oraz wzmocnienie silnej pozycji krajowych przedsiębiorców oraz rolników.

Zróbmy wszystko, by Polacy jeszcze chętniej korzystali z oferty rodzimych producentów i wybierali artykuły ze znakiem „Produkt polski”. Jednym z takich działań jest kampania „Kupuję, bo polskie”. Jej celem jest wzmocnienie postaw konsumenckich tak, byśmy wybierając produkty, kierowali się myślą o polskich przedsiębiorcach i polskiej gospodarce. Ministerstwo Aktywów Państwowych, dla którego polski kapitał jest najważniejszy, podjęło decyzję o wsparciu akcji. Naszym celem jest silna i stabilna gospodarka.

Jakość polskich produktów broni się sama. Charakteryzują je wysokie normy i atrakcyjne ceny. Ma to szczególne znaczenie w przypadku produktów żywnościowych, gdzie kluczowe są gwarancje świeżości, naturalnych i ekologicznych upraw i sprawdzonych źródeł dostaw. Po polską żywność możemy sięgać z pełnym zaufaniem, dodatkowo wspierając rodzimy rynek.

Zachęcamy również do kupowania produktów bezpośrednio od rol-

eprasa.pl a4f1a0e949

Jakość polskich produktów broni się sama

ników. Warzywa, owoce i przetwory z sąsiedztwa są mniej modyfikowane, więc zdrowsze, smaczniejsze. Namawiajmy do tego młode pokolenie, dla którego zdrowe odżywianie jest modnym stylem życia. Lokalne produkty są też ekologiczne, choćby dlatego, że nie są transportowane na duże odległości. Oznaczajmy polską żywność wszędzie – w sklepach i na targowiskach – ułatwi to i zmotywuje klientów do wyboru tego, co nasze i dobre jakościowo. Doceniajmy w ten sposób nie tylko producentów żywności, ale też inne branże, które wykorzystują rodzimy kapitał. Nie gódźmy się na nieprawidłowe oznakowanie sugerujące, że mamy do czynienia z produktem polskim, gdy w rzeczywistości pochodzi on z importu. Używajmy wszelkich dostępnych narzędzi, jak choćby aplikacji POLA stworzonej przez Klub Jagielloński, by sprawdzać bezpośrednio w sklepach, jaka firma wprowadziła na rynek towar, który chcemy kupić. Chodzi o jego identyfikację, zwiększenie świadomości klientów i promowanie patriotyzmu konsumenckiego.

Sytuacja krajowych producentów, którzy zmagają się z obostrzeniami sanitarnymi, jest bardzo trudna. Naszymi codziennymi wyborami pomożemy im przetrwać kryzys oraz damy szansę na rozszerzenie produkcji i zwiększenie zatrudnienia. Pamiętajmy, że zyski są obopólne. Przecież stwarzamy sobie możliwość korzystania z tego, co oferują regiony. Wspomnę tu o smakach Lubelszczyzny – parczewskiej musztardzie, wędlinach z Łukowa, serach z Radzynia i Ryk czy lubelskich miodach, by pokazać, jakim bogactwem jest to, co swojskie.

Konsumpcja jest motorem wzrostu gospodarczego, tylko jeśli opiera się na dobrach wytworzonych w kraju. Wtedy powiększa potencjał produkcyjny i stanowi trwałe źródło zamożności nas wszystkich. Efekt świadomych wyborów konsumenckich może być więc ogromny i pozytywnie wpłynąć na krajową gospodarkę. Jeśli przyjmiemy, że chociaż 1 proc. wydatków gospodarstw domowych zostanie przeznaczony na polskie (a nie importowane) produkty, to na rynku zostanie ponad 6 mld zł rocznie. Dobrą wiadomością jest zapewne to, że z roku na rok wzrasta poziom konsumenckiego patriotyzmu Polaków. Ponad 20 proc. naszych wydatków w handlu detalicznym to żywność i artykuły spożywcze. Wybierając produkty ze względu na ich pochodzenie, będziemy mieli realny wpływ na to, gdzie trafiają nasze pieniądze. Warto pomyśleć o tym, że zasilają polskich przedsiębiorców, którzy w kraju tworzą miejsca pracy, tutaj płacą podatki i inwestują w rozwój własnych firm. Wybór produktów polskiego producenta jest najlepszą opcją z punktu widzenia naszej gospodarki. Dlatego zatrzymujmy zyski w Polsce i powiększajmy polskie PKB. Wysokość świadczeń społecznych, rent i emerytur, jakość infrastruktury drogowej i komfort życia w państwie zależą bezpośrednio od wpływów do naszego budżetu.

Nie zapominajmy jednocześnie, że nasze jabłka, truskawki, słodycze czy produkty mięsne, to znane na całym świecie artykuły, ważne również z punktu widzenia ambicji eksportowych. Światowa gospodarka ulega zmianom, wiele dogmatów ostatniej dekady czeka zderzenie z postpandemiczną rzeczywistością. Już teraz widać, że zbyt duże uzależnianie od dostaw strategicznych towarów z zagranicy jest ryzykowne. Krótkoterminowe zyski, które wynikają z niskich cen, dla narodowych rynków stanowią problem w sytuacjach kryzysowych.

Ministerstwo Aktywów Państwowych, któremu podlegają spółki skarbu państwa, doskonale rozumie, jak ważne dla naszej przyszłości są krajowe zasoby surowców, żywności i energii. Dzięki polityce ukierunkowanej na interes państwa na przestrzeni ostatnich lat umocniliśmy kondycję narodowych czempionów, którzy teraz aktywnie wspierają nas w walce z epidemią koronawirusa. Wykorzystajmy to, że polska gospodarka postrzegana jest jako najbardziej odporna na obecny kryzys w UE. Nasze świadome wybory oraz efektywna współpraca rządu, przedsiębiorców i klientów pomogą nam wygrać ze spowolnieniem gospodarczym wywołanym koronawirusem i zadbać o konkurencyjność naszego rynku.

Dlatego „Kupuję, bo polskie”! ●

eprasa.pl a4f1a0e949



Kupując polskie, pomagamy przetrwać naszym rolnikom

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI
MINISTER ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

W czasach kryzysowych, w sytuacjach skrajnych, wiele zjawisk i rzeczy wymaga nowego podejścia. Koncepcja skrajnego liberalizmu nie wytrzymała próby czasu. Pandemia koronawirusa obnażyła nie tylko ludzkie postawy, ale i niedoskonałości dotychczasowego funkcjonowania całej gospodarki światowej.

Idea swobodnej wymiany towarowej jest piękna, ale jej realizacja w praktyce zakłóca sprawiedliwy rynek. Dopuszczane są do wspólnotowego rynku rolnego produkty z krajów trzecich, w których reżimy produkcyjne, obowiązujące europejskich rolników, nie są przestrzegane. To zakłóca warunki konkurencji.

Rolnictwo jest specyficzną gałęzią gospodarki. W tym sektorze bardzo dużo zależy od warunków pogodowych. Sama wiedza, zaangażowanie rolników, ich staranność i dbałość mogą być szybko zniweczone w ciągu bardzo krótkiego czasu, np. wskutek przymrozków, deszczy nawalnych, powodzi czy suszy. Obecne zmiany klimatyczne cechuje rosnąca gwałtowność niekorzystnych zjawisk pogodowych.

Koronawirus pokazał, jak ważne jest w tym momencie bezpieczeństwo żywnościowe. Dzięki polskim rolnikom nie grozi nam dodatkowe nieszczęście w postaci braku podstawowych artykułów żywnościowych. Jesteśmy krajem o bardzo dużym potencjale produkcji rolnej i znaczna jej część jest eksportowana. Są segmenty rynku, np. rynek mięsa wołowego, gdzie wysyłamy ok. 80 proc. naszej produkcji. W odniesieniu do mięsa drobiowego jest to ok. 60 proc.

Ograniczenia w wymianie handlowej, perturbacje w transporcie międzynarodowym spowodowały, że część tej produkcji pozostaje na rynku wewnętrznym.

W tych warunkach nowego wymiaru nabiera pojęcie patriotyzmu. Dziś jest to patriotyzm gospodarczy.

W związku z pandemią zmieniły się bardzo warunki naszej pracy. Bardzo ucierpiały branże gastronomiczna i hotelarska. To są liczący się odbiorcy żywności. Zrozumiałe są względy bezpieczeństwa zdrowotnego i konieczność przestrzegania zasad higienicznych, wielu ograniczeń związanych z zasadami higienicznymi i zachowaniami społecznymi.

Dlatego tak istotne jest, aby wspierać różne branże tam, gdzie to jest możliwe. Musimy pamiętać o tym, że w tych branżach być może pracują nasi bliżsi lub dalsi krewni, którzy teraz nie mają możliwości pracy. Nasz patriotyzm gospodarczy powinien się przejawiać szczególnie teraz, w tych skrajnych warunkach. Kupując polskie produkty, pozwalamy przetrwać naszym rolnikom, przetwórcom, producentom. Robiąc codzienne zakupy, utrzymujemy miejsca pracy. Jeżeli nie możemy iść do restauracji, to możemy zamówić jedzenie do domu. Możemy kupić również produkty żywnościowe, które są oferowane w coraz większym zakresie za pośrednictwem internetu.

Przestrzegając obowiązujących zasad, możemy też bezpiecznie dokonywać bezpośrednich zakupów w najbliższej okolicy, np. na bazarkach. Dzięki takiej postawie środki do życia mają wszyscy uczestnicy łańcucha żywnościowego. To pozwala minimalizować skutki gospodarcze w skali całego kraju.

Ważnym argumentem do robienia zakupów polskiej żywności są też walory smakowy i jakościowy. Nie bez przyczyny nasze produkty cieszą się tak dużym uznaniem w bardzo wielu krajach świata. Już dawno minęły czasy, że zachwycaliśmy się wszystkim, co zagraniczne. Nie musimy się wstydzić naszych produktów. Są one bardzo smaczne, mają bardzo dobrą jakość i są wytwarzane według starych, sprawdzonych receptur. Rolnictwo to system naczyń połączonych. Trudno oddzielić produkcję roślinną od zwierzęcej. One się uzupełniają. Naszą charakterystyczną cechą jest zrównoważony typ rolnictwa. Kiedyś wyśmiewano się z tego i uważano, że jest to przejaw zacofania. Dziś to właśnie ten typ rolnictwa stawiany jest za wzór. Rodzinne gospodarstwa rolne są odpowiedzią na wyzwania współczesności. To one są przeciwwagą dla rolnictwa przemysłowego, w którym nadrzędnym celem jest maksymalizacja zysku. Nie są to dobre rozwiązania dla przyrody, środowiska naturalnego, wspólnot lokalnych i dla nas samych.

Dlatego zachęcam do korzystania z oferty polskich rolników, przetwórców, bo to wspiera naszą gospodarkę i w efekcie pozwoli nam wszystkim przejść ten trudny czas przy najmniejszych stratach.

A że zbliżają się wakacje, z pewnością inne od poprzednich, to zachęcam do korzystania z oferty agroturystyki. To miejsca cudowne, bez zgiełku, ale ze wspaniałą polską kuchnią i bliskim kontaktem z przyrodą. W ten sposób też wspomagamy polskich rolników i całą naszą gospodarkę. ●

eprasa.pl a4f1a0e949

Po co nam akcja „Kupuję, bo polskie”

Niech nasze pieniądze zostaną nad Wisłą!

Polska w skali europejskiej jest na tyle dużym krajem, że może budować swoje przewagi konkurencyjne w oparciu o własne zasoby wytwórcze, a kapitał pomnażać dzięki dużemu rynkowi wewnętrznemu. To ważne atuty, ale ich wykorzystanie zależy od tego, na ile polscy konsumenci, a więc my wszyscy, będziemy świadomi, jak ważne do budowy polskiego bogactwa są nasze codzienne wybory zakupowe

Wspieranie polskich producentów poprzez świadomy wybór rodzimych produktów było w ostatnich kilku latach ważnym czynnikiem prorozwojowym, przyczyniającym się do imponującego w skali świata wzrostu naszego PKB. Za to dziś kupowanie tego, co polskie, nabrało szczególnego, jeszcze ważniejszego niż wcześniej znaczenia, może bowiem nas uchronić przed zbyt głęboką recesją spowodowaną wywołanym pandemią krachem gospodarczym i pomóc szybko wkroczyć ponownie na ścieżkę wzrostu.

Rolą odpowiedzialnych społecznie środków masowego przekazu powinno być w obecnych czasach kolportowanie wiedzy o możliwościach, jakimi dysponuje każdy polski konsument do tego, by wspomóc swoją ojczyznę w procesie wychodzenia z kryzysu. Media skupione w Grupie Wydawnictwa Fratria od lat starają się wspierać i upowszechniać idee gwarantujące suwerenność i bezpieczeństwo Polski, także w obszarze gospodarczym, co w czasach konfliktów toczonych nie na polach bitew, ale w obszarze korporacji i ich stref wpływów jest warunkiem sine qua non niepodległości naszej ojczyzny.

Dlatego należący do Grupy Fratria portal wGospodarce.pl postanowił wznowić zainicjowaną kilka lat temu akcję „Kupuję, bo polskie”. Chcemy dzięki niej wspierać polskich producentów poprzez promowanie ich produktów i namawiać czytelników i internautów do świadomych zakupów, które pomogą nam wszystkim uchronić się przed zgubnym wpływem kryzysu gospodarczego wywołanego koniecznym zamrożeniem wielu sektorów i branż, czego niestety wymagała walka z pandemią koronawirusa. Artykuły na ten temat publikujemy na stronie www.wgospodarce.pl/tagi/kupuje-bo-polskie.

Z raportu przygotowanego przez Grant Thornton na zamówienie kampanii edukacyjnej „Wybieram 590” dowiadujemy się, iż wystarczy, aby polscy konsumenci zaczęli wydawać tylko 1 proc. środków więcej na polskie produkty, by w naszej gospodarce pozostawało rocznie więcej aż o 6,6 mld zł. Wynika to z tego, że z każdej złotówki wydanej na produkt polskiej firmy produkującej w Polsce do obiegu naszej gospodarki wraca aż 79 gr. W przypadku zakupu towaru, jaki zagraniczna firma produkuje w Polsce (co ważne, taki produkt również jest oznaczonym kodem kreskowym rozpoczynającym się od prefiksu „590”), zostają u nas już tylko 62 gr. Jeżeli wybierzemy towar polskiej firmy, ale produkowany za granicą, to wraca do nas 56 gr. Jak można się spodziewać, najmniej nasza gospodarka zyskuje, gdy wybieramy towar wyprodukowany przez zagraniczną firmę poza Polską – zostaje u nas tylko 25 gr z każdej złotówki.

Jak wyliczył Grant Thornton, wartość konsumpcji w Polsce wyniosła w 2018 r. 1 bln 216,3 mld zł. Stąd właśnie wynika, że każdy jednoprocentowy wzrost konsumpcji towarów produkowanych w Polsce przez Polaków (79 gr z 1 zł wraca do gospodarki) kosztem produktów zagranicznych (zostaje w Polsce jedynie 25 gr z 1 zł) przyniósłby naszej gospodarce 6,6 mld zł, oczywiście na poziomie wartości konsumpcji tożsamej z wynikiem roku 2018.

Powyższe wyliczenia pokazują, że mamy naprawdę spore możliwości samodzielnego uchronienia się przed nadmiernym kryzysem i olbrzymie rezerwy finansowe, które mogłyby zostać uruchomione do wsparcia gospodarki przy skutecznym wylansowaniu mody na polskie produkty i patriotyzm zakupowy.

Warto się zatem włączyć w naszą akcję „Kupuję, bo polskie” i wybierać z półek jak najwięcej tych towarów, których zakup sprawi, że nasze pieniądze nie zostaną wytransferowane za granicę, ale zostaną nad Wisłą i pomogą nam jak najszybciej wznowić pogoń za najbogatszymi państwami świata. ●

(BZ)

eprasa.pl a4f1a0e949

Kupuję, bo polskie

Dekalog konsumenckiego patriotyzmu

Jak kupować polskie?

Na podstawie artykułów, wywiadów i informacji zebranych w ramach projektu „Kupuję, bo polskie" postanowiliśmy przygotować pierwszy dekalog konsumenta chcącego wesprzeć polskich producentów, usługodawców i polskie produkty. To zbiór kilku prostych rad, jakich wyborów dokonywać, na co zwracać uwagę i jak postępować, by w codziennym życiu pomóc firmom, które płacą w Polsce podatki, zatrudniają pracowników w Polsce i inwestują zyski tu – na miejscu. Wystarczy się rozejrzeć wokół nas, przejrzeć nasze rachunki, by się przekonać, w ilu miejscach możemy zmienić swoje decyzje i skorzystać z usług polskich firm.

1. Zawsze staraj się kupować przede wszystkim polskie produkty.
2. Naucz się rozpoznawać polskie produkty na półkach sklepowych.
3. Jeżeli masz wybór, korzystaj z polskich usługodawców – kurierów, operatorów telekomunikacyjnych, dostawców mediów, polskich sieci handlowych, tankuj na polskich stacjach benzynowych.
4. Sprawdź, czy firma, z której usług i produktów korzystasz, jest firmą działającą i zarejestrowaną w Polsce. Sprawdź, czy główna siedziba danego producenta mieści się w Polsce.
5. Wspieraj polskie media – kupuj te gazety i odwiedzaj te strony internetowe, które należą w 100 proc. do kapitału polskiego.
6. Pamiętaj o mechanizmie obiegu pieniądza w gospodarce – jeżeli polski produkt jest nieznacznie droższy od zagranicznego, pamiętaj, że warto wydać nieco więcej, gdyż pieniądze te wrócą do ciebie w postaci świadczeń socjalnych czy wyższej emerytury – zostaną w Polsce, a nie będą odprowadzone jako zysk za granicę.
7. Pamiętaj, że dziś w pełni polski produkt oznacza zazwyczaj wysoką jakość – nie jest tworzony z użyciem najtańszych podzespołów importowanych z drugiego końca świata, a w przypadku żywności jest zazwyczaj dużo zdrowszy niż towary, które przebyły do Polski długą drogę.
8. Sprawdzaj, czy producent wybranego przez ciebie produktu uczciwie płaci w Polsce podatki, informacje o tym znajdziesz na stronach rządowych.
9. Aktualizuj swoją wiedzę o polskich produktach – pamiętaj, że wiele tradycyjnych polskich marek, które często kojarzymy od najmłodszych lat, już od dawna nie należy do polskich producentów.
10. Promuj swoją propolską konsumencką postawę wśród rodziny i znajomych, zachęcaj innych, by także wybierali polskie produkty, uświadamiając im, jak wiele od tego zależy. Promuj polskie produkty za granicą i wszędzie, gdzie jesteś – każdy z nas jest najlepszym ambasadorem polskich marek, produktów i usług.

W ramach kampanii „Kupuję, bo polskie" chcemy przygotować zestaw porad, zasad, podpowiedzi nie tylko dla konsumentów, lecz także dla przedsiębiorców. Ten dekalog to nasza propozycja – wierzymy jednak, że uzupełniony o głosy czytelników może się stać zbiorem cennych rad dla nas wszystkich. Zapraszamy do współtworzenia dekalogów „Kupuję, bo polskie". Czekamy na opinie i komentarze pod adresem e-mail: **kupujebopolskie@fratria.pl**. ●

Reklama | 9/0520/F

eprasa.pl a4f1a0e949

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



eprasa.pl a4f1a0e9

Kupuję, bo polskie

ANNA RACINIEWSKA

Łączymy siły dla zdrowia i bezpieczeństwa Polaków

W czasie pandemii nauczyliśmy się funkcjonować w nowej rzeczywistości i wiemy już teraz, że niektóre nowe zwyczaje pozostaną z nami na dłużej. Zanim świat uodporni się na COVID-19, naszą codziennością będzie noszenie masek i rękawiczek jednorazowych, częstsze odkażanie rąk i powierzchni, zachowywanie dystansu. To nie jest duża cena za bezpieczeństwo i zdrowie

Bardzo istotne jest to, że w krótkim czasie zmobilizowaliśmy swoje siły, aby Polakom nie zabrakło środków ochrony: tych codziennych, a także tych potrzebnych w służbie zdrowia. Pamiętamy zagubienie społeczeństwa na początku pandemii: puste półki w sklepach, gdzie zabrakło papieru toaletowego i mydła. A także poszukiwania masek i środków odkażających, które dotąd nie były na liście zakupów. Ten kryzys udało się szybko zażegnać dzięki dostawom z zagranicy uzupełniającym braki, ale przede wszystkim dzięki wysiłkowi polskich spółek skarbu państwa, które rozpoczęły własną produkcję i dystrybucję tych środków wśród Polaków.

Oblicze stacji paliwowych przeobrażało się już od kilku lat. Polacy zaprzyjaźnili się z możliwością robienia zakupów na stacjach, których gęsta sieć jest zawsze po drodze. Dostępność punktów pierwszej potrzeby okazała się równie korzystna, gdy na stacjach PKN Orlen pojawił się wyprodukowany przez spółkę płyn do dezynfekcji rąk. Od początku starano się jak najszybciej nasycić rynek w związku z olbrzymim zapotrzebowaniem. Dziś płyn dostępny jest już na wszystkich stacjach koncernu w całej Polsce. To wynik dużej mobilizacji i przestawienia sił produkcyjnych na wytwarzanie dużych ilości płynu.

PKN Orlen zwiększa dostępność produktów wytworzonych w Polsce na swoich stacjach, świadomie wybierając dostawców, rozszerza współpracę z kolejnymi krajowymi producentami. Do oferty dołączyły maski zwiększające ochronę przed koronawirusem od dwóch polskich dostawców. Ta współpraca to nie tylko zabezpieczenie rynku produktów ważnych dla Polaków. To wyraz patriotyzmu gospodarczego, który na nowo odkrywamy w trudnym okresie walki z COVID-19: wybieranie produktów naszych rodzimych firm pozwoli im kontynuować produkcję i utrzymać miejsca pracy.

Dystrybucja towarów w sieci detalicznej Orlen – liczącej niemal 1,8 tys. stacji w całej Polsce – jest szansą dla małych, niejednokrotnie rodzinnych firm na utrzymanie się na rynku w obecnej trudnej sytuacji. Obecnie już 85 proc. produktów dostępnych na stacjach pod marką Orlen zostało wytworzonych u nas w Polsce.

Ta współpraca z rodzimymi przedsiębiorstwami nie tylko wzmacnia polską gospodarkę, ale jest także zgodna z oczekiwaniami klientów odwiedzających stacje Orlenu. Badania jednoznacznie wskazują, że Polacy doceniają współpracę z lokalnymi przedsiębiorcami. Pandemia pomogła nam odkryć, że hasło „Kupuję, bo polskie" to więcej niż slogan. Towar z importu, którym zachłysnęliśmy się po transformacji, z biegiem lat utracił zaufanie polskich konsumentów. Dziś widzimy, że nasze rodzime produkty są jakościowo dobre, a także, że jest ich wystarczająco dużo, aby mogły zaspokoić nasze potrzeby. Ponadto zwracamy uwagę nie tylko na jakość i cenę, ale patrzymy również na etykę działania firmy, odpowiedzialność społeczną czy tworzenie nowych miejsc pracy w naszym otoczeniu. Potwierdzają to wyniki badań wskazujące, że prawie 90 proc. Polaków do zakupu danego produktu zachęca informacja o jego krajowym pochodzeniu. Jednocześnie polscy konsumenci są coraz bardziej świadomi: sprawdzają certyfikaty, upewniając się, czy produkt jest rzeczywiście polski, czyli od firmy, która płaci w Polsce podatki i napędza naszą gospodarkę.

Badania odkrywają jeszcze jedno: wg Instytutu Kantar 75 proc. Polaków oczekuje aktywnego zaangażowania we wsparcie polskich producentów od krajowych potentatów, takich jak PKN Orlen. Chcemy wzmocnić nasz indywidualny wybór siłą i zasięgiem dużych koncernów. Uważne i odpowiedzialne firmy podążają za tym trendem, a to owocuje pojawieniem się na półkach stacji Orlen nowych produktów. Od niedawna można na nich znaleźć wielorazowe maski ochronne wspierające zabezpieczenie przed za-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 34/0420/F

eprasa.pl a4f1a0e949



rażeniem koronawirusem od dwóch polskich firm – Brubeck i Teofilów. To wysokiej jakości, w pełni polskie produkty.

Firma Brubeck istnieje na polskim rynku od 2005 r. W zakładzie w Zduńskiej Woli produkuje bieliznę termoaktywną. Kiedy nadeszła pandemia i gospodarka wyhamowała, przestały przychodzić zamówienia.

– Ostatnie miesiące wymagały od nas dużo pracy i determinacji, aby nauczyć się funkcjonowania w nowej rzeczywistości. Aby nasza dotychczasowa wiedza i praca nie poszły na marne, szukaliśmy niszy, w której przetrwamy trudny czas. Podczas pandemii wzrosło zapotrzebowanie na maseczki, a my mieliśmy zapas materiału, który pozwolił stworzyć nam produkt o wysokiej jakości: maseczkę permanentnie antybakteryjną dzięki umieszczonym w niej na stałe jonom srebra. Maski produkowane w innych technologiach tracą swoje właściwości antybakteryjne po kilkunastu praniach, bariera ochronna w naszym produkcie jest praktycznie niezniszczalna. Sam pomysł i produkcja to jeszcze nie wszystko. Potrzebny jest przede wszystkim stabilny partner, który zaufa temu pomysłowi. I tu z pomocą pojawił się Orlen, dzięki któremu nie tylko mamy szansę utrzymać się na rynku, ale i zachować 400 miejsc pracy – podkreśla rolę współpracy Dominik Kosuń, dyrektor zarządzający Brubeck.

Ostatnie sześć tygodni zakład pełną parą produkuje maski z funkcyjnych mikrowłókien zapewniające trwałe działanie osłonowe, a jednocześnie pozwalające na swobodne oddychanie. Współpraca z Orlenem pozwoliła przetrwać firmie najtrudniejszy okres. A wraz z odmrażaniem gospodarki pojawiają się pierwsze zlecenia na bieliznę termoaktywną i zakład płynnie wraca do produkcji związanej z jej głównym biznesem.

Teofilów to polska firma z blisko 50-letnią tradycją w produkcji i sprzedaży dzianin z certyfikatami potwierdzającymi najwyższą klasę produktu – z przeznaczeniem na ubranka dla dzieci i niemowląt. W tym trudnym okresie spółka wykorzystuje swoje doświadczenie dla poprawy bezpieczeństwa całego polskiego społeczeństwa, ale też wykorzystuje szanse własnego rozwoju. Zamknięcie granic odcięło dopływ kiepskiej jakości dzianin z odległych rynków, co stało się okazją, aby Polacy zobaczyli, jak wartościowe towary tekstylne mamy tu na miejscu, jak niezależni możemy się stać, stawiając na pełny zakres krajowej produkcji. W momencie pojawienia się w Polsce pierwszych przypadków zachorowań na COVID-19 firma rozpoczęła prace technologiczne, testy, a następnie szycie masek ochronnych wielorazowego użytku. Maski wykonywane są w szwalniach, które dzięki zleceniom mogą nie zawieszać swojej działalności. Aby zapewnić ich dystrybucję, firma Teofilów podjęła współpracę z PKN Orlen.

– Jesteśmy przekonani, że zdecydowanie łatwiej przejść przez kryzys, kiedy polskie firmy wspólnie łączą siły, aby przeciwdziałać skutkom pandemii. Wierzymy, że współpraca ta umożliwi nam szybkie dotarcie z naszym produktem do szerokiego grona odbiorców, poszukujących najwyższej jakości produktów oraz pozwoli na dalszy rozwój naszej firmy oraz wzrost produkcji wyrobów tekstylnych w Polsce – uważa Mariusz Trzciałkowski, prezes zarządu Teofilów.

Trudny okres pandemii – jak każdy kryzys w historii Polski – wydobył z Polaków solidarność, która pokazała, jak ważny jest patriotyzm gospodarczy. Warto, by te zasady współpracy pozostały naszym standardem, kiedy już minie zagrożenie koronawirusem. ●

eprasa.pl a4f1a0e949

ARKADY SAULSKI

Polskie firmy nie boją się zmian

„Oczekuj nieoczekiwanego" – to amerykańskie powiedzenie wydaje się obecnie aktualne bardziej niż kiedykolwiek. Niespodziewana pandemia pociągnęła za sobą nie tylko problemy zdrowotne milionów ludzi, ale co najmniej równie poważne trudności gospodarcze. Polacy jednak pokazują, że nie boją się trudnych sytuacji i nasze firmy nie tylko szybko adaptują się do nowej sytuacji, lecz niejednokrotnie też potrafią w tym niełatwym czasie zyskać!

Innowacyjne urządzenia medyczne, technologie ratujące życie pacjentom dotkniętym koronawirusem, nanomaseczki, ale też... rowery czy zwyczajna konsumencka czujność! Choć takie hasła raczej kojarzą się z gospodarką czasu prosperity, to dotyczą one zaledwie ostatnich kilku miesięcy kryzysu wywołanego pandemią koronawirusa! Polscy przedsiębiorcy nie tylko nie ulękli się trudności, ale zdecydowali się zainwestować w śmiałe, innowacyjne rozwiązania, na których korzystają zarówno ich firmy, jak i cała gospodarka!

OPEN SOURCE I HEŁM RATUJĄCY ŻYCIE

Pierwsze tygodnie pandemii były wyjątkowo dramatyczne – chorych przybywało, szpitale były w wielu krajach przepełnione, a największe dramaty rozgrywały się tam, gdzie brakowało respiratorów do ratowania najbardziej dotkniętych chorobą. Tym bardziej imponujące jest, że polska inicjatywa VentilAid potrzebowała zaledwie kilku dni, by wypracować nie tylko innowacyjne rozwiązanie dla szpitali, ale też przekazać je w formule open source, po to by była jak najszerzej dostępna. Nieduży kompaktowy respirator, który można wdrożyć szybko do masowej produkcji dzięki technologii druku 3D – czy to w ogóle możliwe? VentilAid pokazało, że owszem – tak!

– Nikt o tym wcześniej nie pomyślał. Nie było takiej potrzeby, rynek podobnych urządzeń był jasno podzielony, istniały procedury, konkretny system oceniania, ale i pakiet chorób, które z grubsza znaliśmy. COVID-19 wywrócił stolik i zupełnie zmienia reguły gry – mówi nam Bartosz Wilk, rzecznik prasowy VentilAid. Obecnie technologia jest już w kolejnej generacji zaawansowania. To wszystko, podkreślmy znowu, w ciągu nieco ponad dwóch miesięcy!

Innym rozwiązaniem jest ratujący życie... hełm! Stworzony przez Łukasza Wróblewskiego z Centralnego Szpitala Klinicznego Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i testowany przez lekarzy oraz studentów WUM jest odpowiedzią naukowców na zalecenia towarzystw intensywnej terapii.

– Ta forma tlenoterapii i wsparcia oddechowego wydaje się dobrą alternatywą dla innych metod wentylacji nieinwazyjnej, zwłaszcza w dobie ograniczania bezpośredniego kontaktu z potencjalnie zakaźnym powietrzem wydychanym przez pacjenta. W Polsce ten sposób wentylacji nieinwazyjnej nie jest szeroko rozpropagowany głównie z powodu wysokich kosztów jednorazowych hełmów, a obecnie również z powodu braku możliwości ich zakupu – mówi dr Wróblewski.

Jednak nasi innowatorzy i biznesmeni tworzą rozwiązania nie tylko ratujące życie, lecz również pozwalające dbać o zdrowie na co dzień – takim rozwiązaniem jest pierwsza polska nanomaska stworzona przez Norberta Duczmala. Jej powierzchnia pokryta jest specjalną powłoką zabijającą wirusy, unicestwiającą bakterie. Zabezpiecza przed zanieczyszczeniami, alergenami, pyłami, grzybami i pleśnią. Bezcenny wynalazek, zwłaszcza teraz, gdy maseczki są niezbędnym elementem podczas wychodzenia z domu!

ROWERY I PATRIOTYZM KONSUMENTA

Skoro o dbaniu o zdrowie mowa – w dzisiejszych czasach warto myśleć o poprawie kondycji, a jak lepiej o nią dbać jak nie na rowerze? A jeśli rower, to najlepiej od polskiego producenta. O ile nie wszystkie elementy rowerów są wytwarzane w naszym kraju, a sporo z nich jest sprowadzanych z Azji, o tyle nie znaczy to, że nie ma polskich wytwórców – są nawet tacy, którzy się starają, by rower powstał prawie całkowicie z części wyprodukowanych w Polsce. Jest też grupa firm, które produkują np. rowery dla osób niepełnosprawnych, tandemy, rikksze, mobilne bary, rowery zjazdowe, ale także miejskie i inne. Oczywiście oni też często korzystają z ogólnodostępnych części, produkowanych przez największych światowych producentów, ale sam projekt roweru oraz jego rama

eprasa.pl a4f1a0e949

są przygotowywane w Polsce, często na indywidualne zamówienie. W ub.r. w Podgrodziu k. Dębicy powstała fabryka ram i elementów rowerowych z aluminium i kompozytów. To pierwszy w Polsce i drugi w Europie zakład, który może produkować 400 tys. szt. ram rocznie. Powstają tam też obręcze do kół, będą produkowane również wsporniki do siodełek i kierownice. Produkcja będzie w całości przeznaczona na rynki polski i europejski.

DOBRE, BO POLSKIE

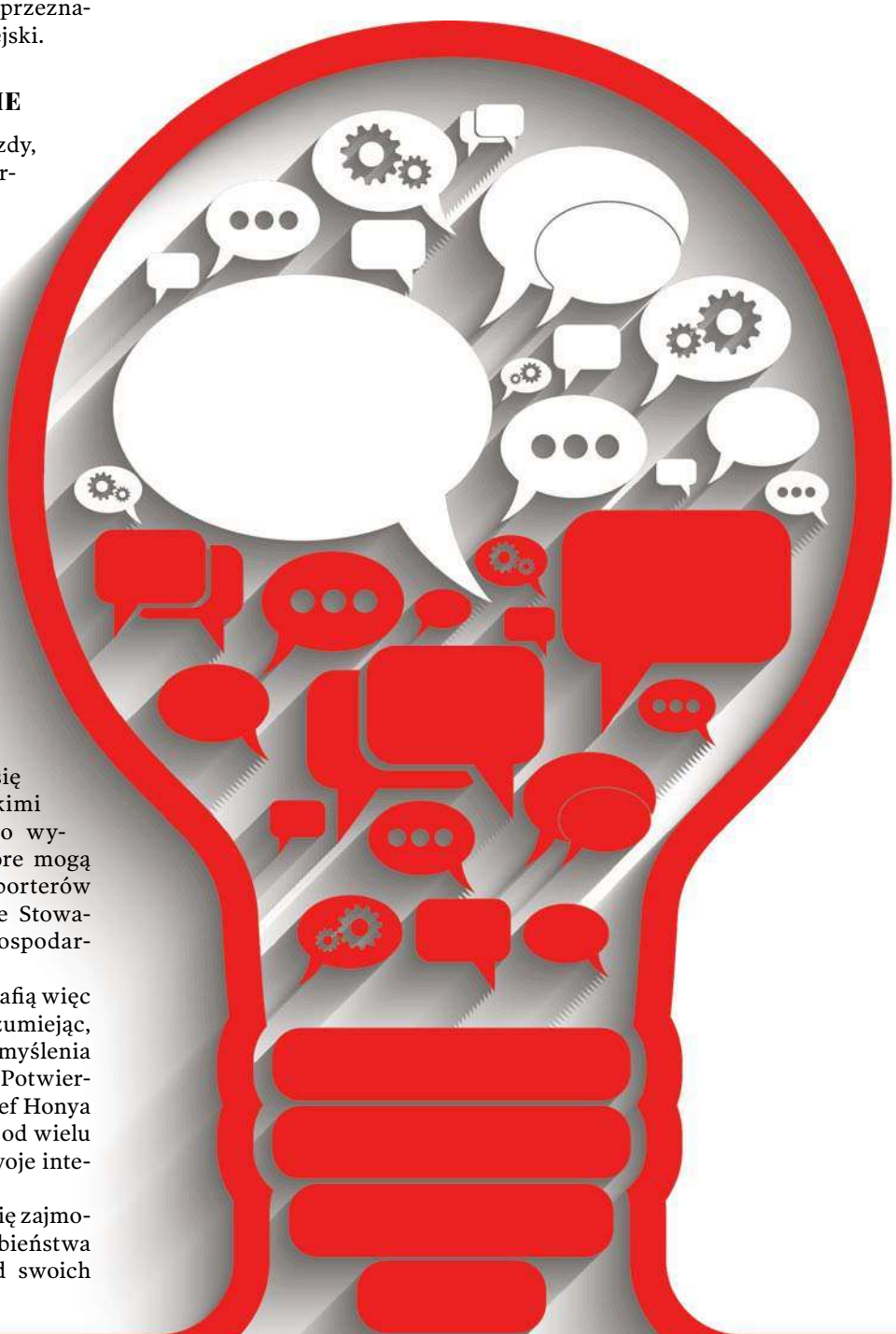
Jednak by mieć siłę do jazdy, trzeba też dobrze zjeść. Warto więc wskazać, że nie tylko nasi biznesmeni dostosowują się do nowych czasów, lecz także konsumenci wypracowują nawyki patriotyzmu gospodarczego. Aż 88 proc. ankietowanych przez Hiper-Com Poland wskazuje, że od początku epidemii częściej sprawdza etykiety, po to by móc nabywać polskie warzywa, owoce i inne produkty. Co ważne, owe produkty cieszą się większym zaufaniem klientów. Powiedzenie „dobre, bo polskie" ma nie tylko sens, ale też wymierną, ekonomiczną wartość!

– W dobie kryzysu nasila się solidarność społeczna z polskimi wytwórcami. Potwierdzają to wyniki niniejszego badania, które mogą poważnie zaniepokoić importerów – uważa Andrzej Faliński ze Stowarzyszenia „Forum Dialogu Gospodarczego".

Polscy przedsiębiorcy potrafią więc poradzić sobie z kryzysem, rozumiejąc, jak ważna jest umiejętność myślenia poza utartymi schematami. Potwierdza to Robert Tarantowicz, szef Honya Europe, polski przedsiębiorca od wielu lat z sukcesem prowadzący swoje interesy w kooperacji z Azją.

– Ludzie biznesu powinni się zajmować rachunkiem prawdopodobieństwa w praktyce. Zbierać dane od swoich klientów, pytać o nastroje i na podstawie tego adaptować biznes do nowych warunków – mówi przedsiębiorca. – To, co wczoraj było oczywiste, dziś może się okazać nieaktualne i brak właściwej reakcji może doprowadzić do upadku. Mój wniosek jest prosty: postawić na sprzedaż, zainwestować w sprzedaż, mieć otwartą głowę.

Taka postawa widoczna jest już u polskich biznesmenów i pozwala założyć, że nasz kraj z kryzysem poradzi sobie lepiej niż inne, dotknięte nim państwa. Innowacyjność, gotowość wsparcia walczących z wirusem, otwartość na nowe pomysły, wreszcie patriotyczne nastawienie konsumentów – to wszystko działa na naszą korzyść. ●



eprasa.pl a4f1a0e949



Energia bezpieczeństwa

Fot. Shutterstock

ARKADY SAULSKI

W czasie epidemii i kwarantanny działalność segmentu energetycznego nabrała szczególnego znaczenia. Dostawy energii do domów, szpitali, przychodni, placówek medycznych czy punktów kwarantanny odbywają się dzięki wysiłkom setek ludzi, każdego dnia pracujących w niełatwych warunkach czasu pandemii. Polskie koncerny energetyczne jednak nie tylko dostarczają nam każdego dnia prąd, ale też podejmują inne działania na rzecz pokonania zagrożenia epidemiologicznego.

Gdy w marcu br. do Polski dotarł koronawirus, Grupa Enea, jak większość polskich firm, podjęła natychmiastowe działania na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa zarówno swoim klientom, jak i pracownikom. Dostosowano model organizacji pracy ponad 16,5 tys. pracowników, po to by zapewnić im maksymalne bezpieczeństwo przy zachowaniu ciągłości działania całej Grupy. Enea jest bowiem ważną częścią systemu elektroenergetycznego Polski i gwarantem strategicznego bezpieczeństwa państwa, a co za tym idzie – stałych dostaw energii elektrycznej.

– Wiemy, jak ważna jest w dzisiejszych czasach ciągłość dostaw energii elektrycznej. W sytuacji ogólnopolskiej walki z rozprzestrzenianiem koronawirusa czujemy dodatkową odpowiedzialność – Grupa Enea jest gotowa, aby sprostać temu wyzwaniu. Do naszej sieci podłączone są szpitale, ważne zakłady pracy, a także miliony gospodarstw domowych, które dla części naszego społeczeństwa stały się miejscami pracy. Nasi pracownicy 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu dbają o bezpieczeństwo dostaw energii – mówił prezes Enei Mirosław Kowalik.

Enea zapewniła swoim pracownikom możliwość pracy zdalnej. W przypadku energetyki nie wszędzie było jednak to możliwe, dlatego w obszarach wytwarzania i dystrybucji wprowadzono podział na trzy grupy z cotygodniową rotacją, zaplanowaną tak, by poszczególne grupy pracowników nie spotykały się ze sobą. W należących do Grupy elektrowniach Kozienice oraz Połaniec wprowadzono dodatkowe środki ostrożności, chociażby podzielenie terenów tych miejsc na strefy, w których mogli się poruszać tylko pracownicy z konkretnych grup. Tak precyzyjne rozwiązania wzmocniły poziom bezpieczeństwa pracowników Grupy, którzy – podkreślmy – niezmiennie pracują na rzecz dostarczania energii do naszych domów i firm. Rozwiązania i procedury wypracowane przez ostatnie tygodnie będą miały zastosowanie również dziś, gdy znoszone są kolejne obostrzenia związane z epidemią, a pracownicy Grupy stopniowo wracają do pracy w trybie stacjonarnym.

Jednak działania Enei koncentrują się nie tylko na bezpieczeństwie pracowników i klientów. Firma zaangażowała się również w pomoc instytucjom medycznym walczącym z rozprzestrzenianiem się koronawirusa.

Dotychczas Grupa Enea przekazała 3,5 mln zł na wsparcie szpitali walczących z koronawirusem. Za pośrednictwem Fundacji Enea pomoc dotarła już do 30 placówek w całej Polsce, głównie z terenu działania Grupy Enea, ze szczególnym uwzględnieniem tych, które Ministerstwo Zdrowia przekształciło w jednostki zakaźne. Przekazane środki zostały przeznaczone, zgodnie z zapotrzebowaniem szpitali: na sprzęt medyczny, środki higieny i ochrony osobistej. Pomoc rzeczowa przekazywana jest do domów pomocy społecznej i ośrodków pomocy, hospicjów czy szpitalnych oddziałów ratunkowych i służb sanitarnych. Część służbowej floty samochodowej została użyczona szpitalom i jednostkom sanitarno-epidemiologicznym, by wesprzeć obsługę logistyczną i zapewnić szybki transport. Enea wsparła też osoby starsze i samotne z Poznania i powiatu poznańskiego. W załatwianiu codziennych spraw pomagają im wolontariusze – pracownicy koncernu.

– Wszystkie spółki skarbu państwa, nadzorowane przez Ministerstwo Aktywów Państwowych, celująco zdały test z patriotyzmu gospodarczego. Od początku epidemii aktywnie niosły pomoc Polakom, w tym służbom medycznym i porządkowym. Tym samym udowodniły, że kapitał ma narodowość i potrafi wspierać potrzebujących - powiedział Jacek Sasin, wicepremier, minister aktywów państwowych. ●

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 3/0520/F
Autopromocja

eprasa.pl a4f1a0e949

Kupuję, bo polskie

Wyjątkowa akcja tygodnika SIECI miesięcznika GAZETA BANKOWA i portalu wGospodarce.pl



SIECI ORLEN

Naklejka w prezencie!

Przyklej ją na samochód albo – za zgodą właściciela – w witrynie sklepu lub na koszyk/wózek na zakupy

Pokaż innym, że kupujesz polskie produkty!

PAMIĘTAJ!
Twoje codzienne decyzje zakupowe wpływają na całą gospodarkę i sytuację polskich firm

Włącz się do akcji Kupuję, bo polskie – zostań konsumentem patriotą!

eprasa.pl a4f1a0e949

Kupuję, bo polskie

DARIUSZ STYCZEK

Polskie zakupy, to się opłaca

Wysoka dynamika naszego PKB w ostatnim ćwierćwieczu to przede wszystkim zasługa rosnącej z roku na rok konsumpcji wewnętrznej. To ona, obok eksportu, napędza polską gospodarkę. Główna w tym zasługa rodzimych produktów i usług, coraz częściej wybieranych przez polskich konsumentów

Przez minione pięć lat Polska cieszyła się gospodarczym prosperity niespotykanym przez dziesięciolecia. Świadczą o tym choćby wskaźniki dynamiki PKB. W 2015 r. wzrost gospodarczy wg danych GUS wyniósł 3,9 proc., w 2016 r. – 2,9 proc., 4,8 proc. w 2017 r. a w latach 2018 i 2019 odpowiednio 5,1 i 4 proc.

Źródła tak dobrej koniunktury są zasadniczo dwa: po pierwsze, rosnący eksport i konsumpcja wewnętrzna, napędzana coraz większym rynkiem pracy i wyższymi wynagrodzeniami oraz inwestycjami. Po drugie, rosnący popyt wewnętrzny, wynikający z coraz wyższych dochodów.

POLSKA PRODUKCJA NA RYNEK

Każdy konsument w dobie globalnej gospodarki i wolnego przepływu towarów ma wybór co do tego, w jaki sposób rozdysponować swój dochód – kupić potrzebny mu produkt produkcji krajowej albo zagranicznej. Żeby taki wybór był możliwy, polski przemysł, rolnictwo czy sektor usług muszą mieć odpowiednio wysoki udział w tworzeniu PKB.

Co to oznacza w praktyce? Otóż rodzimi producenci muszą przede wszystkim dostarczyć na rynek produkty w konkurencyjnej cenie, jakości i designie. Tylko w ten sposób mogą przekonać do zakupu polskiego produktu.

Kluczem jest utrzymywanie wysokiego udziału przemysłu w tworzeniu PKB. I na razie tak się dzieje. Polska jest jednym z najbardziej uprzemysłowionych krajów UE, zajmujemy pod tym względem siódme miejsce (udział w PKB to ok. 22 proc.). W Wielkiej Brytanii, we Francji czy w krajach południowych, których gospodarki opierają się głównie na usługach, udział przemysłu w PKB jest mniej więcej dwa razy mniejszy niż nad Wisłą.

Mamy więc wysoki udział przemysłu w tworzeniu PKB, a to jest podstawa, by konsumenci kupowali rodzime produkty. Niekwestionowanym liderem w tym zakresie jest przemysł rolno-spożywczy. Liderzy rynku artykułów spożywczych – największe sieci handlowe – chwalą się od lat, że ponad 80 proc. produktów na ich sklepowych półkach pochodzi z Polski. Zatem można domniemywać, że te właśnie produkty najchętniej kupują Polacy.

Ale to nie wszystko. Wśród wytwórców dóbr trwałego użytku polski przemysł meblarski i wyposażenia wnętrz nie ma w krajowym rynku poważnych konkurentów. Rodzime kanapy, stoły czy zestawy kuchenne cieszą się największym powodzeniem wśród konsumentów.

Coraz chętniej kupujemy jednak nie tylko krajowe produkty, lecz również usługi. Przykładem są usługi bankowe, które po repolonizacji paru banków znów są w większości w polskich rękach. A sektor finansowy dokłada co roku do krajowego PKB kilka procent.

WYMIERNE KORZYŚCI

Co z tego wynika dla gospodarki jako całości, że Polacy preferują zakup wytwarzanych na miejscu produktów lub usług? Benefity z kupowania tego, co polskie dotyczą zarówno konsumentów, jak i ich dostawców – firm wytwórczych czy handlowo-usługowych.

Hasło, według którego kupując polskie produkty, tworzymy miejsca pracy, nie jest puste. Średnio co czwarta wydana złotówka na gotowy produkt, tworząca przychód przedsiębiorcy, jest przeznaczana na inwestycje, w tym na tworzenie nowych stanowisk pracy i zakup dóbr inwestycyjnych. A te posłużą do dalszego zwiększania wolumenu produkcji. Zatem jest to koło zamachowe rozwoju polskich firm.

Istnieją również pośrednie efekty gospodarcze kupowania polskich towarów. Jednym z nich jest wzrost konkurencyjności naszych produktów za granicą, wynikający m.in. z wydatków firm na inwestycje w nowe technologie, w badania i rozwój (B+R), design, marketing itp. Bardzo istotne są korzyści o charakterze społeczno-gospodarczym. Zasilony wpływami podatkowymi z firm budżet państwa może pozwolić sobie na realizację programów społecznych, np. takich jak 500+. A transfery pieniężne z takich programów w oczywisty sposób napędzają również popyt, w tym na polskie produkty.

– Promując zakup polskich produktów, w oczywisty sposób przyczyniamy się do rozwoju gospodarczego. Wspomagamy rozwój polskich firm i zapewniamy im zyski pozwalające na inwestycje budujące ich konkurencyjność – na rynku zarówno krajowym, jak i zagranicznym. To nie ulega wątpliwości – podsumowuje Mateusz Walewski, główny ekonomista Banku Gospodarstwa Krajowego.

eprasa.pl a4f1a0e949

Ile zostaje w Polsce z każdej złotówki wydanej w sklepie?



Źródło: Analiza Grant Thornton dla kampanii „Wybieram 590"

WIĘCEJ NIŻ TYLKO PIENIĄDZE

Z punktu widzenia makroekonomii patriotyzm zakupowy w tak szczególnym i wyjątkowym okresie pandemii ma jeszcze jeden, niezwykle istotny wymiar. Otóż zaletą kupowania krajowych produktów jest bezpieczeństwo dotyczące dostępności tych produktów w przyszłości.

– Z każdym zakupem towaru polskiego rośnie nasza pewność, że będzie on nadal produkowany w Polsce. Dobrym przykładem jest niedawna sytuacja z maseczkami i kombinezonami ochronnymi, na które zapotrzebowanie w Polsce gwałtownie wzrosło w związku z pandemią COVID-19. Chiny tymczasowo wstrzymały eksport, gdyż znacznie wzrosło chińskie wewnętrzne zapotrzebowanie na te produkty, co poskutkowało znaczącym opóźnieniem dostaw do Polski i prawdopodobnie też relatywnie wyższą ceną – wyjaśnia Filip Romanowski, ekspert z banku PKO BP.

POLSKI PRODUKT: LICZY SIĘ MARKA

Jaki produkt jest typowo polski, co go wyróżnia, co decyduje o jego krajowym pochodzeniu? Odpowiedź nie jest taka oczywista. Intuicja podpowiada nam, że jest to produkt wyprodukowany w Polsce. Nie zawsze jest to jednak jedyne kryterium, które musimy wziąć pod uwagę. Zdaniem Mateusza Walewskiego liczy się bowiem to, gdzie trafia wartość wygenerowana z jego sprzedaży.

– W nowoczesnej gospodarce największa część wartości sprzedanego produktu trafia nie do tego, który go wyprodukował, ale do tego, którego własnością jest marka – tłumaczy Mateusz Walewski. Oznacza to, że kupując wykonany za granicą produkt polskiej marki, najprawdopodobniej wspieramy polską gospodarkę w znacznie większym stopniu, niż kupując wyprodukowany w Polsce produkt marki zagranicznej. Tu z pomocą przychodzą nam choćby aplikacje mobilne, które skanują kody kreskowe i dostarczają w ten sposób szczegółowych informacji o pochodzeniu marki.

BRANŻE, KTÓRE POTRZEBUJĄ POLSKOŚCI

Budowanie siły gospodarczej z wykorzystaniem krajowych produktów i usług wymaga czasu, umiejętnej strategii wsparcia dla rodzimych dostawców, ale też edukacji konsumenckiej i zdrowego rozsądku. Polityka państwa w tym zakresie, aby przynosiła efekty, powinna być selektywna i racjonalna.

Z punktu widzenia kraju jako całości ważne są branże, w których zbudowanie potencjału wytwórczego jest czasochłonne. Z tego powodu ważna będzie np. produkcja broni, w przeciwieństwie do mniej skomplikowanych towarów, do których półprodukty są znacznie łatwiej dostępne. – Poprzez zakupy warto też wspierać polskie towary, które są niezbędne dla konsumentów i które trudno zastąpić. W związku z tym powinno się kupować polską żywność, aby utrzymać jej potencjał wytwórczy – mówi Filip Romanowski. – Jednocześnie należy podkreślić, że bezcelowe jest kupowanie produktów słabszej jakości i niespełniających oczekiwań konsumentów, gdyż w dłuższym okresie takie działanie hamuje wprowadzanie zmian i rozwój produktów – dodaje ekspert banku PKO BP.

Dlatego codzienne zakupy konsumenci powinni zacząć nie tylko od sprawdzenia kodu kreskowego (ten dla polskich produktów rozpoczyna się od cyfr 590), lecz przede wszystkim jakości, ceny i sposobu wykonania produktu. Do tego dochodzi odpowiednia polityka konsumencka. Zwraca na to uwagę ekonomista z banku BGK SA. – Najlepszym sposobem promocji konsumpcji polskich produktów jest wpływanie na gusta konsumentów, bo nie niesie z sobą „kosztów ubocznych". Dlatego tak ważne jest dbanie o jakość produktów i jednocześnie działania zachęcające do ich kupowania – mówi Mateusz Walewski.

Chcąc przyczynić się do powiększania polskiego PKB, należy wybierać przede wszystkim te produkty i artykuły, które na to zasługują. Patriotyzm gospodarczy nie opiera się wyłącznie na kupowaniu rodzimych produktów bez względu na wszystko. ●

eprasa.pl a4f1a0e949

#KupujŚwiadomie

WSPIERAJ NASZE ROLNICTWO I KRAJOWĄ GOSPODARKĘ

PRODUKT POLSKI



WIĘCEJ INFORMACJI

facebook.com/produktpl

twitter.com/Produkt_Polski

www.gov.pl/produktpolski

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

eprasa.pl a4f1a0e949



Tarcza finansowa PFR ratuje firmy i miejsca pracy

Tarcza finansowa wystartowała 29 kwietnia punktualnie o 18. We współpracy z 17 bankami komercyjnymi i kilkuset spółdzielczymi PFR SA uruchomił elektroniczny system naboru wniosków o subwencję finansową, która pomoże przetrwać firmom zamrożenie gospodarki w czasie pandemii COVID-19. Pierwszego dnia przedsiębiorcy złożyli kilka tysięcy wniosków. Jednak z każdym dniem ich liczba lawinowo rosła. Do 19 maja br. w postaci subwencji finansowej PFR przekazał 143 tys. firmom prawie 30 mld zł, chroniąc w ten sposób 1,5 mln miejsc pracy

Te liczby pokazują skalę kryzysu, który próbuje się rozgościć w naszym kraju. Już ponad połowa polskich firm odczuwa znaczący spadek przychodów w efekcie zamrożenia gospodarki. Firmom grozi fala bankructw, a warto pamiętać, że zamknięcie działalności oznacza również zwolnienie pracowników, zerwanie łańcuchów dostaw, wypowiedzenia umów kooperantom i utratę zaufania klientów. Przywrócenie stanu sprzed kryzysu bez wsparcia rządowego może trwać latami. Subwencje mają pomóc pozbierać się firmom i gospodarce znacznie szybciej.

STRACILI POŁOWĘ PRZYCHODÓW

Dariusz Czarnowski jest dentystą, który wspólnie z żoną od ponad 20 lat prowadzi sieć gabinetów stomatologicznych w Białymstoku i okolicach. Na etacie zatrudnia 35 osób, dodatkowo na podstawie umów cywilnoprawnych stale współpracuje z 15 lekarzami.

– Początek i połowa kwietnia wiązały się z taką głęboką świadomością, że w pewnym momencie trzeba będzie zamknąć tę naszą działalność, bo nie damy rady się utrzymać – przyznaje Czarnowski.

Właściciel Czar-Dentu podkreśla łatwość, z jaką można skorzystać z subwencji. – Wniosek o subwencję finansową złożyłem 1 maja o godz. 8. 4 maja dostałem decyzję o przyznaniu subwencji, a 6 maja miałem ją na koncie.

Wnioski o przyznanie subwencji można składać za pośrednictwem bankowości elektronicznej 17 banków, które odpowiadają za obsługę ponad 98 proc. przedsiębiorstw w naszym kraju. Warunkiem otrzymania subwencji jest spadek przychodów o co najmniej 25 proc. w dowolnym miesiącu po 1 lutego br. w porównaniu z poprzednim miesiącem lub analogicznym miesiącem ub.r. w związku z COVID-19.

Do wypełnienia wniosku potrzebne są takie dane jak liczba zatrudnionych pracowników oraz wartość spadku przychodów w wyniku pandemii COVID-19. Ponadto firma musi terminowo płacić podatki oraz składki na ZUS oraz mieć otwartą działalność na 31 grudnia 2019 r. Wnioski o subwencję są weryfikowane na podstawie danych, które wpisze sam przedsiębiorca, dlatego tak ważne jest prawidłowe wypełnienie dokumentów. W przypadku odrzucenia wniosek można złożyć ponownie.

150 OSÓB UTRZYMA PRACĘ

Firma Furniko z Koszalina powstała 30 lat temu i zajmuje się produkcją mebli biurowych oraz zarządzaniem powierzchnią biurową. Dariusz Machulski, jej założyciel i obecny prezes, najmocniej odczuł spadek przychodów na projektach eksportowych. Skutkiem tego było zamrożenie dużych środków w tych przedsięwzięciach i znacznie mniejsza produkcja.

Firma zatrudnia ok. 150 osób. Zalicza się więc do sektora małych i średnich, którego przedstawiciele mogą składać wnioski o subwencję finansową za pośrednictwem swoich banków.

– Ku naszemu zaskoczeniu cały proces został bardzo sprawnie zrealizowany. Już po kilkunastu godzinach otrzymaliśmy decyzję pozytywną, a po dwóch dniach środki były na naszym rachunku bankowym – opowiada Machulski. – Z pewnością pomoże nam to zrealizować priorytetowe cele, które sobie postawiliśmy, czyli utrzymanie miejsc pracy i zapewnienie rezerw na utrzymanie płynności, aby móc realizować projekty teraz i w przyszłości, po ustaniu ograniczeń.

Warto pamiętać, że subwencja może zostać umorzona nawet w 75 proc. Aby tak się stało, przedsiębiorca musi utrzymać działalność i średni poziom zatrudnienia po roku od jej przyznania.

Mikrofirmy (do 9 pracowników bez właściciela i obrót poniżej 2 mln zł) mogą w ramach subwencji otrzymać do 324 tys. zł. Natomiast małe i średnie przedsiębiorstwa (do 249 pracowników, roczny obrót poniżej 50 mln euro lub suma bilansowa nieprzekraczająca 43 mln euro) mają szansę otrzymać nawet do 3,5 mln zł.

O tym, że tarcza działa, niech świadczą ostatnie doniesienia agencji Bloomberg, która oceniła naszą gospodarkę jako najbardziej odporną na kryzys wywołany pandemią koronawirusa spośród gospodarek państw unijnych. Powołuje się przy tym na dane Komisji Europejskiej, która ocenia, że PKB Polski spadnie o 4,3 proc. w tym roku, co będzie najlepszym wynikiem w całej wspólnocie. To niejedyne naj w kontekście tarczy finansowej – stanowi ona aż 11,3 proc. krajowego PKB. Żaden inny kraj w Unii nie wesprze gospodarki tak dużymi transferami rządowymi.

fot. shutterstock | Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 65/0320/F

Reklama | 32/0520/F

eprasa.pl a4f1a0e949



Boom na RODOS

Niespełna 5 tys. rodzinnych ogródków działkowych podzielonych na pond 900 tys. działek już Polakom nie wystarcza. Od kiedy wyjście z czterech ścian jest zagrożeniem, a zrobiło się ciepło, marzymy o własnym azylu na świeżym powietrzu. Chętni bombardują Polski Związek Działkowców pytaniami, jak kupić działkę, jakie są ceny, kiedy otwarcie nowego ogrodu? Blisko 41 tys. ha działek stało się rajem i na wiosnę, i na wakacje



EDYTA HOŁDYŃSKA

Powierzchnia wszystkich krajowych rodzinnych ogrodów działkowych (ROD), żartobliwie zwanych polskim RODOS, jest tylko odrobinę mniejsza niż teren całej Warszawy. A zapotrzebowanie na działki w ostatnich dwóch miesiącach wzrosło niebotycznie. Związek załamuje ręce. Nowych działek nie ma, a oni sami nie zajmują się sprzedażą ziemi. Można mówić już o tysiącach telefonów od zainteresowanych działkami. Jedyna opcja na dziś to rynek wtórny.

Ogłoszenia w internecie brzmią nawet nieco dramatycznie. Obiektem pożądania jest choćby kawałek ziemi. Nawet nie pod uprawę roślin, ale do grillowania z rodziną, odpoczynku od zgiełku miasta. Tam, gdzie można zawiesić hamak, spuścić psa ze smyczy, poopalać się w spokoju. Pooddychać bez maseczki stosunkowo świeżym powietrzem, popatrzeć w gwiazdy. Ewentualnie posadzić kilka drzewek owocowych czy warzyw. Bo to po to dziś młodym działki.

W cenie jest dosłownie każdy kawałek ziemi. Ludzie piszą w sieci, że pilnie kupią działkę i z domkiem, i z altaną do rozbiórki, i bez. Nieuporządkowaną, zadrzewioną, zaniedbaną, każdą. Przy ulicy, choć to większy zgiełk, ale więcej prywatności, bo mniej sąsiadów. Najchętniej jednak z uregulowaną kwestią prawną w ROD, podłączeniem do wody i prądu. Ewentualnie ze studnią, pompą automatyczną. Najczęściej szukamy blisko domu.

AZYL 15 MINUT OD DOMU

Ceny za pojedynczą działkę w stolicy, oczywiście w zależności od oferty, wahają się od 20 do 100 tys. zł. W skrajnych przypadkach wykraczają ponad górną granicę, ale to cena za duże, kilkusetmetrowe działki z domkiem. Właśnie w dużych miastach, gdzie zainteresowanie jest największe, bo ludzie w dobie narodowej kwarantanny duszą się w czterech ścianach blokowisk, o działkę najtrudniej. Jeszcze trzy miesiące temu wartość kawałka ziemi oscylowała wokół dolnej granicy. Od połowy marca, kiedy zrobiło się znacznie cieplej, ale zagrożenie koronawirusem nie minęło, portale pośredniczące w sprzedaży nieruchomości odnotowały wyższy ruch w tym interesie. Polacy wyruszyli więc na poszukiwanie działek.

Młode małżeństwo z Warszawy miało oszczędności, ale niewystarczające, by

eprasa.pl a4f1a0e949

sprawić sobie wymarzony dom z ogrodem. Na wakacje pieniędzy by wystarczyło, ale te w tym roku siłą rzeczy drogie i egzotyczne nie będą. Kilka lat temu kupili mieszkanie na warszawskiej Pradze-Południe, 15 minut spacerem od rodzinnych ogrodów działkowych. Ich wybór padł więc właśnie na pobliskie RODOS. Działka jest piękna, zadbana, z wyłożoną kamieniem ścieżką, kilkoma drzewami, stylową altaną z drewnianą ławką i huśtawką dziecięcą. To dobra decyzja, bo w Warszawie, ale także w Łodzi, Poznaniu, Krakowie, na Śląsku o działki jest bardzo trudno. Większe szanse mają chętni z Opola, Zielonej Góry czy ze Świętokrzyskiego.

– To był spontaniczny zakup. Zawsze chcieliśmy mieć z żoną swój azyl, a w dobie pandemii te myśli wróciły. W naszej okolicy są dwa ogrody działkowe i okazało się, że są dwie działki na sprzedaż – opowiada mężczyzna. Pierwszą wyceniono na 26 tys. zł. Była w stanie fatalnym. Do jej oglądania ustawiła się kolejka ludzi, głównie młodych. – Właścicielka wymyśliła licytację telefoniczną, cena więc szybko wzrosła. Nie brałem w niej udziału, bo w tym czasie finalizowałem już zakup swojej działki. Znacznie droższa, ale wygląda przepięknie. Właściciel, z wykształcenia i pasji ogrodnik, pielęgnował rośliny 11 lat. Teraz nasze zadanie to nic nie zepsuć i cieszyć się tym pięknym miejscem – dodaje nowy właściciel działki.

Wspomniane licytacje telefoniczne to dziś nowa forma finalizowania transakcji. Po ofertę do biura pójść nie można, bo są pozamykane, więc Polacy dzwonią.

ZAKUP POD KONTROLĄ

„W ostatnim czasie Jednostka Krajowa PZD, jak i biura Okręgowych Zarządów PZD odnotowują gwałtowny wzrost zapotrzebowania na działki w ROD. Gros pytań podczas uruchomionych na okres epidemii dyżurów telefonicznych dotyczy właśnie możliwości nabycia działki. Jest też wiele e-maili w tej sprawie" – pisze Zarząd Krajowy Polskiego Związku Działkowców. Zrzesza on 4,5 tys. osób. Alarmuje, że jednostka krajowa PZD nie prowadzi wykazu wolnych działek, robią to zarządy poszczególnych ogrodów.

I informuje, że przy ustanowieniu prawa do działki uwzględniane jest miejsce zamieszkania osoby, która o nią się ubiega. Ustawową funkcją rodzinnych ogródków działkowych jest zaspokajanie potrzeb wypoczynkowych, rekreacyjnych i socjalnych członków społeczności lokalnych. Nie ma możliwości nabycia prawa do działki z daleka od miejsca zamieszkania czy wręcz na drugim końcu Polski. Bo i takie pomysły w pandemii bywają. A związek działkowców podkreśla, że działki się nie kupuje na własność.

> Ceny za pojedynczą działkę w stolicy wahają się od 20 do 100 tys. zł. W skrajnych przypadkach wykraczają ponad górną granicę, ale to cena za duże, kilkusetmetrowe działki z domkiem

Nabywca staje się właścicielem posadzonych roślin, tzw. naniesień i obiektów na działce, natomiast w stosunku do samego gruntu uzyskuje jedynie prawo do dzierżawy. Każdy działkowiec ma prawo do jednej działki. Działkę w ROD możemy nabyć na dwa sposoby: kupno działki od zarządu ogrodu. Jeśli zarząd ROD nie dysponuje wolną działką, a prowadzi listę oczekujących na działkę, warto się na nią wpisać, zostawiając do siebie kontakt.

I drugi sposób, czyli nabycie działki od działkowca – podpisanie umowy przeniesienia prawa do działki. Jeśli znaleźliśmy działkę na sprzedaż i podpisaliśmy z działkowcem umowę przeniesienia prawa do działki, musimy umowę poświadczyć notarialnie. I dostarczyć dokument także do zarządu ROD.

Bo samo podpisanie umowy nie świadczy o jej skuteczności. Zbywający działkę musi złożyć do zarządu ROD wniosek o zatwierdzenie umowy. Trzeba pamiętać, że zarząd ma dwa miesiące na zatwierdzenie takiej umowy. Do tego czasu to zbywający prawo do działki, a nie nabywca, jest w dalszym ciągu pełnoprawnym użytkownikiem działki z przysługującymi z tego tytułu prawami, jak i ciążącymi obowiązkami.

MONOPOL RODEM Z PRL

Zarząd ROD może więc, z ważnych powodów, odmówić zatwierdzenia przeniesienia prawa do działki. Odmowa wymaga jednak uzasadnienia na piśmie. A każda ze stron umowy może na drodze sądowej podważyć zasadność takiej decyzji. Każdy nowy działkowiec, poza wynagrodzeniem za działkę, zobowiązany jest uiścić dwie, podwyższone, opłaty ogrodowe.

Przez lata wysokość opłat i zasady, jakimi rządziły się działki, przyprawiały wiele rodzin o ból głowy.

Pierwsze w Polsce ogrody działkowe, ROD „Kąpiele Słoneczne", założone zostały w Grudziądzu przez doktora Jana Jalkowskiego w 1897 r. Po II wojnie światowej dekretem z 1946 r. o ogrodach działkowych nadano im rolę instytucji użyteczności publicznej. Ustawa z 1949 r. zapewniała już otrzymanie ogrodów działkowych jedynie ludziom pracy.

Potem był dokument z 1981 r. o pracowniczych ogrodach działkowych. W 2012 r. znaczna część przepisów ustawy z 2005 r. o rodzinnych ogrodach działkowych, w tym monopol Polskiego Związku Działkowców na zakładanie ogródków działkowych i bulwersujące zwolnienie PZD z opłat i podatków oraz obowiązek przekazywania mu ziemi przez samorządy, co szokowało pozostałych działkowców, została uznana przez Trybunał Konstytucyjny za niezgodną z ustawą zasadniczą.

Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego było impulsem do stworzenia nowej ustawy o rodzinnych ogrodach działkowych, która obowiązuje od stycznia 2014 r. Zgodnie z nią rodzinne ogrody działkowe są prowadzone przez stowarzyszenia ogrodowe. W taką organizację przekształcił się też Polski Związek Działkowców.

Fot. Traveller70/Shutterstock.com

eprasa.pl a4f1a0e949



Którą drogę w kierunku 5G wybierze Polska?

Już ponad 300 operatorów w więcej niż 100 krajach ogłosiło realizację wdrażania 5G i związane z tym inwestycje. Polska ma na tym polu zaległości, zwłaszcza w kontekście jednoznacznego określenia wymagań bezpieczeństwa dla sieci 5G i roli poszczególnych instytucji publicznych w tym zakresie. Jak pokazują przykłady innych krajów Unii Europejskiej, wymagania takie stanowią pierwszy krok na drodze do rozpisania aukcji częstotliwości dla sieci piątej generacji. Bez aktywnego działania w tym zakresie zagrożone jest odpowiedzialne wdrożenie 5G w Polsce – tak wskazuje raport przygotowany przez Instytut Kościuszki na zlecenie Fundacji Digital Poland

Budowa sieci 5G wymaga wykorzystania wielu komponentów wchodzących w skład sieci teleinformatycznej. Globalnymi liderami w zakresie rozwoju i komercyjnego wdrażania technologii wykorzystywanych w sieciach 5G są aktualnie Ericsson, Huawei Technologies, Nokia oraz Samsung Electronics.

Liderem pod kątem patentów według wskaźnika istotności jest szwedzki Ericsson (2019 r.). Firma posiada obecnie 81 podpisanych komercyjnych kontraktów 5G, a także obsługuje ogółem 25 uruchomionych sieci 5G. Z kolei największą nominalną liczbę patentów związanych z technologią 5G ma Huawei Technologies – 3 147 (dane ze stycznia 2020 r.), który informuje, że zawarł 91 kontraktów komercyjnych na sieć 5G, w tym 47 z usługodawcami europejskimi. Samsung natomiast koncentruje się na rozwoju obecności w Korei Południowej oraz Stanach Zjednoczonych, gdzie jest obecny już od 2018 r. Nokia jest na czwartym miejscu pod względem liczby patentów dla 5G. Finlandzkie przedsiębiorstwo ma 66 podpisanych komercyjnych kontraktów 5G i obsługuje ogółem 19 uruchomionych sieci piątej generacji.

Dla przypomnienia, 5G przyczyni się do dynamicznego rozwoju internetu rzeczy, a tym samym nowych rozwiązań dla inteligentnego transportu, inteligentnego miasta oraz przemysłu 4.0. Wpłynie bezpośrednio na życie codzienne obywateli, szczególnie w takich obszarach jak ochrona zdro-

eprasa.pl a4f1a0e949



wia, transport czy przemysł. W tym kontekście wdrożenie sieci mobilnej piątej generacji rodzi także obawy dotyczące bezpieczeństwa, w tym narodowego. Unia Europejska, jako świadomy wyzwań uczestnik tej debaty, zdecydowała się zająć się problemem bezpieczeństwa sieci 5G poprzez wiele swoich działań.

– Aby to zrozumieć, warto się posłużyć przykładem z branży, która diametralnie zmieniła analogowy świat XX w., podobnie jak IT transformuje rzeczywistość XXI w. Mowa w tym wypadku o motoryzacji i roli, jaką odegrał Ford T, samochód stworzony przez samego Henry'ego Forda, wyprodukowany w ponad 15 mln egzemplarzy. Nie był on ani pierwszym samochodem z silnikiem spalinowym, ani też konstrukcyjnie nie różnił się znacznie od swoich poprzedników. Mimo to zrewolucjonizował nie tylko transport, lecz całą gospodarkę, przestawiając kluczowe branże na tory rozwoju opartego na możliwości masowego, szybkiego i taniego przemieszczania ludzi oraz towarów – dowodzi Robert Siudak, dyrektor Instytutu Kościuszki.

Autorzy najnowszego raportu dotyczącego wyzwań i zagrożeń związanych z siecią piątej generacji podkreślają, że w sprawie 5G potrzebne jest zdecydowane i aktywne wsparcie rządu. Raport przypomina o tym, że Komisja Europejska, przy wsparciu europejskich rządów, przedstawiła zestaw zaleceń dotyczących cyberbezpieczeństwa sieci 5G.

– Z wielką siłą wiąże się wielka odpowiedzialność. Jeśli chcemy, aby 5G było de facto kręgosłupem współczesnej gospodarki cyfrowej, jej bezpieczeństwo staje się kluczowym zagadnieniem – dodaje Siudak.

Wskazówki Komisji, łączące działania konieczne do podjęcia na szczeblu krajowym i unijnym, zawierają kwestie zarówno prawne, jak i polityczne oraz wyznaczyły szczegółowo określone terminy osiągnięcia ustalonych celów. Pierwszym z nich było przeprowadzenie skoordynowanej unijnej oceny ryzyka związanego z bezpieczeństwem cyfrowym sieci 5G.

W ramach rekomendacji zawartych w tzw. toolboxie, czyli zestawie narzędzi do wdrożenia tej technologii, odpowiednie władze krajowe są przede wszystkim zachęcane do opracowania i zastosowania środków ograniczających ryzyko, zwłaszcza tych, które wzmocnią wymogi bezpieczeństwa dotyczące operatorów sieci komórkowych. Komisja Europejska zwraca także uwagę państw wspólnoty na potrzebę upewnienia się, że operatorzy telekomunikacyjni, aby minimalizować zależność od pojedynczego producenta, przyjmują strategię dywersyfikacji dostawców.

Polska czeka obecnie na rozporządzenie ministra cyfryzacji, które ma być istotnym aktem prawnym do budowy polskiego 5G. W ostatnim projekcie rozporządzenia wskazana jest „celowość dywersyfikacji dostawców sieci przez operatorów telekomunikacyjnych, a także unikanie monopolów poszczególnych dostawców". Jednak według ekspertów dalsze plany dotyczące tej technologii muszą być odłożone ze względu na opóźniającą się aukcję na częstotliwości.

Jak tłumaczy ekspert rynku telekomunikacyjnego Piotr Mieczkowski (dyrektor Fundacji Digital Poland), państwo powinno szybko rozdystrybuować w aukcji nowe pasmo, by operatorzy mogli zaoferować nowoczesne usługi konsumentom i firmom.

Pomimo tego jeden z operatorów ogłosił już uruchomienie komercyjnych sieci 5G w pierwszych miastach w Polsce na częstotliwościach wykorzystywanych dotychczas pod LTE. Wydaje się więc, że odpowiedzi ze strony resortu dotyczące bezpieczeństwa sieci muszą przyspieszyć, szczególnie że – jak wyjaśnia Piotr Mieczkowski – obecnie uruchomione komercyjne sieci 5G Play i Plusa, działające razem z LTE, nigdy nie osiągną tak dobrych parametrów, jak powinny.

Na podstawie raportu można wnioskować, że Polska nie doścignie już liderów 5G takich jak Korea Południowa czy Chiny. Stan wdrożenia 5G w Polsce jest wciąż niski, również w porównaniu z krajami europejskimi. Kluczem do przyspieszenia w kwestii wdrożenia tej technologii jest proaktywność ze strony państwa, na którą liczy rynek telekomunikacyjny w Polsce. Aby sprawniej przeprowadzić transformację cyfrową kraju, należałoby także powołać fundusze celowe na badania i rozwój w zakresie 5G, dzięki którym będzie można wspierać krajową innowacyjność w zakresie tej technologii czy kampanie społeczne rozwiewające obawy społeczne dotyczące kwestii zdrowotnych, co stało się ostatnio przedmiotem dezinformacji.

Polska stoi więc przed kluczowym wyborem – możemy pójść śladem państw członkowskich Unii Europejskiej i zezwolić na konkurencję między dostawcami sieci 5G, co ostatecznie zwiększy wpływy do budżetu i da szanse firmom takim jak Ericsson, Nokia czy Huawei, albo wybrać drogę amerykańsko-koreańską, która ogranicza dostęp części firm – uważa Mieczkowski.

Raport zlecony Instytutowi Kościuszki przez Fundację Digital Poland to kompendium wiedzy na temat sieci 5G. Zdaniem ekspertów powinien być obowiązkową lekturą dla wszystkich decydentów oraz urzędników państwowych mogących swoimi decyzjami przyspieszyć decyzję o wdrażaniu sieci 5G w Polsce.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 32/0420/F

eprasa.pl a4f1a0e949

Miłość i gotowanie



„Czekolada" (2000), reż. Lasse Hallström

Dobre jedzenie łagodzi obyczaje, a obiad może się zamienić w mistyczną ucztę, zwłaszcza jeśli gotujesz dla tych, którym chcesz sprawić przyjemność. Podobnie działają filmy „o gotowaniu i kucharzach". Kuchnia jest tylko pretekstem, ale za to jakim!

Przy garnkach ujawniają się uśpione emocje, miłości, a opary bulgoczących zup i sosów są wspaniałą scenerią dla ambicjonalnych rozgrywek i walki dobra ze złem. Do tego dochodzą oczywiście przepisy – część z nich można wykorzystać, szykując rodzinny obiad. Albo po prostu się pobawić, gotując danie inspirowane. Ja tak właśnie robię, bo nie lubię dosłownie się trzymać receptur. Żadnych. Nie byłoby niespodzianki, gdybym nie mogła dodać czegoś od siebie. To mnie uspokaja i odciąga od problemów, o których nie chcę pamiętać.

Oto mój prywatny ranking filmów o gotowaniu, jedzeniu i radowaniu się życiem.

Fot. materiały prasowe

WSZYSTKO DLA PRZYJACIÓŁ

Oto doświadczona przez los rodzina Hindusów po śmierci mamy rusza w świat w poszukiwaniu miejsca, gdzie ziemia rodzi nieskażone, pachnące i piękne warzywa i owoce. Lądują w Anglii pod Heathrow, ale przyzwyczajeni do ciepła nie mogą wytrzymać chłodu i wilgoci. A pozbawione słońca rośliny nie nabierają takich aromatów, do jakich przyzwyczaili się w Indiach. Wszystko smakuje im tekturą, jedzenie nie czaruje kolorami ani nie wabi aromatem. Na domiar złego wciąż latające nad głową samoloty wprawiają wszystkich w drgawki. Ruszają więc w kolejną podróż, tym razem na kontynent. I tak trafiają do Francji. A gdy w rozklekotanym busiku, którym zmierzają na południe, wysiądą hamulce, wiadomo, że nie stało się to przypadkiem.

Na kolację zaprasza podróżnych dziewczyna z miasteczka... Podaje proste jedzenie: warzywa, mleko, sery, oliwę tłoczoną po sąsiedzku. Hindusi – kucharze z pokolenia na pokolenie – postanawiają się osiedlić na francuskiej prowincji i pokazać, że kuchnię o 200-letniej tradycji, trochę skostniałą od sztywnych reguł i nienaruszalnych zasad, najwyższy czas doprawić. Kardamonem, curry, chilli, garam masalą, kozieradką.



„Niebo w gębie" (2012), reż. Christian Vincent

eprasa.pl a4f1a0e949



Jest jednak jeden szkopuł... W miasteczku, które tak spodobało się rodzinie z Bombaju, jest już restauracja. I to dobra, nagrodzona gwiazdką Michelina. A w niej rządzi Madame Mallory, która konkurencji nie zniesie. Ale że kuchnia łączy tych, dla których jest autentyczną pasją, a dobre jedzenie łagodzi obyczaje – po wojnie zapanuje pokój, drugą gwiazdkę dla Madame zdobędzie utalentowany hinduski kucharz Hassan, a trzecią – Hassan ze swoją dziewczyną, tą samą, która pierwszego dnia zaprosiła nieznanych podróżników na kolację.

Lubię filmy Lassego Hallströma, zwłaszcza te z kuchnią albo jedzeniem w tle. Nie widziałam chyba żadnego, który mogłabym określić jako zły. Ich swoisty realizm magiczny, bohaterowie, do których czucie i wiara mówią bardziej niż mędrca szkiełko i oko... Urocze, ciepłe, choć zawsze doprawione łyżką dziegciu. W „Podróży na sto stóp" bohaterowie muszą stawić czoła nacjonalistycznym wybrykom kucharza z konkurencji. Gdy nie pomaga rozsiewanie plotek, że Hindusi karmią gości psim jedzeniem, zaczyna się malowanie po płotach, a nawet podpalenie. Na szczęście dramatyczne wydarzenia schodzą na dalszy plan, gdy rozkwitnie miłość.

A lekcja smażenia omleta jest bezcenna. Dzięki temu filmowi odkryłam, jakie to pyszne danie i wprowadziłam je na stałe do jadłospisu.

SŁODYCZ I GORYCZ

Dawno, dawno temu zakochałam się w „Dzieciach z Bullerbyn" tego reżysera, bo dokładnie tak wyobrażałam sobie klimaty szwedzkiej wioski, spacery do sklepu, nocowanie na sianie. A właściwie nawet nie musiałam sobie wyobrażać, bo to były też moje przygody z dzieciństwa. Czasy, gdy pajda chleba z masłem, pomidorem i cebulą była najlepszym jedzeniem. Do takiego chleba, masła, pomidora i cebuli tęsknię dziś każdego lata. I tylko czasem mam wrażenie, że znów ocieram się o te ulotne smaki.

Gdy dorosłam, serce skradła mi „Czekolada". Bohaterka, Vianne Rocher, odważna, samodzielna, wyzwolona, stawia na głowie obyczaje smutnego, skostniałego miasteczka i ludzi siedzących jak myszy pod miotłą pod pantoflem burmistrza, który szczodrze dzieli się z nimi swym cierpieniem po ucieczce żony. On jest zły, sfrustrowany i smutny, więc inni też muszą. Piękna kobieta, która robi genialne czekoladowe łakocie, sprawia, że ludzie na nowo zaczynają odkrywać uroki życia. Zrzucają żałobną czerń, otwierają się, przestają na siebie łypać spode łba, zaczynają słuchać muzyki, tańczyć, przypominają sobie, co to śmiech. I pomyśleć, że wystarczył jeden łyk doprawionej chilli czekolady, żeby zerwać łańcuchy.

I tu też nocą pojawiają się podpalacze, którzy próbują na nowo zastraszyć ludzi, ale mieszkańcy miasteczka poczuli już słodki smak wolności i nie zamierzają z niczego rezygnować.

„Połów szczęścia w Jemenie" – historia wizjonera. Bogaty szejk wpada na pomysł, by w pustynnym, suchym kraju urządzić łowiska łososia, dzięki którym nieurodzajne ziemie zamienią się w tętniące życiem oazy. Tu akurat gotowania jako takiego nie ma, pojawia się za to problem głodu, który nęka najsuchsze regiony świata. Wszystkie te trzy opowieści Hallströma są o tym, jak miłość do natury, dobrego jedzenia, wspaniałych zapachów, piękna, świeżości i szczerości odmienia życie, sprawia, że chcemy być lepsi, otwarci na innych, także tych całkowicie odmiennych kulturowo.

Na szczęście za każdym razem wszystko dobrze się kończy. Nie ma goryczy porażki, a jeśli nawet ją gdzieś



„Ratatuj" (2007), reż. Brad Bird

eprasa.pl/a4f1a0e94



„Podróż na sto stóp" (2014), reż. Lasse Hallström

wyczuwamy, dobro, choć ma pod górkę, zwycięża. Bo jedzenie łagodzi obyczaje.

W życiu rzadko tak jest, ale przecież to bajki. Miło się je ogląda, gdy za oknem leje deszcz. Piękne zdjęcia, świetna muzyka i sugestywna gra aktorów zachęcają do własnych eksperymentów, a wtedy zaczynamy rozumieć, że żadna wyrafinowana kuchnia molekularna nie może się mierzyć ze świeżo zebranymi w trawie borowikami czy pstrągiem złapanym na muchę w czystym rwącym potoku.

TO NIE JEST BAJKA

Podobnie działa „Niebo w gębie" – opowieść o szefowej kuchni, która gotowała dla prezydenta Francji. Świeże produkty zamawiała na wsi, bo pomidor czy ogórek musi rosnąć w dobrej, żyznej ziemi, żeby miał smak. Taki z uprawy hydroponicznej to nie to samo.

Albo „Ugotowany" czy „Życie od kuchni" – choć te filmy to akurat niezły szok poznawczy dla tych, którzy mają do kucharzenia liryczno-romantyczne podejście i po obejrzeniu filmów Lassego Hallströma marzyła im się własna mała knajpka. Orka od rana do późnej nocy, bo po najlepsze ryby czy owoce morza trzeba iść na targ o czwartej rano, a potem walka o przetrwanie przy garnkach, użeranie się z nowobogackimi klientami, brak czasu na prywatność, miłość, dziecko. Do tego dochodzą mody, na przykład na sous-vide, czyli gotowanie w niskich temperaturach w plastikowych torebkach, co dla szefa kuchni z krwi i kości, który całe życie używał garnków i patelni, jest szalenie frustrujące. Musi się jednak nagiąć, bo jeśli otrzyma łatkę „niemodny", nikt do niego nie przyjdzie jeść. To znaczy nikt z tych, których stać na jego dania. Tak, życie szefa kuchni znanej i cenionej restauracji w Nowym Jorku czy Londynie nie jest łatwe.

Wiedzą o tym twórcy „Ratatuja", w którym drobiazgowo odmalowują pracę kucharzy, ich zmagania z garnkami i krytykiem kulinarnym, który jest ich panem życia i śmierci, wspólnie z inspektorem sanepidu. Ten film to absolutny majstersztyk. Historia namalowana, bo to kreskówka. A natchnionym kuchmistrzem jest nie człowiek, ale szczurek Remy. Jego długi nochal to bardzo czuły, wrażliwy na zapachy organ. Wchłania wonie, a Remy widzi je w kolorach, tworzy w głowie niezwykłe kompozycje, a intuicja podpowiada mu, co z czym połączyć, żeby smak był idealny. I cierpliwie uczy swojego ludzkiego przyjaciela – wyjątkowo mało zdolnego kulinarnie – jak być i dobrym kucharzem, i dobrym człowiekiem. Remy odmieni nawet twarde serce krytyka, który pod wpływem wspomnień z dzieciństwa wywołanych przez jedzenie odzyska młodzieńczy apetyt na życie. Przepis na to danie znajdziecie w filmie. Wychodzi!

Na koniec zostawiłam sobie dwie perełki. Duńską i japońską. Raczej o sztuce życia niż gotowania. To nie są filmy z tempem, szybkim montażem, ostrą muzyką. Oba delikatne i subtelne, a jednak nie pozwalają o sobie zapomnieć. O samotnych mistrzach, wypchniętych na margines życia, którzy jednak postanawiają dać ostatni koncert. „Uczta Babette" Gabriela Axela oraz „Kwiat wiśni i czerwona fasola" Naomi Kawase. Z jednej strony genialna kuchmistrzyni, która musiała uciekać z rewolucyjnego Paryża, z drugiej – skromna staruszka, która osiągnęła arcymistrzostwo, przygotowując całe życie jedno danie – słodką pastę z czerwonej fasoli, nazywaną anko, nadzienie do placków dorayaki. Na ekranie powstają dania raczej egzotyczne, ale emocje bohaterów są nam bardzo bliskie. Trzeba tylko dać się ponieść tym dwóm subtelnym, smakowitym historiom o losach ludzi, którzy uczą się smaku. Idealne propozycje na kwarantannowe wieczory.

Anna Monicka

Czego warto posmakować

- **„Ugotowany"** (2015), reż. John Wells
- **„Julie i Julia"** (2009), reż. Nora Ephron
- **„Życie od kuchni"** (2007) reż. Scott Hicks
- **„Niebo w gębie"** (2012), reż. Christian Vincent
- **„Kwiat wiśni i czerwona fasola"** (2015), reż. Naomi Kawase
- **„Ratatuj"** (2007), reż. Brad Bird
- **„Podróż na sto stóp"** (2014), reż. Lasse Hallström
- **„Czekolada"** (2000), reż. Lasse Hallström
- **„Uczta Babette"** (1987) reż. Gabriel Axel

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl a4f1a0e949

ARP pożyczy na pensje i na kapitał obrotowy

Brak środków na wypłatę wynagrodzeń dla pracowników oraz deficyt w kapitale obrotowym to dwa najbardziej dotkliwe skutki tąpnięcia gospodarczego wywołanego pandemią koronawirusa w sektorze małych i średnich przedsiębiorstw. Firmom, które borykają się właśnie z niedoborem środków w tych obszarach, z odsieczą przyszła Agencja Rozwoju Przemysłu, która proponuje korzystne pożyczki z odroczonym terminem spłaty w ramach rozwiązań przygotowanych przez rząd w tarczy antykryzysowej



Fot. Shutterstock

Wydatki płacowe stanowią dla wielu podmiotów z sektora MŚP lwią część regularnych zobowiązań, dlatego istnieje obawa, że obecny kryzys spowoduje lawinowy przyrost bezrobocia. Premier Mateusz Morawiecki wielokrotnie podkreślał natomiast, że działania osłonowe przygotowane w ramach tarczy antykryzysowej mają na celu przede wszystkim ochronę i utrzymanie jak największej liczby miejsc pracy. Poza możliwością skorzystania ze znacznego obniżenia kosztów pracy dzięki zawieszeniu płatności świadczeń na ZUS czy dopłat do wynagrodzeń tarcza oferuje firmom MŚP także inne rodzaje wsparcia. Jednym z nich jest możliwość skorzystania przez przedsiębiorców z pożyczki na wypłatę wynagrodzeń oferowanej przez Agencję Rozwoju Przemysłu, która jest spółką skarbu państwa. Co ciekawe, mimo że pożyczkę zaciągać będą przedsiębiorcy, pieniądze trafią prosto na konta pracowników.

Przy przyznawaniu pożyczki nie obowiązuje kryterium dochodowe. A to oznacza, że z instrumentu będą mogły skorzystać również małe podmioty. Firmy muszą tylko wykazać, że brakuje im środków na wypłatę wynagrodzeń i przedstawić analizę krótkiej płynności. Konieczne będzie też przedstawienie dokumentów potwierdzających stabilną sytuację przedsiębiorstwa przed pandemią koronawirusa.

Okres finansowania w tym przypadku wynosi maksymalnie dwa lata. Jednocześnie obowiązuje 12-miesięczna karencja na spłatę, co ma pomóc firmom przetrwać najtrudniejszy czas, gdy dochody są ograniczone lub gdy ich zwyczajnie nie ma. Oprocentowanie pożyczki będzie zgodne z obowiązującą stawką WIBOR i dodatkowo obciążone wyjątkową niską prowizją przygotowawczą na poziomie 0,2 proc. Środki mogą zostać wypłacone jednorazowo lub w transzach. Wnioski o pożyczkę można składać za pośrednictwem strony internetowej www.arp-tarcza.pl.

Agencja Rozwoju Przemysłu poza pożyczką na wypłaty pensji oferuje też przedsiębiorcom wsparcie na pokrycie deficytu w kapitale obrotowym. W tym przypadku beneficjentami ofert pożyczki także są firmy z sektora MŚP, których obroty przekraczają 4 mln zł i które w ub.r. notowały zyski. Ich wysokość może wynieść od 800 tys. zł do 5 mln zł. Przedsiębiorca nie będzie musiał spłacać pożyczki przez 15 miesięcy i dopiero po tym czasie będzie musiał ją zwrócić. Na spłatę wsparcia przedsiębiorca będzie miał prawie pięć lat. Pożyczki będą oprocentowane zgodnie z obowiązującą stawką WIBOR, a koszt prowizji przygotowawczej, podobnie jak w przypadku pożyczki na pensje, wyniesie jedynie 0,2 proc. Dokładna wysokość oprocentowania zobowiązania będzie ustalana w każdym przypadku indywidualnie, a przy jego ustalaniu ARP weźmie pod uwagę okres finansowania oraz zabezpieczenia przedstawione przez firmę. Rozpatrzenie wniosku o pożyczkę ani jej wcześniejsza spłata nie będą obciążone żadnymi dodatkowymi kosztami.

Aby ubiegać się o pożyczkę na pokrycie deficytu w kapitale obrotowym, przedsiębiorca będzie musiał złożyć wraz z wnioskiem o wsparcie sprawozdania finansowe za lata 2018–2019 informację o zobowiązaniach finansowych, o liczbie osób zatrudnionych w firmie i ewentualnie o planowanych zmianach w tym zakresie. Poza tym przedsiębiorca będzie musiał przedstawić plan wpływów i wydatków na najbliższe 12 miesięcy zakładający ewentualne ograniczenia działalności spowodowanej koronawirusem. Wnioski o pożyczkę także można składać zdalnie pod adresem www.arp-tarcza.pl.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 22/0520/F

eprasa.pl a4f1a0e949

ROKSANA JĘDRZEJEWSKA-WRÓBEL AUTORKA KSIĄŻEK DLA DZIECI

Pierogi i pracownia serc

Jest jedno danie, niezwykle proste i dla wielu pewnie banalne, ale dla mnie niezwykle ważne. We wspomnieniach z dzieciństwa łączy się ono nie tylko z konkretnym smakiem, ale przede wszystkim przywołuje poczucie wspólnoty, przynależności, radości i rodzinnej ciągłości...

To ruskie pierogi, lepione w gronie bliskich kobiet. Babci, mamy i jej sióstr (miała ich aż sześć) oraz kuzynek. Przy stole, w zatłoczonej i gwarnej kuchni, powstawały ich setki. To wielkie lepienie towarzyszyło rodzinnym zjazdom w domu babci Marii, w Unisławiu pod Toruniem. Ich wspomnienie to przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa. I zakorzenienia, ale też wtajemniczenia w umiejętności rodzinnych zwyczajów przekazywane z matki na córki i wnuczki. Taki pokoleniowy prezent, a przede wszystkim wielka bliskość wokół tego kuchennego stołu, zaspokajanie archetypicznych potrzeb. Poza tym dużo śmiechu.

Dołączyłam do tego pierogowego grona, kiedy miałam siedem lat. Pierogi lepiłyśmy ręcznie, co trochę przypominało zabawę plasteliną. Odrywało się kawałek ciasta z wielkiej kuli, robiło z niego kulkę i rozgniatało na dłoni w zgrabny placuszek, potem wkładało w niego farsz i zalepiało w tzw. falbankę. Dopiero jako dorosła zorientowałam się, że inni po prostu wycinają szklanką kółka z rozwałkowanego ciasta.

Przepis, przywieziony na Ziemie Odzyskane z okolic Lwowa, był rodzimą wersją biedadania – sycącego, smacznego, z prostych dostępnych składników. Jak pizza u Włochów. Farsz składał się z twarogu, gotowanych ziemniaków i podsmażonej cebulki, a pierogi po ugotowaniu polewane były kwaśną śmietaną.

Kuchnia mojej mamy była dość tradycyjna, więc kiedy sama zostałam mamą, a było to w latach 90., szukałam nowych smaków i eksperymentowałam, a przede wszystkim namiętnie kupowałam książki kucharskie i wycinałam przepisy z „Poradnika Domowego". To właśnie wtedy pojawił się w naszym domu nowy słodko-kwaśny smak. Moje dzieci, które wtedy jeszcze jadły mięso, najbardziej lubiły go w formie kurczaka curry w ananasach, do tego stopnia, że potrawa otrzymała nazwę „nasze ulubione".

Innymi potrawami, które kojarzą się moim dzieciom z dzieciństwem, są na pewno „uśmiechnięte kanapki", czyli np. takie z oczami z rzodkiewek, nosem z ogórka i paprykową buzią. Na urodzinach królowały łódeczki z galaretek w skórkach po pomarańczy i tort w kształcie motyla (jakiekolwiek ciasto, przygotowane w okrągłej formie, przecinamy na połówki i układamy odwrotnie, tak żeby powstały skrzydła, a pomiędzy nimi kładziemy eklerkę z czułkami z wykałaczek).

Te pomysły to pokłosie czytanej przeze mnie w dzieciństwie „Kuchni pełnej cudów" Marii Terlikowskiej z ilustracjami Ewy Salamon. Znajdowałam tam uruchamiające wyobraźnię przepisy na wyrastające z sałaty muchomory (z jajka, pomidorów i twarożku) albo krokodyla z ogórka. Z tej właśnie książki korzysta bohaterka mojej powieści „Kamienica", Klara Kwik-Prosiaczyńska, przygotowując „kolację pojednania", co nie kończy się dobrze, bo goście oczekiwali bardziej tradycyjnych dań.

Inna moja bohaterka z pachnącej kardamonem „Pracownii Aurory" (tegoroczna laureatka Konkursu na Najlepszą Książkę Dziecięcą Przecinek i Kropka; Wyd. Bajka, ilustracje Jona Jung – przyp. red.) stara się pomagać ludziom bardziej sprawdzonymi przepisami. Nie są to jednak przepisy kulinarne, lecz recepty potrzebne do naprawiania pękniętych, z różnych powodów, serc. Znajdziemy tam m.in. maść z czułości, okłady z akceptacji czy plastry radości. Myślę, że będą one doskonałym prezentem, nie tylko na Dzień Matki. Zwłaszcza że są dostępne zupełnie za darmo.

***Jolanta** Gajda-Zadworna*



Fot. archiwum prywatne

Szybkie i proste ciasto czekoladowe

Składniki: Potrzebujemy po 3/4 szklanki mąki i cukru, 150 g masła, 2 jajka, 3 łyżki kakao i cukier waniliowy.

Wykonanie: Ucieramy jajka z cukrem, dodajemy mąkę i kakao, a na koniec roztopione masło. Wlewamy do formy na tartę, posypujemy nierozpuszczającymi się w piekarniku cukrowymi kuleczkami i pieczemy 20 min.

eprasa.pl a4f1a0e949

SŁODKO-SŁONY

Smaczne kapelusiki



ANNA MONICKA

Staram się jeść sezonowo, czyli to, co akurat rośnie w naturze. Teraz na przykład nie mogę się doczekać grzybów. To, co zamroziłam albo zawekowałam, dawno zostało zjedzone. Ostatnie domowe marynowane rydze zostały pożarte w długi weekend majowy, na szczęście dostałam w prezencie pyszne prawdziwki, ale i one nie są wieczne. Ostatnio smętnie się zrobiło w domowej spiżarni.

Na szczęście w naszym zieleniaku pojawiły się piękne pieczarki. Daleko im wprawdzie do leśnych dzikusków, ale w końcu to też grzyby, chociaż uprawiane. I jednak tysiąc razy lepsze od boczniaków, które rozpoznam w każdym, najbardziej przemielonym farszu. Już sama nazwa mnie odrzuca, nie mówiąc o wielkich, gąbczastych kapeluszach z blaszkami. Pieczarki są subtelniejsze, ładnie pachną, a kruche kapelusiki wystarczy obrać ze skórki i zjeść choćby na surowo z kolorowymi sałatami, bo to chyba najbezpieczniejsze grzyby świata.

Ja jednak zdecydowanie bardziej wolę je przyrządzić pokrojone w paseczki na patelni, podsmażone z dobrym chudym boczkiem, zalane bulionem warzywnym z lekką śmietaną i posypane mnóstwem drobniutko posiekanej natki pietruszki. W takiej postaci pasują do swojskich klusek śląskich, włoskiego makaronu tagliatelle, fettuccine (różnej szerokości wstążki) czy farfalle (kokardki), a nawet pieczonych w mundurkach ziemniaków czy sypkiego ryżu. Równie smaczna jest wersja bezmięsna – z podsmażoną wcześniej cebulką i paseczkami pora. Jednym i drugim sosem nieźle się najemy, w końcu grzybami z powodzeniem można zastąpić białko zwierzęce, mają też dużo błonnika.

Bogactwo witamin z grupy B sprawia, że te niepozorne grzybki działają kojąco na nerwy. Delikatna zupa pieczarkowa uwodzi nas więc nie tylko zapachem, lecz i właściwościami uspokajającymi. Lekko zagęszczona pełnoziarnistą kaszą manną (poszukajcie w sklepach, jest niedroga, bardzo smaczna i świetnie zastępuje w sosach czy zupach mąkę) zamienia się w solidne, jednogarnkowe danie, którym zastąpimy cały obiad, zwłaszcza gdy podamy ją z groszkiem ptysiowym albo grzankami czosnkowymi.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Mikroklimat zależy od nas



Fot. Agnes Kantaruk / Shutterstock

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kilka dni temu, w piękny słoneczny poranek, siedziałem na rynku pewnego miasteczka na południu Polski. Nade mną śmigały jerzyki, wyżej krążyła pustułka. Wokół prostokątnego rynku stały gustownie odnowione kamieniczki, na których robotnicy dołożyli starań, by zachować detale i barwy. Biało-błękitna ceramika na jednym z budyneczków nie ustępowała hiszpańskim azulejo. Portal innej mógłby pojawić się w szkicowniku Leonarda da Vinci, a czystość wokół zachwyciłaby pedantycznych Bawarczyków.

Niewątpliwie też miasteczko przewyższało podobne miejscowości zachodnioeuropejskie wigorem (to w ogóle cecha miasteczek polskich). Ludzie spieszyli w różne strony, jedna ekipa malowała latarnie, inna remontowała elewację narożnego budynku. Do urzędu stanu cywilnego wchodziły pary, a tuż obok w późnoromańskim kościele odbywało się nabożeństwo, z licznymi, mimo dnia powszedniego, wiernymi.

Na pięknym rynku brakowało tylko zieleni. Kilka drzewek prażyło się w skrzyniach na płycie placu. Te, które obramowywały przestrzeń, były niskie, o koronach ograniczonych bardzo silną „pielęgnacją" lub zastąpione mizernymi, kulistymi miotłami.

Celowo nie podaję nazwy pięknego miasteczka. Jest bowiem tylko jednym z przykładów, kiedy ulegając pokusie łatwego zrealizowania inwestycji, tradycyjnie odpuszcza się zieleń i betonuje place, rynki i promenady. Tymczasem zieleń – prawdziwe, duże drzewa rosnące w gruncie, nie w skrzyniach, to nie tylko najefektowniejszy zabieg architektury krajobrazu.

W słoneczne, upalne dni temperatura w cieniu drzew jest nawet kilkadziesiąt stopni niższa niż przy nieosłoniętej betonowej nawierzchni. Drzewa są piękne i praktyczne: jedno duże drzewo transpiruje w ciągu doby do powietrza niemal 500 litrów wody, wykonując pracę równą kilku dużym klimatyzatorom, pracującym przez całą dobę. Co powstrzymuje nas, żeby nie tylko chronić drzewa istniejące, ale rewitalizować betonową przestrzeń drzewami z prawdziwego zdarzenia?

W toczącej się dyskusji, czy zmiany klimatu mają przyczyny antropogeniczne, czy też nie, albo w jakim stopniu, każdy pogląd ma swoich zwolenników – ze wszystkimi odcieniami pośrednimi.

Abstrahując od tej kwestii, jedno jest niewątpliwe – mikroklimat bez żadnych wątpliwości zależy od nas.

eprasa.pl a4f1a0e949



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Perły i wieprze, czyli wybory 2020

Jej sukcesu już nikt nie powtórzy. Łez nie utuli. Odrażających przyjaciół, co krew wyssali bez śladu, nie zapomni. Ale zacznijmy od początku.

SZUKANIE ODWAŻNYCH

Po ośmiu latach rządzenia, rynsztokowej polityce przy ośmiorniczkach, tragedii smoleńskiej, zdradzie kolegów i matki partii przez Donalda Tuska i jego rejteradzie na unijną wypasioną pensję. Po paśmie kompromitacji rządów premier Ewy Metr w Głąb Kopacz, tej, co objaśniała, że gdy wróg napadnie, to schowa się z dziećmi pod stołem, aż agresor ucieknie. Po aferze Amber Gold i stu innych „karakalach", których już nawet nie chce się wymieniać. Po histerycznych wrzaskach wzywających na ratunek ulicę i zagranicę, gdy już z kretesem w 2015 r. przegrano wszystkie wybory, Platforma Obywatelska stanęła po raz enty przed zadaniem niemożliwym. Ale nieodwołalnym. Wyemanowaniem ze swoich rozbitych szeregów kolejnego zwycięskiego lidera. Supermena, znów najwyższej próby, ze szczerego złota. Utalentowanego, niezłomnego, umiejącego odgrywać kolejny wyborczy scenariusz. Który sam wierzy w to, w co uwierzyć mają inni. Odważnego, niebojącego się gniewu ludu, gotowego kłamców wywieźć na taczkach.

OLŚNIEWAJĄCA JAK WŁOSKA PERŁA

Chętnych „dobrowolców" samobójców do wiekopomnego zadania nie było. Cóż, postanowiono: niech przemówi jej wysokość, demokracja! Zrobiono prawybory i wyszło. Raczej wyszła. Kobieta. Pewniaczka. Dostojna, a może nawet posągowa, taka, co by nikt nie ośmielił się jej wygarnąć za Tuska, Kopacz, Komorowskiego, Klicha, Arabskiego. Komu nie wypadałoby pogrozić za Smoleńsk i za podniesioną granicę wieku emerytalnego do 67. roku życia. Pojawiła się nowa postać, na dodatek z koneksjami w świecie filmu. Z pogranicza science fiction. Olśniewająca, łudząco podobna do diwy kina włoskiego. Wystarczy, że tylko będzie, że popatrzy, uśmiechnie się, przejdzie, uściśnie dłonie, wypowie słowo, a prezydencki pałac i honory głowy państwa ma pewne jak w banku. Niech ktoś śmie zaprzeczyć.

Wszystko nawet szło zgodnie z planem. Choć napięcie dawało się we znaki, lapsus gonił lapsus. Odbierano jej mikrofon, ustawiano, przestawiano, podpowiadano. Zakręcono kompletnie w głowie. Raz zaprzeczała, raz potwierdzała, potakiwała, to znów negowała. Kroczyła napięta jak struna, to znów ukradkiem połykała nerwowo w sejmowej ławie landrynki. I to w chwili, gdy nagle spadł z nieba pewien nieprzyjemny orientalny wirus. Świat cały w okamgnieniu zmienił się w matrix.

EWANGELICZNY CYTAT

Ale najgorsze jeszcze było przed nami. Bo z wirusem spadło nieszczęście i na naszą „prawdziwą prezydent" in spe. Wkurzyła się na dobre. I oznajmiła,

eprasa.pl a4f1a0e949

że nie będzie brała udziału w tych wyborach. Marszałek Senatu krzyknął coś o zabójczych kopertach, rankingi spadły. Dookoła grzmiał wyścig haseł wyborczych, stały program w rodzaju „precz z PiS-em i Kaczorem dyktatorem". Kocioł zrobił się taki, że udało się opozycji odwołać i wymazać z kalendarza wyborczą niedzielę z 10 maja.

W takiej sytuacji już nie trzeba drżącej na wietrze wierzby na miedzy. Potrzebny jest harcownik gotowy do bitki na noże. Poseł PO Izabela Leszczyna poinformowała świat, że polska polityka nie jest gotowa na takiej klasy kobietę jak Kidawa-Błońska. „Są słowa w Ewangelii św. Mateusza: »Nie rzucajcie pereł przed wieprze«", zacytowała Pismo Święte w radiowej stacji finansowanej przez George'a Sorosa, promotora ateistycznego społeczeństwa otwartego. Zapowietrzony zawisłą w eterze perykopą św. Mateusza redaktor Jacek Żakowski, choć terminował niegdyś w katolickim miesięczniku „Powściągliwość i Praca", zapytał z nieukrywaną groźbą w głosie: „Wie pani, co pani powiedziała?". Wielu pewnie nie wie, niby skąd, że Pismo Święte redaktor na zapleczu księży michalitów studiował jeszcze pospołu z obecnym uczonym, dziś stałym bywalcem stacji TVN24, profesorem socjologii Ireneuszem Krzemińskim. Nie pamiętam tylko, czy coming out też robiła mu „Wyborcza" jak prof. Kamilowi Zaradkiewczowi.

„Zaraz panu wyjaśnię" – odpowiedziała przytomnie ofuknięta poseł Leszczyna. I wyjaśniła, że „nie jesteśmy gotowi na polityka zupełnie uczciwego, na polityka, który nie kalkuluje, nie kombinuje".

OKSFORDCZYK ZNÓW ZESTRZELONY

I się stało. Pozostali na placu boju koledzy już przebierali nogami do wyborczych wyścigów. Ruszyła giełda nazwisk, jednym z kandydatów był Radosław Sikorski. Miał potrzebne kwalifikacje, jak zapewniała Hanna Gronkiewicz-Waltz. Jego talenty poznawaliśmy od lat. Absolwent trzyletnich studiów na Oksfordzie, najdłużej urzędował w MSZ, bo przez lat siedem. Zasłynął tym, że awansował na placówkach ludzi ze stajni Bronisława Geremka. Pamiętał także o peerelowskich dyplomatach, absolwentach sowieckich uczelni i agentach komunistycznych służb. Stawał także w obronie ludzi WSI, zwłaszcza generała Marka Dukaczewskiego. Jego polityka przyniosła Polsce „korzyści" w rodzaju pojednania z Rosją, które okazało się chaosem i fikcją. Zasłynął wiernopoddańczymi deklaracjami wobec Niemiec, w tym pamiętnym wystąpieniem w Berlinie w 2011 r. To za jego kadencji zrezygnowano z budowy tarczy antyrakietowej. Ośmieszał urząd wpisami na Twitterze, wulgarnym językiem, knajackimi dowcipami, skompromitowany nagraniami ujawnionymi przez tygodnik „Wprost". Jego niespełnionym marzeniem był urząd prezydenta RP. Ustąpił już Komorowskiemu, Kidawie-Błońskiej i ostatecznie przegrał – jak się niebawem okazało – po raz trzeci z Rafałem Trzaskowskim.

> Jeszcze się nie rozpoczęła kampania, a Trzaskowski już ogłosił, że będzie budował nową telewizję publiczną, bez kanału TVP Info, bez wydarzeń i informacji. Za to z rozrywką i kabaretami

GORĄCY WARSZAWSKI FOTEL

Trzaskowski okazał się, nie wiedzieć czemu, lepszy od Sikorskiego. To pytanie drążyła Monika Olejnik, przesłuchując spłoszonego, przewodniczącego PO Borysa Budkę, który nijak nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie mógł zdradzić, że nowego kandydata fotel prezydenta Warszawy bardzo parzy. Gdy tylko objął urząd, zaraz udał się na zwolnienie lekarskie. Doktorowi politologii z dysertacją pt. „Dynamika przemian instytucjonalnych Unii Europejskiej" musiał doskwierać niezły ból głowy, gdy zobaczył biurka po brzegi wypełnione papierami i poznał rygor godzin urzędowania. Drugi atak paniki przeżył, gdy Warszawę zalało megaszambo po awarii oczyszczalni Czajka. Gdyby nie pomoc rządu, chyba do dziś warszawiacy tonęliby w nieznośnym fetorze.

Teraz ma nową szansę na wyrwanie się z urzędniczego ratusza. Będzie bić się – jak zapowiedział – o cały kraj. Liczy na to, że z placu Bankowego przeniesie się na Krakowskie Przedmieście i w Aleje Ujazdowskie. Zmiana adresu to zawsze jakiś pomysł na życie.

Jeszcze nie rozpoczęła się kampania, a już ogłosił, że będzie budował nową telewizję publiczną, bez kanału TVP Info, bez wydarzeń i informacji. Za to z rozrywką i kabaretami. Nowy kandydat – widać – nie miał jeszcze czasu na przeczytanie ustawy zasadniczej. Prezydent kraju nie zamyka ani nie otwiera żadnej stacji telewizyjnej, ani publicznej, ani komercyjnej. Ani tym bardziej nie buduje zawartości programów. Pewnie chciał już zapalić czerwone alarmowe światło, z okrzykiem: „Ratunku!". Wysłać sygnał za granicę. A ten z pewnością tam dobiegnie, na pewno będzie skomentowany przez wielkie tytuły amerykańskie czy niemieckie. Już widać, że jest to jego pomysł na całą kampanię. Kolejny wielki atak na PiS i „pisowskie" media. Po przegranej będzie to prawdopodobnie główny powód podważenia całego wyniku wyborów. Zarzut braku wolności debaty w mediach publicznych.

Miałkość intelektualna Trzaskowskiego poraża, jest żałosna. Jeszcze nie rozpoczęła się kampania, a on już wyłożył wszystkie swoje blotki na stół. Trzaskowski, kiepska kopia wesołego Donka. Po wyborach szybko ukryje się za swoim cieniem i będzie znowu myślał, jak uciec na L-4.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a4f1a0e949



Smoleńsk w kluczu Golgoty

Dlaczego podpisałem apel Jacka Karnowskiego wyrażający uznanie i wsparcie osób, które uczciły pamięć ofiar 10 kwietnia 2020

JAN POSPIESZALSKI

Dziesiąta rocznica katastrofy smoleńskiej przypadła w czasie najbardziej restrykcyjnych ograniczeń sanitarnych. Zogniskowanie uwagi na walce z epidemią, doniesienia z Lombardii i innych miejsc, gdzie zaraza zbierała śmiertelne żniwo, szok, jakim była Wielkanoc bez uczestnictwa w nabożeństwach Wielkiego Tygodnia – to wszystko powodowało, że godne, publiczne upamiętnienie tragedii nie było możliwe. Zbieg okoliczności sprawił, że Wielki Piątek wypadł dokładnie 10 kwietnia.

Koincydencja dat sprawia, że odczytuję tragedię z 10 kwietnia 2010 r. w kluczu Golgoty. W homilii paschalnej biskupa Melitona z Sardes (liturgia godzin na Wielki Czwartek) czytamy: „To On w wielu musiał znosić wiele. W Ablu został zabity, w Izaaku związano Mu nogi [...] w Józefie został sprzedany [...] w baranku paschalnym zabity, w Dawidzie prześladowany, w prorokach zelżony". Idąc za starożytnym natchnionym autorem, widzimy, że Pan Jezus wziął na krzyż nie tylko nasze nieprawości, lecz także w swoim cierpieniu zawarł wszystkie obecne i przyszłe ludzkie – a więc nasze – cierpienia.

Ileż znaków opisu Męki Pańskiej odnaleźć można w tragedii smoleńskiej.

Nienawiść, zdrada, szukanie sposobności zabójstwa. W świetle ustaleń podkomisji Antoniego Macierewicza wiemy, że nie była to zwykła katastrofa. Znamy poprzedzające wydarzenia: tajne rozmowy władz Polski z ludźmi Putina, celowe rozdzielenie wizyt, brak zabezpieczenia lotniska, naprowadzanie na fałszywy tor lądowania, dziwny remont samolotu w Samarze. Znamienna jest nienawiść przywódców Federacji Rosyjskiej do prezydenta Lecha Kaczyńskiego za misję pokojową w Tbilisi i współgrająca nienawiść części polskich elit politycznych. Jest też zaparcie się Piotra. Widziałem wielu, którzy po tragedii, mimo że byli przekonani o winie Rosjan, ze strachu otwarcie nigdy tego nie wyrazili, upowszechniając wersję raportu MAK. W opisie Męki Pańskiej czytamy o wyszydzeniu. Pamiętamy szyderstwa przed 10 kwietnia, a zwłaszcza po tragedii. W dniach walki o krzyż na Krakowskim Przedmieściu byłem świadkiem parodii drogi krzyżowej i dzikich okrzyków tłumu zwyrodnialców: „Barabasza!!!". Ten wybuch bluźnierstw miał coś demonicznego. Tu zlały się w jedno – szyderstwa z ofiar katastrofy (szczególnie pary prezydenckiej) i ze znaku krzyża. Ofiary katastrofy doświadczyły poniewierki i opuszczenia. Myśląc o specjalnych utrudnieniach w prosektorium w Moskwie, odczytuję misję Nikodema i Józefa z Arymatei. Matki, wdowy, siostry ofiar, we wrogim otoczeniu, skazane na szykany strony rosyjskiej, to dla mnie Najświętsza Matka, Maria Magdalena, matka Jakuba i Salome. Jest w końcu zapieczętowany grób Chrystusa i trumny, których nie wolno było otwierać. Jest też wszechpotężne kłamstwo o okolicznościach i przyczynach tragedii, które na świecie staje się wersją obowiązującą. „I tak rozniosła się ta pogłoska i trwa do dnia dzisiejszego" Mt 11,15. Wyobrażając sobie ostatnie sekundy tragicznego lotu, przywołuję słowa Jezusa do Dobrego Łotra i modląc się za duszę ofiar, ufam Miłosierdziu Bożemu.

* * *

Piętnowanie nadużyć władzy przez twórców nie jest w Polsce symetryczne, a tym bardziej nie jest sprawiedliwe. Znam muzyków, dziennikarzy, filmowców, aktorów, którzy chcąc uchodzić za niezależnych, na wszelki wypadek rozdzielają razy obu stronom. Ale próbując dotrzeć do źródeł politycznego konfliktu, każdy może bez trudu sam stwierdzić, że żadnej symetrii tu nie ma. Prawda nie leży pośrodku. Prawda leży tam... gdzie leży. Obok podziałów historycznych, politycznych, sporów ekonomicznych, światopoglądowych, jest u nas sfera niezwykle wrażliwa – to Smoleńsk.

Kazik Staszewski po 10 kwietnia 2010 r. miał milion okazji, żeby wykpić absurdy w działaniach komisji Millera/Laska. Nie protestował wobec brukania dobrego imienia pilotów obarczonych winą, zanim cokolwiek było wiadomo. Nie bronił wdów ani rodzin oczernianych przez premiera Tuska, że domagają się odszkodowań. Wtedy zachował dystans, dziś swoją ponurą satyrą, waląc w wizytę Jarosława Kaczyńskiego na cmentarzu, rykoszetem rani pamięć ofiar. To nie jest kwestia niezależności twórcy – to kwestia smaku.

eprasa.pl a4f1a0e949

E-papierosy alternatywą dla wycofywanych mentoli?

Od 20 maja nie można kupić w naszym kraju papierosów mentolowych. Tymczasem Polska należy do rynków z największym udziałem mentoli. Po te wyroby sięga nawet 30 proc. konsumentów, ale ponad połowa palaczy nie wie o nadchodzącym zakazie. I tu pojawia się problem, bo wiele osób deklaruje, że będzie kupowało te produkty na czarnym rynku – alarmuje Polska Izba Handlu

Zakaz handlu papierosami mentolowymi to efekt wdrożenia dyrektywy unijnej. Ich wycofanie będzie miało ogromny wpływ na handel detaliczny w Polsce. – Ta grupa produktów odpowiada za ok. 5–15 proc. obrotów małych i średnich sklepów. Obawiamy się wzrostu szarej strefy. W związku z tym zakazem blisko 20 proc. konsumentów deklaruje, że będzie kupowało papierosy na czarnym rynku – mówił Maciej Ptaszyński, wiceprezes PIH, podczas niedawnej konferencji prasowej. Zaapelował on do Ministerstwa Finansów i służb celnych o działania, które nie dopuszczą do zalania polskiego rynku papierosami niewiadomego pochodzenia i z przemytu, które nie spełniają norm jakości i mogą zawierać niebezpieczne dla zdrowia substancje.

Zakaz sprzedaży papierosów mentolowych nie dotyczy jednak m.in. papierosów elektronicznych o takim smaku. Część palaczy skorzysta więc z alternatywy, która przez niektórych badaczy uważana jest za potencjalnie mniej szkodliwą od tradycyjnych wyrobów tytoniowych, a także wskazywana jako narzędzie wychodzenia z nałogu tytoniowego. Dr Marianna Gaca z laboratorium badawczego w Southampton mówi: – W badaniach klinicznych nad e-papierosami obserwujemy znaczną redukcję biomarkerów, które mogłyby wskazywać na zachodzące w organizmie zmiany związane z chorobami odtytoniowymi.



Trzeba jednak z całą mocą podkreślić, że alternatywa, jaką stanowią tzw. nowe kategorie, podobnie jak tradycyjne wyroby tytoniowe, jest dostępna tylko dla osób dorosłych, które mogą dowiedzieć się o niej więcej dzięki kampanii „Masz wybór" (więcej na stronie www.maszwybor.pl), za którą stoi British American Tobacco.

Warto zauważyć, że w naszym kraju również istnieje silny ośrodek opracowywania i badania płynów nikotynowych. Jest on powiązany z największą siecią dystrybucji papierosów elektronicznych w Europie – eSmoking World. W Polsce istnieje 650 własnych punktów sprzedaży tej sieci i ok. 8 tys. w sklepach i na stacjach benzynowych. Natomiast pod Ostrzeszowem działa fabryka eSmoking Liquids, jeden z najnowocześniejszych zakładów produkcyjnych w Europie. W Poznaniu mieści się natomiast eSmoking Institute, pierwsza w Europie instytucja wyspecjalizowana w badaniu płynów i aerozoli stosowanych w e-papierosach. Należy jednak pamiętać, że jedyny pewny sposób na uniknięcie ryzyka zachorowania na choroby odtytoniowe to rzucenie palenia oraz unikanie biernego wdychania dymu papierosowego.

MT

fot. shutterstock | Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 5/0520/F

eprasa.pl a4f1a0e949

Być człowiekiem czynu



Alina Czerniakowska

Nowy kandydat Platformy Obywatelskiej na prezydenta, Rafał Trzaskowski, jest rozpaczliwym poszukiwaniem ratunku w beznadziejnej sytuacji poprzednio rządzącej ekipy Tuskowej. Przecież widać gołym okiem, jakim jest prezydentem Warszawy. Ekonomiści zgodnie twierdzą, że po prostu się do tej funkcji nie nadaje, bez względu na to, jaką miałby przynależność partyjną. Nieudolność, bezradność w każdej sytuacji – my zwykli ludzie widzimy to, patrząc na nasze miasto i na ekranach telewizorów, gdy obecny prezydent Warszawy zabiera głos w jakiejkolwiek sprawie. Brak konkretnych dokonań, poza tzw. strefą relaksu wśród spalin w najbardziej ruchliwym miejscu na pl. Bankowym i innych podobnie bezsensownych kosztownych przedsięwzięć.

Jednak najwyraźniej przedstawił nam się obecny prezydent stolicy w sytuacji, gdy wskutek awarii oczyszczalni ścieków (wybudowanej za wielkie pieniądze na zasadzie jakiś przekrętów wspominanych w mediach, z taką dumą otwieraną niedawno przez ówczesnego premiera Donalda Tuska) tysiące litrów brudów i fekaliów spływało do Wisły, zatruwając nie tylko nasze miasto, ale całą Polskę. Pamiętamy, że bez szybkiej reakcji premiera Mateusza Morawieckiego katastrofa ekologiczna miałaby niewyobrażalne skutki, bo pan Trzaskowski stał przed kamerą z miną ucznia nieprzygotowanego do lekcji, zakłopotanego, któremu kazali pełnić jakąś ważną funkcję, a on najchętniej zajmowałby się sobą, robiąc coś przyjemnego. To jest właśnie obraz opozycji, poprzednia kandydatka potrzebowała podpowiedzi, nawet wtedy gdy czytała z kartki. Inny z kolei kandydat na prezydenta dużego państwa w środku Europy rzewnie rozpłakał się na wizji, nie wiadomo dlaczego?

Nieudolność, nieporadność, niepewność, brak umiejętności zarządzania, myślenia propaństwowego – ludzie pytają, skąd wzięli się tacy kandydaci na najwyższy urząd w państwie, skąd tyle w nich tupetu i bezczelności. Bo trzeba przyznać, że jedno potrafią bezbłędnie – kłamać, zmyślać, obrażać, używać często wręcz haniebnych chwytów, byle tylko skrytykować, „dowalić" obecnie rządzącym, a szczególnie Jarosławowi Kaczyńskiemu, głównemu architektowi naprawy Polski po latach niszczenia, wyprzedaży i okradania.

Jeden z moich filmowych bohaterów z czasów XX-lecia międzywojennego wspominał, jak to po zwycięstwie w 1920 r. mieli w szkole przed wejściem wypisane na tablicach takie motto: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig krwi, wyścig żelaza. Teraz pokaż swoją pracą, jak kochasz Polskę". Dzisiaj, w czasie walki wyborczej, a jednocześnie w trudnej, niespotykanej dotąd sytuacji ogólnoświatowej epidemii, nadszedł czas, aby każdy w swojej dziedzinie starał się zrobić coś dobrego dla Polski, pomóc zrealizować słuszne cele i zadania, jakie mają przed sobą obecny rząd i prezydent Andrzej Duda. Tego dzisiaj Polska potrzebuje od każdego z nas – czynu! „Każda praca wykonana sumiennie, nawet najdrobniejszy czyn, każdy wysiłek dla dobra Polski, służy Ojczyźnie i narodowi całemu, buduje przyszłość państwa, a wykonującemu taką pracę zgodnie z prawdą i uczciwością wewnętrzną, daje poczucie sensu i wartości życia". Warto przeczytać świetną książkę Bohdana Urbankowskiego „Filozofia czynu", na kanwie życia i działania marsz. Józefa Piłsudskiego, odpowiednią na obecny czas.

„Polacy mają skłonność do gadania i nic nie robienia, godziny, dnie i lata całe tracimy na ustawiczne mielenie słów i opinii bezwartościowych i nic nie znaczących. Kłótnie, swary, wzajemne podkopywanie się, niszczą dobre inicjatywy, zabierają Polsce czas i energię dobrych, mądrych ludzi, którzy chcą odbudować Polskę po latach niewoli... Marszałek to widzi i ostro zwalcza, ucina wszelkie szkodliwe spory" – czytamy w „Pamiętniku adiutanta" Franciszka Lepeckiego. „Dostajesz płacę, pokaż, jaką wykonałeś pracę. Czyny się liczą, a nie puste słowa, morze słów, niszczących i rujnujących każdą wartościową inicjatywę dla dobra Polski".

Dzisiaj te wszystkie myśli z początków II Rzeczypospolitej, która powstała po 123 latach niewoli i przez niepełne 20 lat stała się liczącym państwem w Europie i świecie, są bardzo aktualne. Tak się składa, że w ostatnie majowe dni świętowaliśmy 85. rocznicę śmierci pierwszego marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i 100-lecie urodzin wielkiego rodaka papieża św. Jana Pawła II, „dwóch wielkich Królów Duchów o inicjałach JP", jak zwykł mawiać inny niezwykły współczesny nam niepodległościowy działacz Wojciech Ziembiński, który – wzorem największych Polaków – robił wszystko, by „budzić Polskę do zmartwychwstania"!

„Musicie iść drogą prawdy!" – wołał papież Polak na początku III RP w 1991 r. „Dzisiaj często wymieniamy hasło „Bóg Honor Ojczyzna", nie rozumiejąc, że honor to nieskazitelność, w każdym wymiarze życia człowieka. Tak uczy Jezus Chrystus. Nie możemy sobie pozwolić na nieład moralny, bo za to już gorzko w historii zapłaciliśmy... Ducha Świętego nie gaście! Ducha Świętego nie zasmucajcie!" (Jan Paweł II, Warszawa 1991).

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl a4f1a0e949

Terror mniejszości



Lech Makowiecki

Obejrzałem serial „Trocki" – filmową biografię jednego z ojców założycieli bolszewickiej rewolucji. Na początku sagi Lew Trocki – zbrojne ramię Lenina – postulował rozstrzelanie ok. 30 proc. całej populacji Rosji! Na tyle bowiem czerwony komisarz szacował odsetek „niereformowalnych" wrogów ludu... Teoretycznie miało to jakiś tam sens: pozbycie się ze zdrowej tkanki rosyjskiego narodu burżuazyjnej mniejszości (ziemian, fabrykantów, kleru, ale i drobnych przedsiębiorców, kułaków itp. „krwiopijców żerujących na proletariacie") stworzyłoby solidne podstawy do budowy sprawiedliwego, komunistycznego państwa... Tyle w teorii.

Mijały lata krwawych czystek, po których nawet wśród największych ideowców wygasł rewolucyjny zapał. I wtedy zawiedziony Trocki zmodyfikował swój plan, proponując wybicie aż 70 proc. głupiego narodu rosyjskiego (oczywiście dla dobra całej uświadomionej, proletariackiej reszty). Szczęściem dla swych rodaków tow. Trocki sam znalazł się na celowniku Stalina i musiał uciekać do Meksyku (co odłożyło tylko nieco w czasie jego egzekucję).

Chciałbym ten film polecić totalnej opozycji, która – nie mając mandatu większościowego – za wszelką cenę (ulica, zagranica, przewrót siłowy) chciałaby „przystrzyc" większość społeczeństwa na swoją modłę. Co jakiś czas pojawiają się w skali globalnej szalone pomysły redukcji mieszkańców przeludnionej Ziemi (np. z 8 mld do 1 mld). Odpowiedź na pytanie – kto i według jakich kryteriów miałby decydować o życiu i śmierci całych narodów – wskaże największych potencjalnych zbrodniarzy świata, przy których Hitler i Stalin chodziliby w aureolach świętych.

Gdyby Führer III Rzeszy dysponował współczesną bronią masowego rażenia (jądrową, chemiczną, biologiczną, elektromagnetyczną itp.) – z pewnością użyłby jej w 1945 r. do zagłady ludzkości. Dzisiejsi globalni, samozwańczy „bogowie" z licencją na zabijanie nie są jednak psychopatami. I to jest przerażające...

Miliard złotych trafiło już do klientów Alior Banku

Polskie firmy mogą liczyć na wsparcie finansowe z tarczy antykryzysowej. Dotychczas aż 6 tys. klientów Alior Banku otrzymało już ponad 1 mld zł subwencji z programu Tarcza Finansowa Polskiego Funduszu Rozwoju. Wciąż można składać wnioski o pomoc liczoną w miliardach.



Alior Bank w ciągu zaledwie dwóch tygodni wdrożył rozwiązania organizacyjne i technologiczne oraz dostosował bankowe systemy, by umożliwić klientom szybki dostęp do rządowej pomocy. A chodzi o subwencje wypłacane w ramach Tarczy Finansowej PFR. To program pomocowy dla przedsiębiorców, którzy odczuwają ekonomiczne skutki pandemii koronawirusa.

– Zaangażowanie w ten program postrzegam jako wyraz naszej odpowiedzialności za rozwój krajowej gospodarki. Mikro, małe i średnie firmy są fundamentem polskiej przedsiębiorczości i dziś wymagają szczególnego podejścia. Wykorzystujemy wszelkie instrumenty, którymi możemy wesprzeć polskie firmy, ocalić miejsca pracy i przyczynić się do utrzymania płynności finansowej jak największej liczby przedsiębiorstw – mówi Iwona Duda, pełniąca obowiązki prezes Alior Banku.

Firmy, które prowadzą swoje finanse w Alior Banku, otrzymały już w sumie miliard złotych pomocy z Funduszu. Pula tych środków – prawie 100 mld zł – jeszcze nie została wyczerpana, więc przedsiębiorcy wciąż mogą składać wnioski o subwencje za pośrednictwem bankowości internetowej.

Udział w programie PFR to kolejne działanie Alior Banku skierowane na wsparcie polskich przedsiębiorców. Bank dostosował swoją ofertę do planu pomocowego Banku Gospodarstwa Krajowego. Dzięki temu klienci mogą łatwiej i szybciej uzyskać finansowanie obrotowe. Dotychczas na nowych zasadach Alior Bank udzielił firmom z segmentu MŚP blisko 200 gwarancji de minimis na kwotę 79 mln zł.

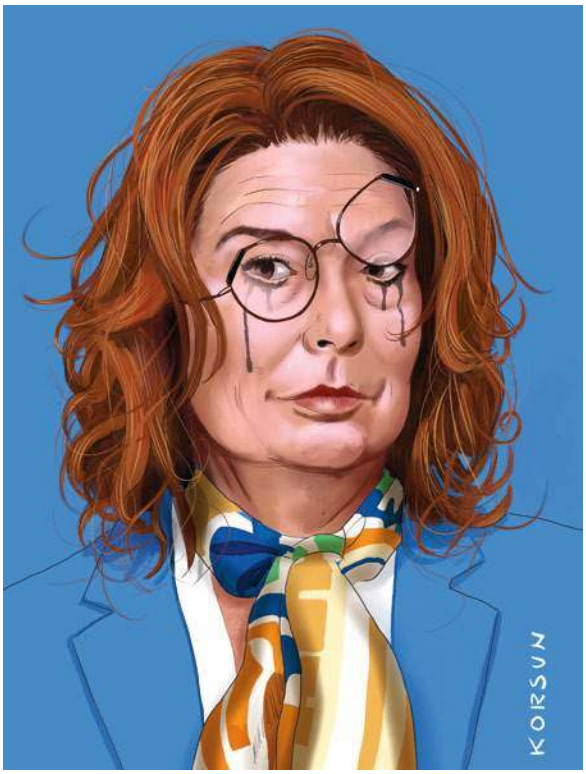
Alior Bank podpisał również umowę z BGK na wykorzystanie 5,5 mld zł z Funduszu Gwarancji Płynnościowych na zabezpieczenie kredytów obrotowych dla średnich i dużych przedsiębiorstw. Pierwsze umowy zostały już podpisane.

– Dzięki tak szerokiemu zaangażowaniu w programy rządowej tarczy antykryzysowej możemy kompleksowo wspierać przedsiębiorców. Chcemy w ten sposób aktywnie włączać się w program minimalizowania ekonomicznych skutków pandemii – dodaje Iwona Duda.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 30/0520/F

eprasa.pl a4f1a0e949

***Michał Korsun prezentuje:* POrzucona**



Wycinki z przeszłości

„Idziemy na plażę” – donoszono radośnie z łamów „Kobiety w Domu i Świecie” w maju 1934 r. A jak my – po tym koronawirusowym zamrożeniu – się cieszymy! Przeczytajmy więc, jak przed wojną zalecono paniom przygotować się na wakacje:

„Rozebrana higienicznie, mądrze, wygodnie i ładnie, zażywa kąpieli powietrznej, słonecznej i wodnej. Dla organizmów zdrowych ta »troista« kąpiel jest dopiero prawdziwą krynicą zdrowia i radości.

Trzeba się do tej uroczystości przygotować umiejętnie: obnażyć maksymum tego, co można, a zasłonić wszystko to, co trzeba. Do tego celu posłuży dobry kostium, koniecznie wełniany, w pierwszorzędnym gatunku. Powinien być bardzo starannie dopasowany i doskonale utrzymany. Należy go uprać od czasu do czasu w wodzie z mydłem.

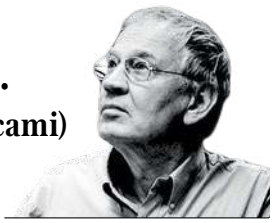
Łatwo go zrobić samej, jeżeli posiada się talent do robienia na drutach. Kupić trzeba wełnę w dobrym gatunku, a wtedy wyjdzie tak, jak na ilustracji naszej, na pięknej pani w białym, ręcznym kostiumie.

Radosną ważkość tych porad zrozumieć może tylko ta, która spróbowała rozkoszy plażowania i osiągnęła wyniki dodatnie – opaleniznę, poczucie zdrowia i siły”.

Potwierdzamy! Tylko jedno dodajemy: w tym roku pewnie i maseczkę trzeba będzie dorobić. Co za czasy! ***(mk)***



Powiało, wywiało...
(albo paralela z dmuchawcami)



Leszek Długosz

Zdarzyło się – los zdarzył
Po latach na tym samym miejscu
– Na podwórku mego dzieciństwa
Chwila
– Przez płot wejrzenie...
Niewiarygodne rzesze dmuchawców
Zawierucha
– Maj maj maj... majowe wokół olśnienie...
Pobiegły charty wspominania
Z dawnymi obrazami w oczach
Zdumienie...
– Nic?
Na tym samym miejscu
Na podwórku mego dzieciństwa
Nic?
Wszystko i wszystkich wywiało?
Nic do imentu...
Nawet śladu?
Tysiące albo i więcej dmuchawców
W blokach startowych
O apogeum ulotności...
I podpowiedź chwili:
A jeśli ja?
I oni tamci kiedyś moi?
I pokolenia
I pokolenia
I pokolejne pokolenia
To wszystko miara i dmuchawców żywot?

Ponad kolejnym płotem
Generacje całe
I tylko czyichś oczu
Dyżurne spojrzenie
– Istnienie ich potwierdza?
Ach uśmiech gorzki
– Z pierwszych zapisków obraz dawny
Z pierwszego wszak wydania:
„D o j r z e w a n i e
Za tym wysokim ceglanym murem
Łąka jak śpiąca dziewczyna leży
– Całe stado dmuchawców oczekuje wiatru...”
O niewzruszona ekonomio wiosny
Święta majowa ulotności
– Powiało
Wywiało
Na amen
Na amen...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl a4f1a0e949

Polski Cukier krzepi Polaków

Krajowa Spółka Cukrowa „Polski Cukier" jest dziś jednym z największych producentów cukru buraczanego w Europie. Spółka realizuje strategię zakładającą dywersyfikację i optymalizację działalności, co ma zminimalizować ryzyko związane ze skutkami zniesienia kwot cukrowych w roku 2017

Dzięki realizacji strategii została utworzona Grupa Kapitałowa Krajowej Spółki Cukrowej, która jest jednym z największych producentów artykułów rolno-spożywczych w Polsce. Produkty Grupy podkreślają swoje powiązanie z krajowym pochodzeniem surowców poprzez umieszczanie na opakowaniach biało-czerwonej flagi oraz logo Produkt Polski. W skład Grupy Kapitałowej KSC wchodzi kilka prężnie rozwijających się firm.

KRAJOWA SPÓŁKA CUKROWA SA

Największy w Polsce i ósmy w Europie producent cukru. Skupuje buraki cukrowe od 15 tys. polskich gospodarstw. Cukrownie KSC mają dzisiaj możliwość produkcji cukru na poziomie 1 mln ton! W skład koncernu wchodzi również zakład przetwórstwa owocowo-warzywnego Polskie Przetwory we Włocławku. KSC oferuje w swoim portfolio produkty pod markami:

- Polski Cukier: cukier biały luzem, w kostkach, w saszetkach i stickach, cukier puder oraz szeroką gamę cukrów trzcinowych,
- Polskie Przetwory: ketchup, koncentrat pomidorowy, soki pomidorowe oraz sosy do dań.

FABRYKA CUKIERKÓW „PSZCZÓŁKA" W LUBLINIE

Jeden z największych w Polsce producentów cukierków. Produkuje cukierki czekoladowe, praliny, galaretki, karmelki twarde i nadziewane. Do produkcji cukierków Pszczółka wykorzystuje to, co w naturze najlepsze: naturalne soki, miód, bakalie oraz delikatną czekoladę. Cukierki pod marką Pszczółka powstają w jednej z najnowocześniejszych fabryk w Europie.

PRZEDSIĘBIORSTWO ZBOŻOWO-MŁYNARSKIE PZZ W STOISŁAWIU

Przedsiębiorstwo od wielu lat przoduje w branży zbożowo-młynarskiej w kraju. Działalność przetwórcza prowadzona jest w Stoisławiu, gdzie znajduje się nowoczesny kompleks młynów i elewatorów. Oferta skierowana jest do przemysłu oraz do indywidualnych klientów. Produktami spółki są: mąki cukiernicze, mąki wypiekowe, kasze, płatki owsiane i jęczmienne oraz otręby.

PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEMYSŁU ZIEMNIACZANEGO „TRZEMESZNO"

Jest jednym z największych na polskim rynku producentów skrobi ziemniaczanej i paszowego białka ziemniaczanego. Wysokiej jakości produkty pozyskiwane z ziemniaków uprawianych na wysokogatunkowych plantacjach znajdują zbyt wśród największych odbiorców w kraju i na rynkach światowych. Odbiorcami są największe w Polsce firmy produkcyjne i handlowe, a także wiele firm zagranicznych.



Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 33/0520/F

eprasa.pl a4f1a0e949

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Cholerne mnożenie światów

Czy to właśnie nadmierna złożoność, przekraczająca wydolność ówczesnych instytucji, przyczyniła się do upadku Imperium Romanum? Ileż tęgich głów trapiło się tym historycznym upadkiem.

A gdyby upadła dzisiejsza cywilizacja naukowo-techniczna – to czy w ogóle będą istnieli myśliciele dociekający przyczyn naszych tarapatów?

POMNAŻANIE

Złożoność społecznego świata rośnie od tysiącleci. Gdzieś blisko początku nałożyliśmy na świat zwierzęcy nieobecną tam warstwę językowej komunikacji symbolicznej. Oto słowo „góra" oznacza nie tylko górę, która stoi nad naszą doliną, ale jest częścią osobnego świata słów. Od języka symboli zaczęła się kreacja kolejnych, dodatkowych światów. Jednym z pierwszych były opowieści i mity. Opowieści podwoiły nasz świat: można było żyć tu i teraz, łowiąc ryby i zrywając owoce, a wieczorem przy ognisku można było iście transowo zanurzyć się w opowieści o przodkach lub ludach zza gór żyjących jakoś inaczej.

Potem powstał pieniądz, który pomógł stworzyć osobną rzeczywistość liczb, płatności, pożyczek i długów. Kiedyś muszę dług spłacić lub ktoś mi go zwróci. W myślenie wkroczyła przyszłość. Jeszcze głębiej to nastąpiło, gdy wymyślono zjawisko inwestycji – rezygnację z aktualnych, pewnych, bo na wyciągnięcie ręki, korzyści w imię korzyści niepewnych, bo przyszłych, ale za to – być może – znacznie większych.

Swoimi torami cały czas rozwijała się sztuka – teatr starożytny umożliwił bezpieczny wgląd w najbardziej dramatyczne przeżycia innych ludzi, w tym w przeżycia takie, których wiele osób samemu nigdy by osobiście nie doświadczyło. Potem były powieści – przez stulecia dla wielu miejsca ucieczki, schronienia, tworzenia wizji, najczęściej może utopii. To kolejny krok w mnożeniu świata. Wynalazek druku odegrał jakże wielką rolę. Potem na drodze mnożenia światów zjawiło się radio. Każdy kierowca, który włącza je w czasie jazdy, chce być w dwóch światach: jednocześnie w swym aucie i gdzieś indziej – w słuchowisku, rozmowie, na koncercie. I oczywiście telewizja. Wszystkie te nowe, dodatkowe rzeczywistości choć rządzą się swoimi, swoistymi prawami, tylko częściowo przejrzystymi dla nas, to w zasadzie są dla nas zrozumiałe.



W sumie bardziej świat zmieniliśmy, skomplikowaliśmy, niż rozszyfrowaliśmy to, jak działa, bardziej rozchwialiśmy, niż ustabilizowaliśmy

TURBOPOMNAŻANIE

Ale coraz wyraźniej widać, że największe i najniebezpieczniejsze pomnożenie świata dokonało się za naszego życia. Stworzenie radykalnie odmiennego wobec wszystkiego, co było dotąd, świata wirtualnego – wynalezienie internetu.

Kolejnym milowym krokiem (ku przepaści?) stała się przestrzeń określana jako internet 2.0 – czyli świat mediów społecznościowych. Rzeczywistość została pomnożona ogromnie – jak bardzo, jeszcze nie do końca sobie to uświadamiamy. Powstała rządzona osobnymi zasadami infosfera: ocean spamu, postprawd, fake newsów, dezinformacji i rozlicznego marketingowego chłamu. Ale ponieważ to wszystko jest podlane sosem darmochy (pozornej!) i ciągłej stymulacji, to rozlewa się jak... epidemia koronawirusa po całej planecie?

Kolejne wielkie – pewnie większe niż się wydaje – pomnożenie rzeczywistości nadchodzi wraz z internetem rzeczy oraz technologią 5G. W obu przypadkach coraz trudniejszą do ogarnięcia rolę będą odgrywały systemy sztucznej inteligencji i stale rozrastający się świat algorytmów. Coraz bardziej złożonych.

W OPTYCE WIRUSA

A może obecna pandemia, trochę wywracająca nasz świat do góry nogami, jest po prostu ostatnim dzwonkiem, który może wybudzić człowieka ze snu o ludzkiej wszechpotędze? Może dostaliśmy szansę ujrzeć, że technika za bardzo się nam rozhulała, że nie panujemy nad podstawowymi procesami gospodarczymi, że stabilność globalnego ładu politycznego się kruszy. Najwyraźniej nader wiele jeszcze ze świata nie rozumiemy. W sumie bardziej świat zmieniliśmy, skomplikowaliśmy, niż rozszyfrowaliśmy to, jak działa, bardziej rozchwialiśmy, niż ustabilizowaliśmy.

Czy tak trudno dostrzec, że pleniące się jak zaraza technologie cyfrowe wcale nie przybliżają, ale oddalają nas od oświeceniowej obietnicy życia rozumnego?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl a4f1a0e949







Zostajemy w domu z tygodnikiem

SIECI





Zamów e-prenumeratę SIECI

NAWET 50% TANIEJ!

WEJDŹ NA: **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl a4f1a0e949

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII



100 książek w prezencie

Piękna książka o polskiej potrzebie wolności

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 | prenumerata@fratria.pl | www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **Słynne ucieczki Polaków** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl a4f1a0e949